

TODD STRASSER

ADDAMSOWIE



KSIĄŻKOWE PRZYGODY
WASZYCH FILMOWYCH ULUBIĘCÓW

Interart

Najdziwniejsza na świecie, najbardziej upiorna i niesamowita rodzina: to **ADBAMSOWIE**. Ich sposób życia i bycia sprawia, że włos się czasami jeży i oczy stają w słup. A jednak zachwycają młodych i starych od kilku pokoleń: piękna **MORTYCJA**, która woli kwiaty z obciętymi główkami. Jej szarmancki małżonek **FERNANDO**, który rzuca w brata nożami, ale go nie opuści w potrzebie. **RĄCZKA**, o której (czy którym?) lepiej nie mówić. Dzieci **ZADUSZKA** i **MOPSIÓ** najchętniej bawią się na cmentarzu i z podziwem patrzą, jak wuj **CZYRAK** zapala żarówkę w ustach. Kiedy rodzi się małe i bezpieczne braciszko **GROBERT**, trudno znaleźć do niego piastunkę, aż pojawia się panna **BABRAVSKY**, której mroczne tajemnice wychodzą na jaw, kiedy wybuchą **MILÓŚĆ**.

ISBN 83-7060-417-X

Cena det. 16,00 zł

Interart

TODD STRASSER

ADDAMSOWIE
CZYLI

UPIORNA RODZINA

Przełożył z angielskiego

Robert Stiller

Interart

Warszawa 1997

Todd Strasser — Addamsowie czyli upiorna rodzina

Tytuł oryginału Addams Family Values

Oparte na scenariuszu filmowym,

który napisał Paul Rudnick

i na postaciach, które wymyślił Charles Addams

Opracowanie graficzne:

Adam M. Nowicki

Redakcja techniczna:

Grażyna Ejsbrenner

Copyright © 1993 Paramount Pictures

Copyright © for the Polish edition by Agencja Praw Autor

Wydawnictwo „Interart”, Warszawa 1997

Copyright © for the Polish translation by Robert Stiller

ISBN 83-7060-417-X

Agencja Praw Autorskich i Wydawnictwo „Interart”

00-403 Warszawa, ul. Solec 30A/33

Wydanie I

Ark, wyd. 8,5; ark, druk. 12

Skład komputerowy:

SOFT EDITION, Warszawa, tel. 67 I-C

Druk i oprawa:

Drukarnia nr 1, Warszawa

Cena det.: 16,00 zł

Dla Aarona i Mai Bernstein

Rozdział I

Była chmurna noc na początku wiosny i niebo prawie doszczętnie pokrywała gęsta, wilgotna mgła. Księżyc w pełni ledwie przeświecał przez jej duszące kłęby. Na skraju miasta, w otoczeniu bagien i prywatnego cmentarza, stało potężne, rozpadające się domostwo Addamsów. Wynurzało się z oparów, całe w łuszczącej się farbie, z próchniejącego drewna i z potrzaskanymi, krzywo wiszącymi okiennicami.

Ouu...uuuuu! Przerażliwie rozlegało się wycie wilka. Lecz nie z wilczej gardzieli dobywał się ten straszliwy głos. Wyjął Czyrak Addams! Opasły i łysy, opatulony w szarość, Czyrak wylazł na dach, słuchając się przemożnego instynktu, jaki wywabia wszystkie zwierzęta w blask pełnego księżyca.

Ouuuu...uuuuuuuuuu! Wczepiony w przegniłą poręcz, ślepią w czarnych obwódkach wlepiając w jarzący się, przymglony krąg na ciemnym niebie, Czyrak Addams wył błagalnie jak dziki, samotny zwierz, złakniony samicy.

Reszta rodziny Addamsów przysłuchiwała się temu wyciu z ulgą, że po latach nieobecności znów mają Czyraka w rodzinnym domu. A w zakątku cmentarza, przeznaczonym wyłącznie dla ulubieńców, dwunastoletnia Zaduszka szykowała się do pogrzebu. Jej czarne włosy, z przedziałkiem pośrodku,

spływały na ramiona w dwóch długich warkoczach. Miała na sobie czarny sweter, czarne rajstopy i czarne kozaczki, od których odbijał tylko biały kołnierzyk bluzki. Jej twarzyczka miała wyraz posępny.

Obok niej klęczał dziewięcioletni braciszek Mopsio, zezując jak prawdziwy kat. W trykotowej koszulce w czarne i białe paski, w czarnych spodenkach i czarnych bucikach, ścisnął w rękę łopatkę i zawzięcie kopał nieduży grobek.

Towarzyszyła im Babunia, dość pospolicie wyglądająca czarownica o długich, siwych, sznurkowatych włosach, z brodawkami na nosie i o pokrzywionych, sękatych palcach.

Mopsio przestał kopać.

- Czy taka głębokość wystarczy?
- Jak uważasz, Babuniu? — spytała Zaduszka.
- Ja tam zawsze wolę płytkie groby — odrzekła Babunia.
- Dobrze — zdecydowała Zaduszka, podnosząc z ziemi pudełko od butów, oklejone czarną taśmą izolacyjną. Podążyła do brata.

W przepływających mgłach i przy wtórze wyjącego na dachu Czyraka Mopsio umieścił pudełko w grobie.

— Ukochani moi — Babunia zaczęła wygłaszać słowa ostatniej posługi. — Zebraliśmy się tu dzisiaj...

Z pudełka rozległo się przeraźliwe: *Miauuu!*

— Ciii...cho — odezwała się Zaduszka.

Fernando Addams, stojąc u drzwi balkonowych w pobliżu salonu, przez pękniętą szybę przyglądał się swoim dzieciom. Był to przystojny mężczyzna o czarnych, przylizanych włosach, iskrzących się oczach i z cienkim wąsikiem nad górną wargą. Dandys i elegant, lubił szyte na miarę garnitury z minionej epoki.

Tej nocy miał na sobie aksamitny smoking barwy kasztanowatej i fez na głowie.

Ouu...uuuuuu! Fernando ze smutkiem przysłuchiwał się wyciu swojego brata, wyczuwając jego samotność i bardzo się tym frasując. Gdybyż tam na dworze znalazł się ktoś, albo coś przypadającego Czyrakowi do serca!

Fernando poczuł szarpnięcie za mankiet spodni i popatrzył w dół. Na podłodze siedziała Rączka.

Fernando opuścił na okno wystrzępioną, czarną zasłonę.

— Tak? O co chodzi, Rączka?

Dłoń bez reszty ciała poruszyła się, naśladując klaskanie. Fernando ją zrozumiał.

— Na pewno dasz sobie radę? — spytał, zapomniawszy na chwilę o strapieniu swojego brata.

Rączka zatupotała ochoczo palcami po podłodze.

— No dobrze! — odparł Fernando.

Rączka podskoczyła z radości, po czym błyskawicznie pomknęła w stronę wielkiego salonu. Fernando poszedł za nią, zdejmując smoking i podwijając rękawy koszuli. Rączka otworzyła mu drzwi i przytrzymała je. Fernando wszedł do salonu.

Był to ogromny, wysoki na dwa piętra, kolisty pokój w samym środku rezydencji. Farba w nim obłaziła z brązowych ścian, okna były popękane, olbrzymi żyrandol ledwie trzymał się na postrzępionym sznurze, zwisającym z sufitu. Potwornego wzrostu lokaj Wyrak odkurzał stare księgi.

— Proszę o chorał, Wyrak! — zawołał radośnie Fernando.

— Rączka i ja zmierzmy się.

Głębokie, gardłowe burknięcie wydarło się z krtani Wyraka, który wspiął się po zakręcających, drewnianych schodach na górę, gdzie stały kolosalne organy. Fernando odwrócił się i zobaczył, że jego przepiękna żona Mortycja siedzi w swoim

ulubionym fotelu, rozpościerającym się w kształcie pajęczyny.

Na jej widok Fernandowi zrobiło się ciepło na sercu.

— Och, jak ty dzisiaj pięknie wyglądasz!

Czerwone jak świeża krew wargi Mortycji rozchyliły się w uśmiechu. Jej długie, czarne włosy były rozdzielone pośrodku. Czarne oczy iskrzyły się. Ale wtedy właśnie Fernando spostrzegł, że cień koloru jak gdyby usiłuje wpełznąć po jej zachwycającej, gipsowo białej karnacji. Zaniepokoiło go to z lekka, wiedział jednak, że gdyby coś było niedobrze, żona by mu o tym powiedziała.

— Dziękuję ci, kochanie — odrzekła Mortycja, podnosząc oczy znad robótki. Przyglądała się, jak mąż zawiesza smoking na oparciu krzesła i zakasuje drugi rękaw.

— Trochę sportu, Fernando?

— Istotnie — odpowiedział jej małżonek.

— Szable?

— Coś lepszego.

— Szachy?

— Coś wymagającego więcej wysiłku.

— Tak, oczywiście.

— Spróbujemy się na rękę! — krzyknął Fernando.

Rozsiadł się u stołu i oparł na łokciu. Rączka wskoczyła na stół i splelił dłoń.

— Liczymy do trzech! — rzekł Fernando.

— Raz... Dwa...

Nie czekając na odliczenie Rączka rzuciła się na lewo, przyginając dłoń Fernanda do powierzchni stołu.

— Brawo, Rączka! — pochwaliła z cicha Mortycja.

Fernando zgrzytnął zębami i udało mu się przepchać Rączkę z powrotem do pozycji równoważącej się.

Nagle zagrzmiał i wypełnił pokój wspaniały chorał. To Wyrak schylił się nad klawiaturą organów.

— Więcej ducha! — syknął Fernando przez ściśnięte zęby i zaczął z wolna przemagać Rączkę.

Jednakże Rączka walczyła z siłą wręcz zadziwiającą, jeśli wziąć pod uwagę, że brakowało jej oparcia w ciele. Fernando krzywił się, wyczyniając twarzą straszne grymasy, kiedy Rączka znów spychała powoli jego dłoń ku powierzchni stołu.

— Wydaje ci się, że już wygrałaś? — sapnął Fernando, krzywiąc się. Pot mu ściekał po czole, twarz poczerwieniała. — No...

Ostatnim zrywem potwornego wysiłku Fernando odepchnął Rączkę i przygwoździł ją do stołu.

— Proszę! — Fernando triumfalnie wyrzucił ramiona w górę. Po czym wyjął chusteczkę i zaczął sobie osuszać czoło. Rączka na znak poddania przewróciła się wnętrzem do góry.

Uściskali sobie po dżentelmeńsku dłonie, Fernando i Rączka, a potem ona padła na stół, aby odpocząć.

— Fernando? — odezwała się Mortycja z fotela, na którym siedziała, robiąc na drutach.

— *Cara mia?*

— Wspaniała nowina — rzekła Mortycja. — Będę miała dziecko. — I po chwili dodała: — Już zaraz.

Wyrok poczłapał, aby przyprowadzić rodzinnego, starodawnego Rolls-Royce Phantoma, Czyrak ściągnął dzieci i Babunię, a Fernando pomógł Mortycji zejść po schodach. Spotkali się wszyscy przed frontowymi drzwiami i stanęli gromadnie w mglistym powietrzu.

— Co się dzieje? — zapytał Mopsio.

— Mamusia będzie miała dziecko — rzekł Fernando. Rączka nie dała się wyłączyć i przysiadła mu na ramieniu.

— Tylko tyle? — przeciągnęła Zaduszka nie bez pretensji.
— Ależ to pasjonujące, kochanie — rzekł Fernando.
— Naprawdę miło dostać świeże dzieciątko — westchnęła Babunia.

Wyrak podjechał Rollsem i cała rodzina władowała się na tylne siedzenie.

— Wyrak, do szpitala! — krzyknął Fernando.

Lokaj wrzucił bieg i ruszyli z miejsca. Na tylnym siedzeniu Fernando ścisnął dłoń Mortycji. — Wytrzymasz do szpitala?

— Mam nadzieję — odrzekła małżonka, ukazując wśród rodzinnego rozgardiaszu spokojną twarz.

Rozdział II

Wyrok zatrzymał samochód przed wejściem do izby przyjęć i Fernando pomógł wysiąść Mortycji. W środku podeszli do kontuaru z pielęgniarkami.

— Czym mogę służyć? — zapytała młoda kobieta w białym kitlu.

— Moja żona rodzi — odparł Fernando.

Pielęgniarka przyjrzała się ponad kontuarem Mortycji. — Dlaczego pan tak uważa — zaczęła i nagle odebrało jej głos, zagapiła się. Rączka z lekka masowała brzuch Mortycji.

— Co to jest? — pielęgniarkę zatkało.

— To? Rączka — wyjaśniła Mortycja.

Pielęgniarka czym prędzej sięgnęła po słuchawkę. — Tu izba przyjęć. Potrzebuję dwóch sanitariuszy i nosze na wózku. Proszę zawiadomić porodówkę. Dziecko w drodze.

Podwójne drzwi w przeciwnym końcu rozwarły się i wpadli dwaj pielęgniarze z wózkiem.

— Dzieci, ruszamy! — zawołał Czyrak, gdy sanitariusze układali Mortycję na wózku. Rodzina zgromadziła się wokół niej.

— Chyba lepiej zabrać ją prosto na salę porodową — odezwała się pielęgniarka. — Idziemy.

Rączka pobiegła przodem, otwierając im drzwi, sanitariusze i rodzina pędzili po zielonych korytarzach obok wózka, a po drodze przyłączył się do nich lekarz.

— Jestem doktor Harris, położnik — przedstawił się, truchcikiem biegnąc koło nich. — Macie do wyboru dwa rodzaje sal porodowych. Jedna to tradycyjna, w której wszystko jest ze stali nierdzewnej i antyseptyczne — przypomina to salę operacyjną i powiedziałbym, że jak na to, aby wydać na świat nowego człowieka, jest to miejsce dość przygnębiające.

— Brzmi to niczego sobie — rzekł Fernando.

Doktor Harris zmarszczył się, ale w biegu mówił dalej: — Jest również nasza nowa sala porodowa, w której świeci słońce, w oknach wiszą firanki, w ogóle miejsce przyjemne i naturalne.

— Coś okropnego — rozległ się z wózka głos Mortycji.

— Wolimy to tradycyjne — rzekł Fernando.

W otaczającym ją zgiełku leżąca na wózku Mortycja pozostała elegancka i niewzruszona. Biegnący koło niej truchcikiem Fernando rozgorzał namiętnością na myśl o zbliżających się narodzinach dziecka. Złapał ją za dłoń i nie puszczał.

— Siostró, jak częste są skurcze? — zapytał doktor Harris.

Pielęgniarka właśnie umieściła na brzuchu Mortycji przyssawki monitora płodowego.

— Co piętnaście sekund — odpowiedziała.

Wiadomość ta wprawiła Fernanda w najwyższe podniecenie. Pochylając się nad noszami, przemówił namiętnie do małżonki, jadącej po szpitalnym korytarzu:

— Czy okrutnie cierpisz? — zapytał. — Czy to nieludzka męczarnia? Czujesz się jak na torturach, kochanie?

— *Oui* — wymruczała.

Dotarli do sali porodowej. Rączka otworzyła przed nimi drzwi, ale gdy rodzina chciała się tam władować za wózkiem, doktor Harris ich nagle powstrzymał.

— Wolnego! — rzekł. — Wszyscy tam nie wejdziecie!

— A dlaczego? — spytała Babunia.

— Bo nie zostaliście wyszorowani do czysta — wyjaśnił doktor. — Byłoby to niehigieniczne. Zbyt wielkie jest ryzyko infekcji. — Zwrócił się do Fernanda. — Proszę pana o wytłumaczenie swoim dzieciom i... eee... pozostałym, że nie mogą być obecni w czasie porodu. Muszą udać się do poczekalni.

Fernando zgromadził wokół siebie dzieci, Wyraka, Babunię, Czyraka i Rączkę. — Chyba musimy się słuchać doktora — stwierdził. — A teraz jazda.

Czyrak podszedł i wyszeptał mu coś na ucho. Fernando zmarszczył się. Jak gdyby rozczarowany, Czyrak odczłapał precz.

— O co cię prosił, tato? — spytała Zaduszka.

— O lok włosów noworodka — odrzekł Fernando.

— Biedny Czyrak — westchnęła Babunia. — Ostatnio jakby nie panował nad sobą.

Fernando pokiwał głową i popatrzył na zmartwionego brata, który usiadł i wydłubywał sobie z ucha woskowinę paznokciem, specjalnie w tym celu nigdy nie skracanym. Fernando pomyślał, czy nie za ostro go przed chwilą potraktował? Lok włosów noworodka... najwidoczniej ciężkie czasy przyszły na Czyraka.

— Rozwarcie na sześć centymetrów — krzyknęła w sali porodowej pielęgniarka. — Powiedzcie mężowi, żeby się pośpieszył.

Fernando jakby oprzytomniał. — Zaprowadź wszystkich do poczekalni — rozkazał Wyrakowi. — Przyjdę do was, jak tylko będę mógł.

Wszedł do sali porodowej. Wciąż jeszcze elegancka i nieskazitelna Mortycja właśnie rodziła, otoczona przez lekarzy i pielęgniarki.

— Rozwarcie całkowite — rzekł doktor Harris. — Proszę mocno przecć, pani Addams.

Mortycja zamknęła oczy i parła. Na jej twarzy pokazał się wniebowzięty uśmiech.

— Patrz, kochanie! — zawołał Fernando. — Już widać ogon!

Mortycja kiwnęła głową i jęknęła z wdziękiem.

— Kleszcze! — rozkazał doktor Harris, wyciągając otwartą dłoń. — Kleszcze! — powtórzyła stojąca przy nim pielęgniarka, tak samo wyciągnąwszy otwartą dłoń.

Rączka rozmyśliła się i wdreptała do sali. Teraz sięgnęła po kleszcze i włożyła je w dłoń pielęgniarki.

— Aa-a-ach! — wydała wrzask pielęgniarka.

— Pani Addams, może znieczulenie? — zapytał doktor Harris.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała mu Mortycja. — Ale niech pan zapyta dzieci.

— *Cara mia* — wyszeptał Fernando, wpijając się namiętnie ustami w dłoń Mortycji.

— *Mon cher* — odszepnęła mu nie mniej pożądliwie.

Doktor Harris niecierpliwie odchrząknął. — Pani Addams... a co z naszym dzieckiem?

Mortycja z ubolewaniem popatrzyła mężowi głęboko w oczy. — Przepraszam... moje kochanie!

Rozdział III

Pozostała część rodziny Addamsów czekała w wesoło udekorowanej poczekalni. Ściany były tam przyozdobione rysunkami zwierząt i baloników w pastelowych kolorach, na podłodze zaś wały się porozrzucone zabawki dla dzieci. Jeszcze kilka osób czekało na coś, nie kryjąc swego zdenerwowania.

— Nie znoszę takich miejsc — wymamrotała ponuro Zaduszka.

— No, no, Zaduszko — pocieszał ją Czyrak.

— Czego właściwie oni się tak martwią? — wyszeptał Mopsio do Babuni.

— Że dzieciątko będzie nienormalne — odszepnęła Babunia.

Podeszła do nich mała blondyneczka, ubrana w błękitny sweterek na różową sukienkę. Na ręku miała lalkę Barbie, a we włosach różową wstążkę. Zaduszka przyjrzała się jej podejrzliwie.

— Jestem Rebeczka Sloane — przedstawiła się dziewczynka.

— Ja jestem Zaduszka Addams, a to mój brat Mopsio — odparła Zaduszka.

— Czy wasza mamusia będzie miała dzidziusia? — zapytała Rebeczka. — Moja mamusia właśnie będzie miała. A ja wiem, jak zrobili tego dzidziusia. Opowiedzieć wam?

Zaduszka przewróciła oczyma, a Mopsio kiwnął głową.

— No, więc tatuś pocałował mamusię — wyjaśniła Rebeczka. — Więc mamusia pocałowała tatusia i z nieba zleciał bocian, i zostawił brylancik pod liściem kapusty, i on się zamienił w dziecko.

— Nasi rodzice też będą mieli dziecko — stwierdził Mopsio.

— Bo mieli stosunek — dodała Zaduszka.

— A co to jest? — zapytała Rebeczka.

— Tak się nazywa, kiedy on jej... — zaczęła objaśniać Zaduszka, lecz pilnujący Rebeczki dorośli przybiegli w popłochu i odciągnęli dziewczynkę na bezpieczną odległość.

Zaduszka i Mopsio wrócili do siedzącej na fotelach rodziny Addamsów.

— A jak mama urodzi chłopca? — zagadnął Mopsio.

— Właśnie, że dziewczynkę! — oznajmiła stanowczo Zaduszka.

— A ja mówię, że chłopca! — stwierdził Mopsio nie mniej stanowczo.

— Dzieci, dzieci! — mitygowała ich Babunia. — Może się zdarzyć, że oboje będziecie mieć rację.

— Bliźnięta? — łypnął i podniecił się Czyrak.

— Wcałe nie to miałam na myśli — Babunia potrząsnęła głową ze znaczącym uśmiechem.

Drzwi do poczekalni eksplodowały i wpadł Fernando, taki podniecony, że prawie głosu nie mógł wydobyć.

— Fernando! — Czyrak poderwał mu się naprzeciw.

— Co nowego? — sapnęła Babunia, kiedy wszyscy stłoczyli się wokół ojca rodu.

Fernando rozdziawił usta i zatkało go.

— Tato, gadaj, co jest? — przynagliła go Zaduszka.

— Jest... — Fernando zaczerpnął głęboko tchu. — Jest... prawdziwy Addams!

Rozdział IV

Mortycja i niemowlę pozostali jeszcze kilka dni w szpitalu, ażeby nabrać sił. Rodzinka często ich odwiedzała, przynosząc w podarku zwieńczone kwiaty i poczerńnięte łydki kolczastych róż.

Wreszcie nadeszła pora zabrać matkę i dziecko ze szpitala. Fernando udał się do pokoju Mortycji, aby pomóc jej w przygotowaniach do wyjazdu, a dzieci z wujem Czyrakiem wybrały się na oddział położniczy. Przez oszklone okno przyglądali się rzędowi białych kojców, w których słodko gaworzyły niemowlęta. Na każdym kojcu było nazwisko, jak nie na błękitnej, to na różowej przywieszce.

Czyrak wpatrywał się z rozczuleniem w dzieciątka.

— Co ci jest, wuju? — zapytał Mopsio.

— Po prostu zastanawiałem się, czy kiedyś będę miał własne dzieci — odparł Czyrak.

— Dlaczego niektóre przywieszki są różowe, a inne błękitne? — zainteresował się Mopsio.

— Pewnie takie, jak kolor ich oczu — podsunął Czyrak.

— Ależ nic podobnego — wyjaśniła z pogardą Zaduszka.

— Zależy od tego, co mają między nogami. Jak błękitna przywieszka, to chłopiec, a jak różowa, to dziewczynka.

Pojawiła się też Rebeczka Sloane z tatusiem i rozplaszczyli twarze na szybie.

— Przyszliśmy po moją nową siostrzyczkę — oznajmiła Rebeczka, wskazując przez szybę. — Widzicie?

Weszła uśmiechnięta, ruda pielęgniarka. Pomachała przez szybę do Rebeczki i jej tatusia, po czym przeszła do kojca z napisem SLOANE. Nachyliła się i wydobyła stamtąd niemowlę z różową buzią, zawinięte w różowy kocyk. Przycisnęła je do piersi, po czym znów uśmiechnęła się do nich i gdzieś wyszła.

— Dokąd ona zabiera twoją siostrę? — zapytał Mopsio.

— Do mamusi — odrzekła Rebeczka. — A potem wszyscy razem pójdziemy z tego szpitala.

Oddaliła się ze swym ojcem.

— A co z naszym braciszkiem? — zapytał Mopsio.

— Popatrz. — Przez odgradzające ich szkło Zaduszka wskazała paznokciem na przerażoną z wyglądu pielęgniarkę, jakby zmuszającą się, żeby podejść do ustawionego w kącie, czarnego wózka, najwyraźniej oddzielonego od reszty. Na przywieszce widniało pokręconymi literami nazwisko AD-DAMS.

Przystanęła obok i zajrzała do środka. Wzdrygnęła się. Ostrożnie sięgnęła do wnętrza i wydobyła zawiniątko w czarnym kocyku. Trzymając je na odległość wyciągniętych rąk, jak najdalej od siebie, i przygryzając usta, wyszła idąc tyłem, niemalże podbiegając.

Niebawem dzieci przyłączyły się na parkingu do swych rodziców i wsiadły do rodzinnego Phantoma. Zaduszka i Mopsio przyglądali się wyczekująco, jak Mortycja przytula maleństwo. Fernando, jako ten rozpromieniony ojciec, bez zastanowienia wyciągnął rękę i pogiłgał niemowlaka pod bródką.

— Och! — wykrzyknął raptem i wyrwał palec.

- Co się stało? — spytała Babunia.
- Ugryzł mnie! Fernando podniósł do góry palec. Znać było na nim wyraźnie ślady ostrych zębów i pocięła już krew.
- Jakież to niegrzeczne dzieciątko! — przemówiła z zachwytem Mortycja, kołysząc dziecko w objęciach.
- Ale ma ostre zęby! — rzekł z podziwem Fernando.
- Już na trzeci dzień po urodzeniu!
- Addamsowie zawsze rodzą się z mlecznymi zębami, ostrymi jak brzytwy — rozczuliła się Babunia.

Przyjechali do domu. Fernando i Mortycja z niemowlakiem zagłębili się w mroczny korytarz, gdzie tapety wisiały w strzępach i skrzypiały ostrzegawczo deski w podłodze. Rączka wyprzedzała ich, pomykając na jednej wrotce i rozdziawiając przed nimi drzwi.

— Przygotowałem ci małą niespodziankę, najdroższa — odezwał się Fernando. — Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Poprzedzająca ich Rączka zatrzymała się i pchnęła następne drzwi. Fernando wszedł do pokoju i wykonał zamaszysty gest obojgiem ramion. Mortycja weszła za nim.

— Och, Fernando! — wytchnęła. Ściany były pokryte brązową i szarą tapetą, światła przyćmione, w pokoju zaś królowała ogromna, czarna kołyska.

— Jakie to urocze! — wykrzyknęła Mortycja.

— Podejdź tu, *cara mia*. — Fernando ujął jej dłoń i doprowadził ją do bogato rzeźbionej, antycznej, hebanowej kołyski, obwieszonej festonami z krepy żałobnej.

— To kolebka Addamsów — stwierdziła z uśmiechem Mortycja.

— Znalazłem ją na strychu. — Fernando przesunął palcem po krawędzi.

— Coś wspaniałego! — Mortycja ułożyła dziecko w satynowej, czarnej pościeli i aż splotła z zachwytu dłońie.

Fernando otoczył ramieniem jej kibić i razem, pełni dumy, przyglądali się z góry nowemu członkowi rodziny. Leżące w kołysce dziecko zaczęło wrzeszczeć.

Mortycja zmarszczyła białe i gładkie czoło.

— Martwi mnie to, mój mężu.

— Co takiego, najdroższa? W czym problem?

— Obawiam się, że skoro teraz płacze, już za dnia, to w nocy będzie cichutko spać.

— Masz rację! — zmartwił się Fernando.

— Wiem o tym. — Mortycja sięgnęła po misia i pociągnęła za sznurek, przytwierdzony do jego szyi.

GHRROARRRH! Niedźwiadek zaryczał nadzwyczaj głośno i całkiem przerażająco. Niemowlę od razu przestało płakać i uszczęśliwione jęło gaworzyć.

— Masz, kochanie. — Mortycja włożyła misia do kołyski.

— I na to popatrz — rzekł Fernando.

Zakołysał nad głową niemowlęcia mobilem, z którego zwiślało kilka ostrych noży, brzytwy i szpikulców. Obracał nim łagodnie i narzędzia zaczęły wydawać cichutkie, żałobne po-brzękiwanie. Gaworzenie dziecka ucichło i rozległo się gromkie chrapanie. Fernando sięgnął w głąb kołyski, poklepał niemowlę po główce.

— Witaj w domu, kochany mój synku.

Starsze dzieci wycofały się w parszywym nastroju i zaszyły się w pokoju Zaduszki.

Mopsio usiadł na podłodze, aby pobawić się swoim kompletem do małego chemika, zwłaszcza do trucizn i substancji

wybuchowych. Zaduszka rozkładała na części czarno ubraną lalkę o czarnych włosach. Przyłożyła sobie dłoń do policzka i zamysliła się.

— A wiesz, że jak w domu jest nowe dziecko, to jedno ze starszych dzieci musi umrzeć.

— Nieprawda! — powiedział Mopsio.

— A właśnie, że prawda — stwierdziła Zaduszka. — Każdy ci to powie, jak się zapytasz.

— Babunia też? — dopytywał się Mopsio.

— Oczywiście.

Mopsio przyjrzał się niepewnie siostrze.

— Wszyscy o tym wiedzą — ciągnęła Zaduszka. — Jedno z nas dwojga musi wykitować.

— A które? — zapytał Mopsio.

— Cóż... dwaj chłopcy nie są im potrzebni.

Mopsio zastanowił się nad tym.

— Kto tak powiedział?

— Ja ci to mówię — odparła Zaduszka.

— Nie rozumiem, dlaczego ja miałbym umrzeć — zaprotestował Mopsio. — Ktoś inny powinien umrzeć.

— Ale oprócz mnie i ciebie nie ma nikogo.

— Nieprawda — wymyślił Mopsio. — Jest ten nowy ba-chor.

— Ale nowiotki.

— I co z tego? Niedługo zrobi się stary. I wtedy będzie taki, jak my. A w ogóle do niczego nam niepotrzebny.

— Chyba masz rację — zastanowiła się Zaduszka. — Ale oni nie zechcą, żebyśmy go ukatrupili. Przynajmniej na razie. Wiesz, jak wszyscy lubią bawić się tym, co nowe.

— W takim razie nie powiemy im, że chcemy go ukatrupić — wymyślił Mopsio. — Postaramy się, żeby to wyglądało na wypadek.

— Słusznie — rzekła Zaduszka. — Możemy go podłożyć pod koło w samochodzie i poprosić Wyraka, żeby nas gdzieś zawiózł.

— Świetnie to wymyśliłaś — zerwał się Mopsio.

— Nie, poczekaj, to się nie uda — powstrzymała brata Zaduszka. — Dopiero go przywieźli ze szpitala. Nie pozwolą, żeby tak zaraz wyszedł na dwór. Ten wypadek musi zdarzyć się w domu.

— Czy nie mamy czegoś, co by go mogło zjeść? — zapytał Mopsio.

— Mieliśmy — odpowiedziała Zaduszka. — Ale pytona zjedliśmy na ostatnią wigilię, a lampart uciekł, kiedy mamusia zostawiła otwarte drzwi od kuchni.

— Więc możemy go utopić we wrzątku — rzekł Mopsio — albo upiec niechący w piecyku.

— Już wiem! — wykrzyknęła Zaduszka.

— Co takiego?

Zaduszka poszeptała mu na ucho.

— Owszem — przytaknął Mopsio. — Ten pomysł mi się podoba. Nawet bardzo.

Zaduszka poderwała się i otworzyła szafę. Wyjęła z niej dwie pary ciężkich, gumowych, rybackich butów, sięgających po biodra, i długie do łokcia rękawice. I połomotali oboje po schodach na dół, do kuchni. Babunia mieszała w kotle, a Wyrak rozpałał w piecu.

— Babuniu? — Zaduszka zagadnęła Babunię najweselszym głosem, jaki potrafiła z siebie wydobyć, choć i to nie było zbyt radosne.

— Czego chcecie? — zapytała Babunia.

— Pójdziemy wykąpać maleństwo — odrzekła Zaduszka.

— To ślicznie z waszej strony. — Babunia obszczerzyła się, pokazując plamiste dziąsła i jedyny, zakrzywiony ząb.

— Gdzie chlorek? — zapytała niewinnie Zaduszka.

Wyrok coś wyburczał i wskazał pod zlew kuchenny.

Mopsio schylił się i otworzył szafkę. Znajdował się tam wielki, biały pojemnik z napisem: KONCENTRAT CHLOR-KU! TRUCIZNA! oraz z wizerunkiem trupiej czaszki i skrzyżowanych pod nią piszczeli.

— Dobrej zabawy, kochani! — wykrzyknęła za nimi Babunia, kiedy Mopsio dźwigał butlę po schodach na górę.

— Gdzie to zrobimy? — zapytał.

— Najpierw pomyślałam, że w wannie — odpowiedziała Zaduszka. — Ale ten chlorek jest mocny. Mógłby nadgryźć emalię.

— A w kuble? — zaproponował Mopsio.

— Doskonale.

Znaleźli w komórce stary, ogromny kubel i zawlekli go do pokoju dziecinnego razem z chlorkiem. Niemowlę chyba spało, bo z cicha sobie pojękiwało.

— Myślisz, że to go uśmierci? — spytał Mopsio, odkręcając korek.

— Chyba tak — odpowiedziała Zaduszka. — A w najgorszym razie zostaną mu blizny na całe życie.

— Też nieźle. — Mopsio nalał chlorku do kubła. Płyn za-bulgotał, tworząc bańki, gdy zawarty w nim kwas nadżerał metal. Buchnęły gryzące opary. Mopsiowi aż oczy się załzawiły.

— Dobrze piecze? — upewniła się Zaduszka.

— Jeszcze jak! — zachłysnął się Mopsio, ocierając sobie łzy z oczu.

Zaduszka podeszła do kołyski i schyliła się nad nią. Niemowlak miał skórę białą jak duch, głowę już porosła mu czarna, oleista czupryna z przedziałkiem na samym środku, a nad górną wargą zaczął się pojawiać ojcowski wąsik.

Zaduszka podniosła uśpione dziecko i podeszła z nim do bulgocącego kubła. Wtem drzwi się rozwarły i wszedł Fernando.

— Dzieci, co wy robicie z małym? — zapytał.

— Właśnie chcieliśmy go wrzucić do tego kubła z koncentratem chlorku — wyjaśniła Zaduszka.

— A nie powinniście najpierw spytać mamusi? — rzekł Fernando, biorąc dziecko w objęcia.

— Dlaczego? — zapytał Mopsio.

— Może chciałaby też popatrzeć — odrzekł Fernando. — Oboje chcemy obserwować, jak on się rozwija.

Zaduszka spojrzała na Mopsia i zaczęła ściągać ochronne rękawice. Cała sprawa przestała się jej podobać.

Rozdział V

Nazajutrz cała rodzina przyłączyła się do Fernanda i Mortycji w pokoju dzieciennym. Wyrak przyglądał się, jak Mortycja układa dziecko w kołysce. Dorośli stanęli wokół i podziwiali maleństwo, Zaduszka zaś i Mopsio trzymali się nieco na uboczu.

— Popatrzcie na niego — rzekł z dumą Fernando. — Przecież on ma oczy mojego ojca.

— Zabierz mu je — rzekła Mortycja. — Fernando, on je bierze do buzi. Żeby się nie udławił.

Czyrak sięgnął do kołyski, połaskotał niemowlaka pod bródką. — Tiu tiu! Gli gli gli! Popatrzcie, złapał mnie za palec! Grzeczne dzieciątko! Jak się masz, malutki! — Wtem wydał odgłos bólu.

Z kołyski dobiegł warkot. Czyrak nie bez trudu wydobył rękę.

— Przegryzł do kości! — wykrzyknął z podziwem.

— Prawdziwy Addams! — uśmiechnął się z dumą Fernando.

— Dzieciątko w rodzinie! — zachichrała radośnie Babunia i dźgnęła Fernanda w żołądek ostrym łokciem, aż zgiał się we dwoje. — Najwyższy czas! Jak się masz, kochaniutki!

Z kołyski wystrzelił groźnie wyglądający, ognisty pocisk, przemknął tuż koło jej pomarszczonej twarzy i jak strzała ugodził w sufit, gdzie zadygotał i zadymił.

— Widzieliście? — spytała Mortycja z rzewnym uśmiechem.

Z kołyski zaczęły dobiegać głośne ni to warknięcia, ni to pochrapywania.

— Och, zmęczyło się maleństwo — zagruchała Mortycja. — Zostawmy go w spokoju, niech się zdrzemnie.

— Dobrze — stwierdził Fernando i wygonił wszystkich z pokoju.

Czyrak też wycofał się, zawijając swój ociekający krwią palec w jakieś brudne szmatki. Powinien być zadowolony, że jego brat i bratowa są tacy szczęśliwi, że otacza ich tak cudowna rodzina; jednak dręczyła go samotność i chyba trochę zazdrości. Oczywiście zazdrość to wspaniałe uczucie, ale w tym układzie raczej bezużyteczne. Gdyby i jemu przytrafiła się jakaś miłość!

Zaduszka i Mopsio także wyszli z pokoju, zdegustowani tą orgią rodzicielskiego zachwytu. Udali się po schodach na strych, mijając tam rodzinną salę kinową, gdzie kolekcja starych krzeseł elektrycznych ustawiona była rzędami przed ekranem. Wreszcie dotarli do swej ulubionej zabawki, a była nią naturalnej wielkości gilotyna, którą pra-pra-pradziadek Fernanda sprowadził z Francji.

— Mam ochotę pobawić się w Marię Antoninę — rzekła Zaduszka. — Kogo dzisiaj weźmiemy za tego mięczaka, króla Ludwika?

— Już wiem! — zawołał Mopsio. — Zaraz wrócę.

Zbiegł na dół i po chwili wrócił, dźwigając ogromnego arbuza.

— Sąd rewolucyjny skazuje cię na śmierć! — wrzasnęła Zaduszka, podnosząc zakurzony zwój pergaminu.

— Śmierć! Śmierć wrogom ludu i Republiki!

Mopsio ułożył arbuz pod gilotyną.

— Czy masz jakieś ostatnie życzenie? — spytał.

Arbuz nie odpowiedział.

— Ściąć go! — krzyknęła Zaduszka.

Mopsio szarpnął za linę, zwalniając ciężkie, ostre jak brzytwa, stalowe ostrze.

Ciach! Ostrze poleciało w dół, odrabując gładko jedną trzecią arbuza.

— Hura! — wykrzyknęła Zaduszka. — Sprawiedliwości stało się zadość! Przyprowadzić tu złą królową!

— Zaraz wracam — powiedział Mopsio.

I wrócił niebawem, ciągnąc stary, drewniany wózek. Leżało w nim świeżo narodzone niemowlę, ubrane w koronkowe suknię dużej lalki, niegdyś elegancką, ale teraz podartą w strzępy, jak ta suknia, w której Maria Antonina spędzała ostatnie dni swego żywota. Na głowie dziecka spoczywała rozczochrana, biała peruka. Jego i tak blada twarzyczka upudrowana została na śmiertelną białość, wargi zaś umalowane ciemnoczerwoną szminką. Na policzku przyklejona była czarna muszka, oczy zaś przewiązane czarną przepaską.

— Królowa urządza przyjęcia, a reszta Paryża głoduje! — wykrzyknęła Zaduszka, odczytując zakurzony zwój pergaminu. — Ludowi brakuje chleba, a co na królowa? Niech jedzą ciastka!

Mopsio nie odzywając się ciągnął za linę, aby wywindować na powrót ostrze.

— Zdradziłaś lud francuski! — krzyknęła Zaduszka, stojąc nad niemowlakiem. — Jesteś wcieleniem zła. Czy przyznajesz się do winy?

Mopsio podniósł dziecko, kryjąc twarz za jego plecami, i cieniem głosem zawołał:

— Jestem winna!

— Winna! — krzyknęła Zaduszka. — Oskarżona sama się przyznała! Zostaje skazana na śmierć. Umieść ją na pniu, kacie!

Mopsio ułożył dziecko na gilotynie.

— Liczę do trzech — oznajmiła Zaduszka. — Jeden...
dwa...

Przerwał im dobiegający z dołu okrzyk.

— Dzieci! — wołała Mortycja.

— Tak, mamusiu? — odpowiedzieli Mopsio i Zaduszka.

— Co tam robicie?

— Bawimy się! — odrzekli niewinnie Zaduszka i Mopsio.
Zaduszka zwróciła się do brata i cichutko syknęła: — Trzy!

Mopsio pociągnął za sznur. Ogromne i ciężkie, ostre jak brzytwa ostrze runęło w dół. W ostatnim ułamku sekundy dziecko podniosło rączkę i zatrzymało spadające ostrze.

— Biada Republice! — westchnęła ze smutkiem Zaduszka.

Drzwi na strych otworzyły się i weszła Mortycja. — Dzieci, czy nie widziałyście maleństwa? Szukam go wszędzie... — Tu spostrzegła, że niemowlę leży pod gilotyną i trzyma nad sobą ostrze. — Och, bawiliście się z nim! To ślicznie! — Po czym zmarszczyła czoło: — Ale skąd on wziął się pod gilotyną?

— Położyliśmy go tam — odrzekła Zaduszka.

— Ależ moi drodzy, powinniście trochę bardziej uważać — zganiała ich Mortycja, ciągnąc za sznur, aby podnieść ostrze.
— Chyba nie chcecie mu zrobić krzywdy?

W ciągu następnych tygodni Mopsio i Zaduszka, w czasie burzy z piorunami, przywiązali niemowlaka do piorunochronu na dachu. Zostawili go na środku drogi, przykrywszy liśćmi, i czekali, kiedy go przejedzie jakiś samochód albo ciężarówka. Ponieważ nic z tego nie wynikło, zamknęli go w walizce

na strychu i zostawili tak na trzy dni, aż Mortycja spostrzegła, że mały się gdzieś zapodział, i wybrała się na poszukiwania.

Wreszcie w którąś pochmurną noc wyszli na dach, zabierając ze sobą dziecko i kulę armatnią.

Ouu...uuuuu! wył Czyrak po drugiej stronie dachu.

— Teraz już wyje każdej nocy — zauważył Mopsio. — Przedtem chyba wył tylko od czasu do czasu?

— Tatuś mówi, że stryj Czyrak boleśnie odczuwa brak samicy — wyjaśniła Zaduszka. — Tatuś powiada, że mężczyźni trudno się obejść bez kobiety.

— Dlaczego?

Zaduszka wzruszyła ramionami i stanęła z dzieckiem na samej krawędzi dachu. Mopsio stał obok niej, trzymając w objęciach kulę armatnią.

— Pętał waży pięć kilo — rzekła Zaduszka. — A kula waży dziesięć kilo. Które najpierw rąbnie o chodnik?

Mopsio wyjrzał za krawędź dachu. Kamienne płyty chodnika widniały daleko pod nimi. Czerwony furgon Rączki wyglądał stąd jak dziecinna zabawka.

— No, jak uważasz? — przynagliła Zaduszka.

Mopsio wzruszył ramionami. — Ja jestem dopiero przy ułamkach.

— Ale jak ci się zdaje?

— Pewnie kula — zgadywał Mopsio.

— Doskonale — odrzekła Zaduszka. — A które się odbije?

— Chyba dzieciak — powiedział Mopsio.

— Musimy to sprawdzić — oświadczyła Zaduszka.

— Jesteś gotów?

Wystawiła dziecko za krawędź dachu. Mopsio uczynił to samo z kulą armatnią.

— Jeden — odliczył Mopsio.

— Dwa — rzekła Zaduszka.

— Trzy! — zawołali oboje. Mopsio puścił kulę, a Zaduszka dzieciaka. Jedno i drugie znikło w mrocznej przepaści.

Tymczasem o dwa piętra niżej, w małżeńskiej sypialni, Mortycja i Fernando szykowali się do spoczynku. Mortycja siedziała przy toalecie w prześwietlującym, koronkowym negligżu, szczotkując swe długie, przepiękne, czarne włosy. Fernando stał u drzwi balkonowych, zapinając górę pizamy.

— Fernando? — odezwała się Mortycja.

— Słucham, kochanie?

— Troszeczkę martwię się o dzieci.

— Dlaczego? — spytał Fernando.

— Chodzi o to, co robią z maleństwem — Mortycja odłożyła szczotkę do włosów. — Zaczynam mieć trudności z odróżnieniem, co tu jest typowo dziecięcą skłonnością do zadawania tortur, a co mogłoby wskazywać, że naprawdę chcą go zamordować.

— Są jeszcze tacy młodzi — wyjaśnił Fernando.

— Chyba masz rację. — Mortycja znów zabrała się do szczotkowania włosów. Fernando wyczuł, że musi podtrzymać żonę na duchu. Podeszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach.

— Co za cudowny wieczór — powiedział ściszym głosem, pieścąc jej ramiona. Gdzieś daleko rozległo się wycie wilka, który odpowiadał na zew Czyraka.

— Sama rozkosz — odrzekła Mortycja, pieścąc jego palce. — Czyżby deszcz?

— Sprawdź. — Fernando wyszedł na balkon i wystawił rękę. Nagle wpadło mu do niej coś ciężkiego. Cofnął dłoń i stwierdził, że trzyma niemowlę. Dał krok z powrotem do sypialni.

— Popatrz, najdroższa, to maleństwo! — powiedział.

— Skąd je masz? — zdziwiła się Mortycja.
— Wpadło mi do ręki.
— Widocznie spadło z dachu — stwierdziła Mortycja.
— Ale skąd się tam wzięło? — Fernando podrapał się w głowę.

— To dzieci! — Mortycji aż dech zaparło.
— *Cara mia!* — wymamrotał zdziwiony Fernando. Sytuacja okazywała się coraz poważniejsza.

— Och! — Mortycja skuliła się, krzyżując ramiona, i zadygotała.

Fernando przytulił dziecko do piersi. — Czy nie należałoby im czegoś powiedzieć?

Mortycja potrząsnęła ze smutkiem głową.

— Już próbowałam.

— Więc co robić?

Mortycja odwróciła się do swej toaletki i wyciągnęła szufladę. Wydobyla z niej cienkie czasopismo na gazetowym papierze. — Kilka dni temu znalazłam to w poczcie.

— Czyżby ktoś nam to przysłał? — zdumiał się Fernando.
— Już od lat nie było dla nas żadnej przesyłki!

— Pewnie jakiś nowy listonosz — domyśliła się Mortycja.
— To piśmko nazywa się *Grosz do Grosza*.

Fernando podszedł bliżej i przyjrzał się piśmku. Po wargach przewinął mu się uśmiech. — Jak wiesz, kochanie, przynajmniej z tym nie mamy kłopotów. Nasze piwnice są wciąż wypełnione aż pod strop złotymi dublonami. Wystarczy tego na zbytkowne utrzymanie rodziny jeszcze przez wiele pokoleń.

— Och, nie chodzi o pieniądze — rzekła Mortycja.

Rozłożyła przed sobą piśmko. — Posłuchaj: „Czy jesteś młodą matką i masz trudności? Może źle sypiasz? Ulegasz depresji? Wrogość między rodzeństwem? Nadużycia

seksualne z dziećmi albo w małżeństwie? Psycholog dziecięcy dr Maria Whalen-Shaffler prowadzi w każdy poniedziałek Terapię Grupową dla Młodych Matek. Zapraszamy do uczestnictwa wszystkie młode mamusie.”

— Hmm — zastanowił się Fernando. — Sądziysz, że powinniśmy do niej posłać Zaduszkę i Mopsia?

— Tak sobie pomyślałam — odrzekła Mortycja. — Ale pamiętasz, co zrobili, kiedy zaprowadziliśmy ich do dentysty?

— Przywiązali go do fotela i wyrwali mu prawie wszystkie zęby. — Fernando rozpromienił się na samo wspomnienie.

— Nie jestem pewna, czy należy ich tak zaraz dopuszczać do pani dr Whalen-Shaffler — zamyśliła się Mortycja. — Może najpierw sama się do niej wybiorę.

Rozdział VI

W kilka dni później Wyrak zawiózł Mortycję do miasta i wysadził ją przed sklepem z farbami. Z niemowlęciem na ręku weszła po schodach i znalazła się w umieszczonej nad sklepem poczekalni dr Marii Whalen-Shaffler. Na podłodze porozrzucone były zabawki, a ściany pokryte wielkimi plakata-
mi, przedstawiającymi zwierzątka i sielankowe widoczki. Wła-
śnie zaczęła nabierać wątpliwości, czy trafiła pod właściwy
adres, kiedy drzwi otworzyły się i weszła pulchna niewiasta.
Miała grube okulary i różowiutką cerę. Ubrana była w peru-
wiańskie włochate ponczo i ciężką, ręcznie wykonaną bizute-
rię z ceramiki.

— Witam serdecznie! — zawołała, splatając dłonie, jakby
ogromnie ucieszona. — Jestem dr Whalen-Shaffler. A pani?

— Mortycja Addams.

Dr Whalen-Shaffler podeszła i łagodnie rozchyliła czarny
szal, osłaniający dziecko. — A to kto?

— Grobert — odrzekła Mortycja.

Bo ubiegłej nocy nadali wreszcie imię dziecku. Pani doktor
wysunęła palec, jak gdyby chciała połaskotać niemowlę pod
bródką.

— Eee... lepiej tego nie robić — Mortycja odstępowała o krok
do tyłu. — On lubi gryźć.

— W takim razie proszę wejść i przyłączyć się do naszej grupy — rzekła pani psycholog, przepuszczając ją przodem.

Mortycja weszła do pokoju. Znajdował się tam już tuzin młodych matek, każda z dzieckiem w ramionach albo przytulonym do piersi na specjalnej uprzęży. Mortycja uśmiechnęła się mile i usiadła w fotelu. Dr Whalen-Shaffler usiadła naprzeciw i złożyła dłonie na podołku.

— Witam wszystkich — zagaiła. — Jestem dr Whalen-Shaffler, a to jest moja Grupa Terapeutyczna dla Młodych Matek. *Wasza* Grupa Terapeutyczna dla Młodych Matek. Nowo narodzone dzieciątko to zarazem cud i pole minowe. Nikt nie zrozumie tego lepiej niż druga młoda mamusia. Albo licencjonowana terapeutka, wychowująca dwa koty. Zaczniemy od kolejnego przedstawienia się.

Pierwsza odezwała się młoda kobieta, siedząca na prawo od Mortycji.

— Dzień dobry. Jestem Judy Morgan, a to moja córeczka Rebeka Marjorie. — Uniosła do góry zdrowo wyglądające niemowlę o różowej buzi, w nowiutkim ubranku ze sztruksu, w kolorze różowym i zielonym.

— Proszę od nas przyjąć najszczerze kondolencje — odrzekła z powagą Mortycja.

Judy Morgan popatrzyła na nią ze zdziwieniem, po czym mówiła dalej. — Moja córeczka to samo szczęście. Po prostu ideał. Ale mój mąż powiada, że za bardzo się o nią troszczę i nie spuszczam jej z oka. Czy któraś z was ma podobny problem?

— Bardzo pani współczuję — rzekła Mortycja. — W ubiegłym tygodniu moje dziecko przepadło gdzieś na trzy dni.

Inne matki popatrzyły na nią wytrzeszczonymi oczyma.

— Przez pierwsze dwa dni wcale się nie martwiłam — uspokoiła je Mortycja. — Ale w piątek — muszę przyznać — zdenerwowałam się. Szukałam, gdzie tylko się dało: w bagnie, w grobowcu, w bagażniku. I wiecie, gdzie go znalazłam?

— Gdzie? — zapytała w osłupieniu dr Whalen-Shaffler.

— Na strychu. Był zamknięty w walizce, zdrowy i cały — wyjaśniła Mortycja. Zwróciła się do Judy Morgan i pocieszyła ją: — Więc proszę się nie przejmować. Dzieci są jak pleśń. Zawsze wracają.

Dr Whalen-Shaffler odchrząknęła. — Eee... pani Addams... a pani, jako początkująca mamusia, jaki ma problem?

— No... mój problem właściwie dotyczy dwojga starszych dzieci — wyznała Mortycja. — Są bardzo zazdrosne o Groberta. Czy innym paniom zdarzyło się coś podobnego?

— A co robią te starsze dzieci? — zapytała pani psycholog.

— No... jak zwykle — wyjaśniła Mortycja. — Przywiązały niemowlę w czasie burzy do piorunochronu. Podłożyły go na drodze pod samochody, przykrywszy liśćmi. Aha... i jeszcze dzisiaj rano: znalazłam go w garażu, pokrytego miodem i rudymi mrówkami.

Wszystkim szczęki opadły. Były przerażone. Mortycja uśmiechnęła się z ubolewaniem. — Jak to dzieci!

— Brzmi to nadzwyczaj poważnie — przemówiła wreszcie do Mortycji pani psycholog. — Trudności w komunikacji. Powinno się dzieciom wyjść naprzeciw. Z całkowitą szczerością. Inaczej grozi krytyczna dysfunkcja. U innych dzieci i u

noworodka. A jak z jego przystosowaniem? Czy wytwarza się trauma?

— Miejmy nadzieję — odrzekła Mortycja.

Gdy Mortycja wróciła do domu, Fernando nie posiadał się z ciekawości, jak powiódł się seans.

— No... nie jestem pewna, kochanie — odpowiedziała.

— Nie jesteś pewna? — Fernando zmarszczył brwi.

— Co się stało?

— Wszystkie rozmawialiśmy o naszych problemach, po czym dr Whalen-Shaffler powiedziała mi, że jej zdaniem nie jest mi potrzebna pomoc, jakiej mogą dostarczyć jej zajęcia grupowe.

— A to świetnie! — rozpromienił się Fernando.

— Owszem, ale orzekła, że powinniśmy spróbować, czy nie uda nam się nawiązać porozumienia z dziećmi — wyjaśniła Mortycja. — Jej zdaniem to bardzo ważne, abyśmy je poprosili o danie jak najpełniejszego wyrazu swoim uczuciom.

— Brzmi to nader przekonująco — rzekł Fernando. — Zbierzmy całą rodzinę i niech *wszyscy* wyrażą swoje uczucia.

Mortycja zawsze doceniała entuzjastyczne podejście Fernanda. Rodzina niezwłocznie spędzona została do salonu. Zaduszka i Mopsio siedzieli w fotelach, zwrócenii twarzą do pozostałych. Mortycja trzymała niemowlę. Wyrak, wuj Czyrak i Babunia siedzieli za Mortycją i Fernandem.

— Dlaczego mamy tak siedzieć? — spytała Zaduszka.

— Bo w ten sposób czujemy się swobodniej — wyjaśnił ojciec.

— Będziecie nas przesłuchiwać? — zapytał Mopsio.

— Dzieci, dlaczego tak nienawidzicie maleństwa? — odparł Fernando.

— To nie jest żadna nienawiść — wyjaśnił Mopsio. — Po prostu lubimy się nim bawić.

— Zwłaszcza jego głową — dodała Zaduszka.

— Dzieci — podjął cierpliwie Fernando. — Czy myślicie, że bardziej kochamy to małeństwo niż was?

— Tak — odrzekli chórem Zaduszka i Mopsio.

— Czy myślicie, że jak pojawia się nowe dziecko, to jedno ze starszych musi umrzeć? — spytała Mortycja.

— Tak — odparli znów Zaduszka i Mopsio.

— Ależ to nieprawda — rzekła Babunia. — Tylko dawniej tak było.

— Po prostu rywalizacja między rodzeństwem — odezwał się Czyrak. — Nie pamiętasz, Fernando, jak to bywało z nami? Przecież ja cię nienawidziłem.

— A ja tobą gardziłem — wspomniał Fernando.

— Raz go tak przyduśiłem, że stracił przytomność i trzeba było robić mu reanimację — wyjaśnił z dumą Czyrak.

— A ja go przywiązałem do drzewa i wyrwałem mu cztery zęby! Już nie mleczne! — pochwalił się Fernando.

— Bracie! — zawołał Czyrak.

— Braciszku! — odpowiedział czule Fernando.

Wstali i objęli się. Uścisk po trochu zamienił się w klincz. W końcu Fernando podźwignął Czyraka i obróciwszy głową na dół, cisnął nim o ścianę. Błyskawicznie sięgnął po komplet piekielnie ostrych noży i tak precyzyjnie obrzucił nimi brata, że przybił go do ściany przez ubranie.

— Dzieci? — odezwał się Czyrak. — Widzicie?

— W naszym życiu to naturalne — wytłumaczył Fernando.

— Ale obrzuciłeś go nożami tylko dookoła — zaprotestował Mopsio. — Dlaczego mu nie wpakowałeś kilku w ciało?

— Właśnie o to chodzi — wyjaśnił Fernando. — Można mieć ochotę zakatrupić swojego brata, ale w końcu się tego nie robi.

— Tylko staramy się jak najbardziej do tego przybliżyć — uzupełnił Czyrak.

— A dlaczego? — spytała Zaduszka.

— Ponieważ brat jest bardzo ważną częścią naszego życia — odrzekł Fernando. — Bez niego byłoby jakoś pusto.

Zaduszka popatrzyła z powątpiewaniem na Mopsia i znów obróciła się do nich. — Wcale nie było nam *pusto*, zanim go zmajstrowaliście — przemówiła do matki.

— Możecie mi wierzyć, kochani — westchnęła Mortycja — teraz wszystko się zmieni.

Na zakończenie rodzinnej narady Zaduszka i Mopsio obiecali się lepiej obchodzić z braciszkiem. W nagrodę za to Mortycja pozwoliła im zaopiekować się niemowlakiem.

Tymczasem Fernando pomyślał, że Mortycji dobrze zrobi trochę nocnego powietrza. Najwyraźniej zmęczyły ją te napięcia w domu pełnym dzieciaków.

— Przejdziemy się na cmentarz? — zaproponował Fernando, kiedy wyszli w ten mglisty wieczór. Wziął ją pod ramię.

— A gdzież by? — rzekła Mortycja.

— Och — powiedział Fernando — jest jeszcze choćby kostnica... i wysypisko trujących odpadów... już od lat nie byliśmy także w jamach starej smolarni...

— Och, Fernando — westchnęła Mortycja. — Ty figlarzu.

Dotarli do cmentarza i przechadzali się pośród grobowców rodzinnych. Betonowe sępy... daleki kuzyn, któremu roz-wścieczony motłoch oderwał obie ręce... dwugłowa ciotka,

którą spalono na stosie... jakaż to była urocza sceneria. Fernando zatrzymał się przy swoim ulubionym nagrobku.

— Może tutaj, kochanie?

— Oczywiście. — Mortycja usiadła na zimnym marmurze. Popatrzyli na siebie z wyrazem tęsknej pożądlivosti. Ponad nimi unosiły się i kłaskały roztrzepotane gacki.

Ouu...uuuu! Powietrze rozdarło wycie Czyraka.

— Och, nie — westchnęła Mortycja.

— Wiem — pokiwał ze smutkiem głową Fernando. — Jemu się ciągle pogarsza. Dawniej robił to czasami, przez piętnaście minut czy pół godziny. Teraz już wyje praktycznie każdej nocy od zmroku do świtu.

— Może dałoby się coś dla niego zrobić? — rzekła Mortycja.

— Rozumiem cię — odparł Fernando.

— Przecież musi być na świecie ktoś taki, kto umiałby pokochać Czyraka — rzekła Mortycja.

— Na pewno — rzekł Fernando.

Mortycja uśmiechnęła się do niego w ciemności. — Dobry z ciebie brat, mój Fernando.

— A cóż dopiero ty — powiedział Fernando, czule ściskając jej dłoń. — Północ... księżyc... wszędzie dokoła śmierć...

— Stęskniłam się do ciebie — uśmiechnęła się Mortycja.

— Za bardzo pochłoneły nas i odsunęły od siebie rzeczy nieważne — rzekł Fernando.

— Albo ważne — odrzekła Mortycja. — Na przykład dzieci.

— Tak, tak — odparł Fernando. — Ale one chyba już śpią.

— Tak wcześniej? — zdziwiła się Mortycja.

Poprzez mgłę dobiegły ich znajome głosy.

— Trzymasz go? — spytał Mopsio.

— Tak, mam go — odrzekła Zaduszka.

— No to jazda.

— Przytrzymaj go.

Bum! W chłodnym powietrzu nocnym potoczył się echem grzmiący wystrzał.

— Nie trafiłeś! — rozległ się wrzask Zaduszki.

Fernando i Mortycja uśmiechnęli się.

— Zaduszka... Mopsio... — rozculiła się Mortycja.

— I maleństwo... — dodał z rozbawieniem Fernando.

— Chyba nie różnimy się od innych rodzin na świecie — westchnęła Mortycja.

— A na razie ty i ja mamy dla siebie całą noc — rzekł Fernando, czule otaczając ramieniem jej kibić.

— Tak, całą noc! — Mortycja łagodnie wsparła głowę na jego piersi.

— To śmiertelnie zimne powietrze — wyszeptał namiętnie Fernando — te nagrobki, te gnijące pod nimi ciała nieboszczyków... jakże ci z tym do twarzy, najdroższa!

— Kiedyś doczekamy się tego — obiecała Mortycja.

Na cmentarzu zapadła cisza. Później Fernando i Mortycja usłyszeli dolatujące od domu odgłosy.

— Masz, łap go! — wykrzyknęła Zaduszka.

— Nie chcę go — zawołał Mopsio.

Łubudu! Brzdęk! Gdzieś w domu posypała się wielka szymba.

— Jeden dom, trójka dzieci i takie mnóstwo okien — westchnęła Mortycja.

— Ciągle się martwisz? — zapytał Fernando.

Mortycja kiwnęła głową.

— Kochanie — odezwał się Fernando. — Ja się o ciebie martwię. Tyle napięcia. Te nieustanne kłótnie.

— Och, nic mi nie będzie — uspokoiła go Mortycja, czule kładąc mu rękę na udzie. — Po prostu, jak każda nowoczesna kobieta, chciałabym mieć wszystko naraz. Kochającego męża. Rodzinę. Gdybym tylko miała więcej czasu... żeby... dotrzeć do sił ciemności i przyłączyć się do ich piekielnej krucjaty... to by mi wystarczyło.

Fernando zrobił wielkie oczy.

— Możesz! Powinnaś! To się musi stać!

— Ale jak? — zapytała Mortycja.

Rozdział VII

Przez następne dni Fernando przyjmował całą procesję nianieek, wchodzących od frontu do rezydencji Addamsów. Jeżeli miały szczęście, udawało im się przeżyć dostatecznie długo, ażeby opuścić ją tylnymi drzwiami i już nigdy więcej nie wrócić.

Była na przykład Heidekraut, sympatyczna, młoda *au pair* ze Szwajcarii, pragnąca rozmawiać z dziećmi na temat ochrony środowiska, szczególnie pasjonująca się kwestią pożaru lasów.

Niestety wiedziała tylko, jak należy im *zapobiegać*.

Następnie pani Wilfred, dobrodusza, starszawa niania angielska, rozmiłowana w bawieniu się lalkami, dopóki lalka Zaduszki w zamian za posprzątanie pokoju nie zażądała jej nieśmiertelnej duszy.

Po niej była pani Montgomery, która zemdląła na widok wyszukanej kolacji z węzowych łbów, przygotowanej przez Babunię. I panna Wiera, której udało się uciec przez okno po linie z prześcieradeł, powiązanych na supły.

Pewnego wieczora po dniu, w którym pojawiło się i znikło jeszcze kilka nianieek, Mortycja zastała Fernanda, jak w swoim gabinecie rozmawiał przez starożytny telefon.

— Tak, tak — mówił Fernando — trójka dzieci, w tym jedno niemowlę. Nie, nie, tylko trochę lekkich zajęć domowych.

Bez gotowania. Och tak, dzieci się rozkoszne, dobrze wychowane. Nic, nic będzie pani miała z nimi żadnych kłopotów. Co takiego? Nie lubi pani rano wstawać? Chwała Bogu! My też. Tak, doskonale, zobaczymy się jutro. Tak, dziękuję pani. Do widzenia, panno Babrasky.

Fernando odłożył słuchawkę. Mortycja osunęła się na stojącą przy jego biurku sofę, pokrytą niedźwiedzim futrem.

GRRRRR... odezwał się niedźwiedź, ale Mortycja go uciszyła.

— Zdaje mi się, Mortycjo, że wreszcie kogoś znalazłem!
— rzekł do niej podekscytowany Fernando.

— Och, Fernando! Doceniam twoje wysiłki, ale cóż z tego? — odrzekła pośępnie Mortycja. — Nawet jak udaje ci się je znaleźć, żadna nie zostaje tu dłużej niż kilka godzin.

— Ta zostanie! — oświadczył Fernando.

— Wiem, że masz jak najlepsze intencje, mój kochany — rzekła Mortycja. — Może jednak obejdziemy się bez niani. Za kilka lat Zaduszka będzie już wystarczająco duża, aby pomóc przy dziecku. Mogę do tego czasu odłożyć swoje poszukiwanie sił ciemności i przyłączenie się do ich piekielnej krucjaty. Te rzeczy nie znikają z dnia na dzień.

— Nie zrozumiałaś mnie — rzekł Fernando. — Niania, która przyjdzie tu jutro, będzie znakomita!

— Skąd wiesz? — spytała Mortycja. — Czyżbyś dzwonił do jej poprzednich pracodawców?

— Obiecała przynieść ze sobą referencje — rzekł Fernando. — Mówię ci, Mortycjo, w rozmowie wypadła po prostu świetnie. Wiem, że zostanie u nas!

Nazajutrz rozległ się dzwonek i Wyrak poszedł otworzyć. Za drzwiami stała blondynka lat niewiele powyżej trzydziestu. Jej lubieżne kształty ledwie kryły się w białym uniformie.

Wyrak wybałuszył oczy na młodą kobietę, która odpowiedziała mu tym samym. Oboje trochę osłupieli na swój widok.

— Cześć! — odezwała się panna Dybka Babrasky.

Wyrak tylko zamrugał.

— Czy to rezydencja Addamsów? — spytała.

Wyrak znowu zamrugał. Panna Dybka wsadziła głowę do środka i rozejrzała się.

— Ooooooch, ale stare! — oceniła dom. — I ogromne!

Na szczycie schodów ukazała się elegancka kobieta w czerni.

— Wyrak? — zawołała z góry.

Lokaj odwrócił się i zagapił do góry, a jego wpatrzona w nią twarz miała wyraz oszłomienia.

— Cześć! — pomachała Dybka do patrzącej z wysoka kobiety. — Jestem Dybka Babrasky z agencji.

— Z agencji? — ściągnęła brwi Mortycja. — Ależ oni mówili, że nie mają nikogo więcej.

— Niespodzianka! — oznajmiła jej bystro Dybka. — Nie było mnie w mieście. Czy pani jest mamusią?

— Jestem pani Addams — odparła Mortycja.

— Strasznie podoba mi się pani suknia — oświadczyła Dybka. — Taka obcisła.

— Dziękuję pani — rzekła Mortycja.

W holu pojawił się przystojny mężczyzna w kasztanowatym smokingu. Podszedł do Wyraka i Dybki.

— Fernando — rzekła Mortycja — zdaje się, że to nowa niania. Panna Babrasky.

— Dybka — przedstawiła się Debora, gdy Fernando podał jej rękę. Zwróciła się znowu do Mortycji. — Ale zabójczy przystojniak!

— Uniewinniony — rzekł z uśmiechem Fernando.

Dybka roześmiała się.

— I dowcipny!

Fernando rozpromienił się z dumy.

— Pokażę państwu wszystkie moje świadectwa — oznajmiła Dybka i wzięła się do grzebania w torebce. — Abyście wiedzieli, że nie jestem jakaś morderczyni.

— Oczywiście, że nie — odrzekła Mortycja.

— Bo za młoda — zauważył Fernando.

Dybka rzuciła mu odrobinę zdziwione spojrzenie, ale pokryła je natychmiast uśmiechem.

— Więc chciałaby pani chyba zobaczyć naszego synka — rzekła Mortycja.

— Z rozkoszą! — aż zatchnęła się Dybka.

— To proszę wejść na górę — zaprosiła ją Mortycja. — Jest w dzieciennym pokoju.

Dybka zaczęła się wspinać po schodach, a za nią Fernando. Każdy stopień wydawał skrzypienie.

— Te schody warto by naoliwić — zauważyła Dybka.

— Och, nie, w żadnym razie! — odparł Fernando. — Całe lata zajęło nam wypracowanie tego skrzypienia. W domu nigdy nie jest swojsko, dopóki nie skrzypi.

— Naturalnie — uśmiechnęła się Dybka. Osiągnęła szczyt schodów i ruszyła, w towarzystwie Fernanda i Mortycji, przez długi, mroczny korytarz, wyłożony brązową, ciemną boazerią.

— Nie wiem, co mąż powiedział pani o naszym synku — rzekła Mortycja — ale to bardzo nieprzeciętne dziecko.

— Och, wiem, pani Addams — odparła Dybka. — *Każda* matka mówi tak o swoim synku.

— Tu jest pokój dziecienny — wskazał Fernando.

Gdy znaleźli się w pokoju dzieciennym, Mortycja obserwowała, jak Dybka przystanąła na chwilę, aby rzucić okiem na

dziwaczne tapety, wystrzępione zasłony i popękane okna. Tymczasem Fernando wyjął dziecko z czarno wyściełanej kolyški.

— Oooch! — panny Dyb ki omal nie zatkało. — Więc to jest nasze małe stworzonko?

— Nie — odparła Mortycja. — To nasze dziecko.

— Urocze! — rzekła Dybka. — Cudne! Jak się nazywa?

— Namęczyliśmy się nad tym — wyjaśniła Mortycja.

— Grzebaliśmy po wszystkich książkach, przelecieliśmy wszystkie imiona, jakie zwykle nadaje się dzieciom.

— Lucyper — powiedział Fernando.

— Adolf — rzekła Mortycja.

— Mao — dorzucił Fernando.

— I wreszcie opamiętaliśmy się — rzekła Mortycja.

— Zrozumieliśmy, że to musi być coś prostego. Coś takiego, z czym dziecko będzie mogło iść przez życie.

— Grobert — rzekł dumnie Fernando.

— Grobert — powtórzyła z wolna Dybka Babrasky. — Imię rodzinne?

— Tak — potwierdził Fernando. — Nosił je jego pradziadek Grobert Pendragon Addams Trzeci.

— Grobert — posmakowała Dybka. — Podoba mi się. Takie parszywe.

Fernando i Mortycja popatrzyli na siebie. Mortycja spostrzegła, że na jej mężu zrobiło to duże wrażenie.

— Można? — Dybka wyciągnęła ręce do niemowlęcia.

Grrrrr... z cicha zawarczał Grobert.

— Pani bluzka — ostrzegł Fernando. — Czy nie jest łatwopalna?

Dybka potrząsnęła głową.

GRRRRR... tym razem Grobert zawarczał głośniej. Coś za-gruchotało wokół i zabrzęczało szkło.

— Czy jest pani szczepiona? — zapytała Mortycja. — Odra, świnka, wścieklizna?

Dybka przytaknęła. Pokój się zatrzęsł. Cała rezydencja zaczęła skrzypieć i postękiwać.

— Kocham takie maleństwa — zawołała wylewnie Dybka. — Są takie słodkie, różowiutkie i niewinne. Aż chce mi się je złapać i tak ścisnąć, żeby im tchu zabrakło w tym drobnym ciałku!

Fernando wziął Mortycję na bok i wyszeptał: — To zbyt piękne! Aż trudno uwierzyć!

— Rzeczywiście — odszepnęła Mortycja. — Mam nadzieję, że nie mówi tak po prostu z wyrachowania, wiedząc, że my właśnie coś takiego chcemy usłyszeć.

Fernando uczynił gest w kierunku Groberta, którego wciąż jeszcze trzymał w ramionach.

— No, chyba to będzie najważniejsza próba.

Mortycja skinęła głową.

— Proszę!

W domu ciągle jeszcze groźnie burczało i pokój dygotał. Fernando postąpił w stronę panny Dybki i podał jej Groberta. Jakby trzęsienie ziemi rozlegało się pod nimi. Pokój zatrzęsł się tak gwałtownie, że kawałki tynku się posypały z sufitu. Fernando i Mortycja popatrzyli w górę z niespokojnym wyrazem twarzy.

Dybka wzięła Groberta w objęcia. Przytuliła go do bujnej piersi. — Jak się masz, Grobert — odezwała się z cicha. — Kocham cię.

Pokój przestał się trząść. Fernando i Mortycja odetchnęły z ulgą.

Rozdział VIII

- Z dziecinnego przeszli do pokoju Zaduszki.
- Dzieci nazywają się Zaduszka i Mopsio — wyjaśniła Mortycja. — Bardzo się trzymają ze sobą.
 - Wciąż bawią się razem — dodał Fernando.
 - A innych przyjaciół nie mają? — spytała Dybka.
 - Mopsio kiedyś miał przyjaciela — odrzekł Fernando.
 - Już nie pamiętam, co mu się przytrafiło.
 - Chyba użyli go do jakiegoś doświadczenia w laboratorium — przypomniała sobie Mortycja.
 - A co z towarzystwem do zabaw? — spytała Dybka.
 - Towarzystwem do zabaw? — ściągnęła brwi Mortycja.
 - Co to właściwie znaczy?
 - No, kiedy wasze dzieci chodzą do czyjegoś domu i tam się bawią — wyjaśniła Dybka. — A następnym razem tamte dzieci przychodzą do was. I tak na przemian.
 - To dziwne — rzekła Mortycja. — Nigdy w życiu nie słyszałam o czymś podobnym. A kto to urządza?
 - Przeważnie mamusie albo nianie — odrzekła Dybka.
 - Hm, jakoś nigdy się nie zdarzyło, żeby mamusie innych dzieci z tych szkół, do których uczęszczają nasze dzieci, zadzwoniły, aby zaprosić któreś z naszych — zadumała się Mortycja.
- Przystanąłi pod drzwiami, na których widniał napis:

WSTĘP WZBRONIONY INTRUZÓW SIĘ OKALECZA

— Zaduszko? — Mortycja zapukała do drzwi.
— Wynocha! — odkrzyknął dziecięcy głosik.
— Chcemy, żebyś zapoznała się z nową nianią — rzekł Fernando.

— Wała! — krzyknął chłopięcy głos.
— Dzieci, zachowujcie się! Czy aby nie zapominacie o dobrych manierach? — spytała Mortycja.
— Szkoda fatygi! — odparł dziewczęcy głosik. — Do jutra diabli ją wezmą, tak jak wszystkie.
— Ta jest inna — zapewnił Fernando. — Ona tu zostanie.
— Dzieci, wchodzimy! — Mortycja obróciła gałkę klamki. Drzwi się uchyliły.

Dybka uczyniła krok do środka, lecz Fernando złapał ją za ramię i gwałtownie odciągnął. W tym momencie w płaszczyźnie drzwi śmignął z góry na dół ogromny miecz. Gdyby panna Babrasky tam stała, rozplatałoby ją na pół.

— Teraz można — powiedział Fernando.

Dybka weszła do środka. Jak w większości pokojów, tak i w tym okna zakryte były czarnymi, wystrzępionymi zasłonami. W pokoju porozrzucone były dziesiątki lalek, prawie wszystkie bez głów, rąk czy nóg, albo i gorzej. Misie oraz inne wypchane zwierzątka poprzybijano strzałami do ścian. Dybka zauważyła, że łóżeczko Zaduszki ma kształt niedużej trumienki.

Na środku pokoju zwiisała na stryczku z haka od lampy lalka, bobasek, z ustami zalepionymi brązowym plastrem. Zaduszka i Mopsio stali przy dyndającej lalce. Oboje mieli na twarzach maski do spawania i trzymali syczące, oślepiające blaskiem palniki tlenowe.

— Dzieci, to jest panna Babrasky — zagaiła Mortycja. — Wasza nowa niania. I co wy na to?

— Bój się — odparła rzeczowo Zaduszka, zadzierając przód swej maski. — Lepiej od razu bój się.

Dybka przyklękła przed dziećmi.

— Coś takiego! — powiedziała. — I musicie się gnieść w tym domu z niemowlakiem. Niefajnie, co?

— Pewnie — przytaknął Mopsio.

— Założę się, że nieraz chcielibyście zostać tylko we dwoje — zauważyła Dybka.

— Albo i mniej — odparła złowróźnie Zaduszka, spoglądając na Mopsia i celując w niego palnikiem.

— Nie przejmuj się — pocieszyła ją Dybka. — Wszystko da się załatwić. Będzie dobrze.

— Skąd wiesz? — zapytał Mopsio.

— Kto ci powiedział, że tutaj ktoś chce, żeby było dobrze? — spytała Zaduszka.

Dybka tylko uśmiechnęła się i wstała. Zwróciła się do Fernanda i Mortycji:

— Jakież to kochane, inteligentne dzieci! Już je uwielbiam.

Wtem poczuła, że jakaś dłoń jej łąduje na ramieniu. Na chwilę zamarła.

— Rączka! — uśmiechnęła się Mortycja. — Przestań!

Dybka obejrzała się przez ramię i zobaczyła siedzącą na sobie ludzką dłoń. Jeden palec głaskał ją po policzku.

— On panią lubi — rzekł Fernando.

Dybka uśmiechnęła się do Rączki. Potem wzięła jej wskazujący palec do ust i posmoktała go nadzwyczaj zmysłowo. Rączka aż zadygotał z rozkoszy.

— Ja nieźle sobie radzę z rękoma — Dybka znacząco puściła oko do Fernanda.

Z pokoju Zaduszki powrócili do holu i zatrzymali się przy

głównych schodach. Dybka spostrzegła, że zza kolumny przygląda się skrycie łysy, otyły mężczyzna. — Cóż to za cudowna rodzina! — zachwyciła się. — Ale jednego jej członka jeszcze nie poznałam.

Mężczyzna wylażł niepewnie zza kolumny. Miał czarne obwódki wokół oczu. Dybka poczuła, że wokół niego się unosi jakby zapach stęchlizny.

— Hej, kochasiu! — zagadnęła go.

Tamtemu szczeka opadła.

— Czy to pański bratanek? — zwróciła się do Fernanda.

— Mój brat — odparł Fernando.

— Nie. — Panna Dybka nie posiadała się ze zdziwienia.

A Czyrak znowu schował się za kolumną.

— Czyrak, wylaż stamtąd — przemówiła Mortycja. Zwróciła się do przybyłej. — On jest taki nieśmiały. Czyrak, to panna Debora Babrasky, nowa niania.

Więc to jest Czyrak Addams! pomyślała Dybka, kiedy Czyrak wylażł spoza kolumny.

— Jak się masz, Czyrak! — zagadnęła go i zwróciła się do Mortycji: — Ach, ci Addamsowie, co za mężczyźni! Skąd się tacy biorą?

— Chyba z wilgoci — odrzekła Mortycja.

Dybka przesłała Czyrakowi najbardziej serdeczny i szczerzy uśmiech, na jaki się potrafiła zdobyć.

Czyrak w odpowiedzi wytrzeszczył ślepie. Trochę śliny mu pocięło z kącika ust. W brzuchu mu się zakotłowało, jak gdyby zbliżał się straszliwy atak grypy jelitowej. Ależ ona piękna! I jeszcze się do niego uśmiecha. O mało nie dostał zawrotu głowy. Nagle odczuł całkowitą pewność, że się zakochał.

Fernando zatarł dłonie.

— No więc, eee, panno Babrasky, to by było na tyle. Zapoznała się pani z naszą rodziną. Kwestię pani wynagrodzenia

i godzin pracy już omówiliśmy. Czyli że wszystko jakby załatwione.

— Cudnie! — zawołała entuzjastycznie Dybka. — Wprost nie mogę się już doczekać! Jutro od rana biorę się do roboty.

Bez najmniejszego ostrzeżenia z góry zwałił się na nich Grobert. Tylko szybki refleks Fernanda sprawił, że dziecko nie roztrzaskało sobie czaszki o posadzkę. Wszyscy spojrzeli na piętro, gdzie u poręczy stali Mopsio i Zaduszka. Fernando przytulił Groberta do piersi.

— A może już dziś wieczór? — zapytał.

Jeszcze tego wieczora Dybka wróciła do rezydencji Addamów z walizką. Mortycja zaprowadziła ją na dół, do przeznaczonego dla niej pokoju.

— Myślę, że spodoba ci się ta piwniczka — rzekła Mortycja, kiedy szły po kamiennym korytarzu, oświetlonym pochodniami. — Tak tu przytulnie i na uboczu od całej rodziny. Rozumiemy, że będziesz chciała też pobyc sama.

— Bardzo to miłe z pani strony — odrzekła Dybka.

Mortycja, pchnąwszy zgrzytające, żelazne drzwi, weszła do mrocznego pomieszczenia, skąd powiało zapachem pleśni. — To będzie twój pokoik. Bardzo przyjemny.

Dybka weszła do środka. Pokój był niewiele większy od szafy albo spiżarni. W powietrzu panował ziąb, a ściany i podłoga były wykute w kamieniu. Na jednej ze ścian, pod sufitem, widniało malutkie, zakratowane okienko. Pod nim stało wąskie, żelazne łóżko. Naprzeciw łóżka znajdował się zlew i muszla klozetowa bez siedzenia.

— Bardzo tu przytulnie — rzekła Dybka.

Położyła się na żelaznym łóżku, żeby je wypróbować. Nagle spod łóżka wyskoczyły stalowe obręcze i zatrzasnęły się na jej przegubach, kostkach, w pasie i na szyi. Została unieruchomiona. Kiedy przyglądała się temu w oszołomieniu, spod sufitu zjechało na sznurze piórko i zaczęło ją laskotać w nos. Po czym w głowę ugodziła ją kropla wody, a za nią następna i następna, niewybrednie ale skutecznie naśladowując chińską torturę wodną.

— Zdradzić ci sekret? — spytała Mortycja.

— Och, tak, proszę! — przytaknęła gorliwie Dybka.

— W tym właśnie pokoju zwariowała ciocia Salomea.

— A co się stało? — zapytała ciekawie Dybka, podczas gdy krople wody wciąż rozpryskiwały się jej na czole, a piórko bez ustanku laskotało w nos.

— Nie wiadomo — odrzekła Mortycja.

Na górze, w swojej sypialni, Czyrak leżał na materacu z końskiego włosia, ubrany w koszulę nocną i szlafmycę. Zawsze w nocy miał zwyczaj podjadać spleśniałe ciastka ze zwarzonym mlekiem. Na krawędzi łóżka przysiadł Fernando w jedwabnej niebieskiej pizamie i kasztanowatym żakiecie od smokingu. Na toalecie migotały trzy świece.

— Więc panna Babrasky będzie u nas pracować? — dopytywał się Czyrak.

— To klejnot, nie uważasz?

— Ona jest... — Czyrakowi przelatowały w mózgu miliony wyrazów zachwytu. — Wprost idealna!

— Owszem — zgodził się Fernando. — I będzie idealną nianią dla moich idealnych dzieci. A moja ukochana żona będzie mogła się wreszcie zająć poszukiwaniem sił ciemności.

— No właśnie! — przytaknął Czyrak.

Fernando uśmiechnął się na myśl, jak szczęśliwa będzie jego rodzina. — Och, Czyrak, ja to mam szczęście! Mam nadzieję, że któregoś dnia ty również poznasz radość posiadania dzieci... i wynajęcia kogoś, żeby je wychowywał!

— Ale czy nie powinienem się najpierw... ożenić? — wybąkał Czyrak.

— Oczywiście — przytaknął Fernando. — Ale jesteś młodym chłopcem. Masz jeszcze mnóstwo czasu. Na pewno trafi ci się ktoś niezwykły. Kto nie będzie się brzydził twoich pryszczów. I nie będzie zbyt wymagający.

— Pragnąłbym tego — uśmiechnął się Czyrak.

— Ty łobuzie! — Fernando się podniósł. Już miał wychodzić, kiedy spostrzegł róg czasopisma, wystający spod materaca. Schylił się i wyciągnął je. — A cóż to takiego?

Czyrakowi szczeka opadła. Fernando wstał i otworzył pismo na rozkładówce.

Obaj przyglądali się z uwielbieniem wielkiemu zdjęciu.

— Mamusia!

Fernando ruszył do drzwi. — Do rana, Czyrak! — Uśmiechnął się i pomachał ręką.

Czyrak poczekał, aż skrzypienie dało znać, że brat schodzi na dół po schodach. Podniósł pismo i wbił kochające spojrzenie w rozkładówkę, na której widniała ich matka. Niestety, już jej nie ma! a zdjęcie, jakkolwiek szczegółowe czy podretuszowane, nie mogło oddać cudownego uczucia, z jakim tulił się do jej zimnego ciała, z lekka już dotkniętego trupią sztywnością.

Czyrak westchnął i zapatrzył się na w migotliwe światło na toaletce. Poczul nieznośny aż do bólu skurcz samotności, tym dotkliwszy, że w domu przebywała gdzieś panna Babrasky.

Co za udręka! Taka idealna i taka nieosiągalna. Czyrak westchnął głęboko i zadygotał, wypuszczając oddech. Dotkliwy ból samotności zamienił się w nie mniej dotkliwy ból nieodwzajemnionej miłości.

W sypialni małżeńskiej Mortycja siedziała przy swojej gotowalni, a Rączka polerowała jej paznokcie.

— Och, wiem, Rączka — odezwała się. — Tak trudno w tych czasach o dobrą służbę.

Rączka wskazał na jej długie, kształtne palce.

— Skórki? — spytała Mortycja. — Czy ja wiem. A ty jak uważasz?

Znowu gest Rączki.

— Owszem, chyba masz rację — odrzekła Mortycja. — Odłóżmy to do następnego razu. I dlatego uważam, że Dybka to świetny nabytek. Mam nadzieję, że ją polubisz.

Rączka kilka razy podskoczyła.

— Och, jakże się cieszę — odrzekła Mortycja. Wyciągnęła dłoń i łagodnie poklepała Rączkę. — Tak się cieszę, że nie jesteś zazdrosny, Rączka. Nie obawiaj się, że ktoś mógłby cię zastąpić w naszych sercach... albo w naszych dłoniach.

Drzwi otworzyły się i wszedł Fernando.

— Położyłeś Czyraka do łóżeczka, kochanie? — spytała Mortycja.

— Naturalnie — odrzekł Fernando, sadowiac się na łóżku i zrzucając pantofle. — Biedny chłopczyzna. Jego pragnienie, żeby znaleźć sobie kogoś, to istna obsesja.

— Biedny Czyrak — westchnęła Mortycja. — Żeby tylko te pryszczki nie pokrywały go w dziewięćdziesięciu procentach.

— Ale tego nie widać, jak jest ubrany — rzekł Fernando.

— To prawda — odrzekła Mortycja. — Ale pewnie o tym wciąż myśli. Stąd jego zahamowania.

Fernando wyciągnął się na łóżku, a Rączka nadal zajmowała się paznokciami Mortycji.

— Jak nowej niani spodobał się jej pokoik? — spytał Fernando.

— Była zachwycona — rzekła Mortycja. — Powiedziałam jej, że to jedno z najprzyjemniejszych miejsc w naszym domu, i chyba się zgodziła.

— Ta dziewczyna wydaje się mieć nieprzeciętnie wyborny gust i rozsądek — stwierdził Fernando.

— Mnie również tak się wydaje — rzekła Mortycja.

— Jej obecność tak mi ulżyła. Dzieci lgną do niej.

— Jak pijawki — zgodził się Fernando.

Mortycja odwróciła się nagle od swej szkatułki kosmetycznej i wpatrzyła się w męża z wyrazem niepokoju.

— Kochanie, teraz... kiedy jesteśmy już starym małżeństwem z trojgiem dzieci, czy uważasz... że czas namiętności dla nas już minął?

Czując, że się zanosi na poufną rozmowę, Rączka szybko dokończyła pracy przy paznokciach Mortycji, pozakręcała flakoniki i wymknęła się z pokoju. Zaskoczony Fernando usiadł na łóżku.

— Ależ kochana! — wytchnął z niedowierzaniem.

— Czy sądzisz, że romans to już nie dla nas? — spytała Mortycja.

— *Cara mia!* — zadygotał Fernando.

— Może poczujesz, że ta część życia dla nas należy do przeszłości? — pytała dalej Mortycja, odwróciwszy się znów do gotowalni, z głową smutno pochyloną w zgryzocie.

Fernando był tak wstrząśnięty, że głos mu odebrało. Rozejrzał się dzikim wzrokiem, a potem zaczął wpełzać po ścianie i aż na sufit, jak ludzka mucha. Odwrócona do niego plecami, Mortycja nadal roztrząsała problem wygasłych namiętności.

— Czasami zastanawiam się, czy pożądanie fizyczne to rzecz przelotna, czy wieczna? — rozważała. — Czy jego płomień to złudzenie? Czy fascynacja zamieniła się w pożegnanie?

— Ooooooch aaaaaach! — zaryczał z bólu Fernando na samą myśl o życiu bez lubieżności.

— Czyżby miłość nasza wkroczyła w jesień swych lat? — dopytywała się wciąż Mortycja. — *Est-ce que l'amour est morte?* Płomień jej zapomniany? Jej gorączka wygasła?

Bach! W przypiływie namiętności stracił przyczepność i odpadł od sufitu. Zwalił się na podłogę u stóp Mortycji. Chwycił rąbek jej koszuli nocnej i przycisnął do rozdygotanych warg.

— Namiętności moja! — wykrzyknął, podnosząc pełen uwielbienia wzrok na swą posągową małżonkę.

Mortycja uśmiechnęła się do niego z góry i poklepała go po głowie.

— *Mon sauvage...* Więc nadal mnie pożadasz? Po tylu latach?

— Och, tak! — wykrztusił Fernando.

— Mnie? takie stare maleństwo? — przekomarzała się z nim kokieteryjnie Mortycja. — Łańcuch i kula u nogi?

— Zawsze! — przytaknął jej roznamiętniony Fernando.

Mortycja przesłała mu swój najbardziej uwodzicielski uśmiech. — Zaraz je przyniosę.

Rozdział IX

Nazajutrz cała rodzina zwłokła się bardzo wcześnie. Domyślając się, że Grobert bawi się na parterze, Zaduszka i Mopsio uwiązali na linie małe kowadło i przerzucili je za poręcz z pierwszego piętra.

— Przyjrzyj się, gdzie on jest — wyszeptła trzymająca linę Zaduszka.

Mopsio wyjrzał za poręcz.

— Dokładnie pod nami — odszepnął.

— Raz — szepnęła Zaduszka.

— Dwa — szepnął Mopsio.

— Trzy! — wyszeptali razem. Zaduszka puściła linę. W tejże chwili Rączka przemknęła pod nimi, przebierając palcami, po podłodze i Grobert się za nią poczołgał.

Łup! Kowadło grzmotnęło o podłogę dokładnie w miejscu, gdzie na ułamek sekundy przedtem znajdował się Grobert.

— O! kurczę — wymamrotał Mopsio.

Dybka weszła do pokoju i podniosła raczkujące dzieciątko. Mortycja i Fernando zmierzali do drzwi wyjściowych. Wyglądało na to, że im się śpieszy.

— Uważaj na Groberta — rzekła Mortycja. — Nie będzie nas do późnych godzin porannych.

— Czyrak! — zawołał Fernando, naciągając żakiet. — Czyrak, idziemy!

Ale Czyraka nigdzie nie było widać.

— Och, gdzie on się podział? — zmartwił się Fernando. — Spóźnimy się!

— Dokąd się wybieracie? — spytała niewinnie Dybka.

— Najwyższy czas zajrzeć do księgowości — odrzekł w roztargnieniu Fernando i jeszcze raz wrzasnął: — Czyrak!

Fernando otworzył drzwi frontowe.

— O, jest!

Czyrak pojawił się w wystrzępionym brązowym płaszczu.

— Pożegnaj się z panną Dybką — rzekł Fernando, ale Czyrak przegalopował obok niej z pochyloną głową i wypadł za drzwi. Fernando odwrócił się do panny Dybki i wrzuszył ramionami.

— Wiesz, jaki jest nieśmiały.

— Nic nie szkodzi — mrugnęła do niego Dybka.

— Tu są wszystkie ważniejsze numery telefoniczne — Mortycja wręczyła jej kawałek papieru. — Policja, straż ogniowa, pogotowie od pasożytów i dezynfekcji, trupiarnia.

— Miłej zabawy! — Dybka pomachała im w otwartych drzwiach.

Patrzyła, jak wsiadają do Rollsa Phantoma i odjeżdżają. Potem zamknęła drzwi.

— Do księgowości, no, no — powiedziała do siebie, uśmiechając się. — Ten Czyrak musi mieć sporo szmalu. — Niosąc Groberta na biodrze, ruszyła długim, ponurym korytarzem, wzdłuż którego wisiały głowy upolowanych lwów, tygrysów i słoni. Mijali wielkie gabloty, pokazujące wilki, ptactwo i żółwie morskie w ich naturalnym otoczeniu. W następnej gablocie mały, wypchany niedźwiadek stał z przednimi łapami przyciśniętymi do szklą i z przerażonym wyrazem pyska.

Dybka przystanąła i ze zmarszczoną brwią przyjrzała się tej gablocie. Przez chwilę wydało jej się, że niedźwiadek napisał krwią za szybie: NA POMOC! Potrząsnęła głową. To niemożliwe.

Ruszyła dalej przez hol i dotarła do gabinetu Fernanda. Rozejrzawszy się, czy ktoś nie szedł za nimi, otworzyła cichutko drzwi i weszła do środka. Jak wiele innych pokojów, tak i ten był mroczny, zakurzony i pełen dziwacznych antyków. Ozdobna boazeria z mahoniu okalała ściany do jednej trzeciej wysokości, a powyżej ściany pokrywała żółtawa tapeta we wzór z jadowitego bluszczu.

Dybka uświadamiała sobie, że niełatwo jej przyjdzie uporać się z tym, co zamierzyła, jeżeli Grobert będzie w ruchu. Na szczęście znalazła żelazną kulę i łańcuch do zakuwania więźniów.

Zamknąwszy je Grobertowi u kostki, żeby się jej nie pętał, podeszła do wielkiej, drewnianej szafy i otworzyła ją. W środku znajdowały się kartoteki. Przeglądając je, trafiła na księgi rachunkowe.

Każda z nich miała wypisane u góry: CZYRAK ADDAMS, a poniżej specyfikacje: TYTUŁY WŁASNOŚCI, AKCJE, ZŁOTO W SZTABACH, OBLIGACJE SKARBOWE itd. Dybka obejrzała każdą z osobna i na twarzy jej ukazał się uśmiech. Całkiem jak te opowieści w gazetach. Facet rzeczywiście ma forsę jak lodu!

Coś za nią skrzypnęło. Dybka odwróciła się na pięcie. Oko jej zatrzymało się na starej zbroi: miejsce jak znalazł do schowania się dla kogoś, kto by ją śledził! Przemierzyła pośpiesznie pokój i uniosła przyłbicę. W środku nie było nikogo. Wzrok jej przyciągnął portret niesamowicie wyglądającego mężczyzny z płonąca świecą w ręku. Czy aby nie wycięto mu

oczku, żeby przez nie podglądać? Przyjrzała się dokładnie. Ale nie! oczy też są namalowane.

— Co za makabryczna rudera — wymamrotała pod nosem. — Jakie tu przeciągi. To naprawdę... nie miejsce dla dzieci. Słowo daję.

Przekonawszy się, że Czyrak w istocie jest nie lada bogaczem, Dybka odpięła Grobertowi z kostki łańcuch z żelazną kulą i niosąc go wyszła z pokoju.

Ledwie znikła za drzwiami, kiedy poruszył się kawałek ściany. Oddzieliła się od niej Zaduszka, do szyi pomalowana jak mahoniowa boazeria, a od szyi w górę jak żółtawa tapeta we wzór z jadowitego bluszczu.

Od początku wyczuła, że panna Debora Babrasky knuje coś podejrzanego, i nie myliła się.

Z gabinetu Fernanda Dybka zabrała Groberta do dzieciennego pokoju, aby go przebrać. Jak wiele małych dzieci, on też myślał, że to jakaś zabawa, i ciągle się jej wykręcał.

— Uspokój się, ty bękarcie! — warknęła Dybka, usiłując go ubrać.

— On nie jest bękartem — rozległ się głos Zaduszki.

— Oczywiście, że nie jest — podchwyciła panna Babrasky, — Przecież to urocze dzieciątko.

— No dobra, posuwaj — rzekła Zaduszka.

— Szykujemy go na śliczny spacer — odparła Dybka. — A ty przejdiesz się z nami?

— Jesteś naprawdę nianią? — spytała Zaduszka.

— Co za pytanie! — uśmiechnęła się Dybka.

— Po co tu przylazłaś? — twarz Zaduszki nie zmieniła wyrazu.

Panna Debora czuła, że w obecności tej małej ciarki jej przechodzą po krzyżu, ale co tam! dziecko i tyle. — Żeby zająć się wami — odparła. — Wszystkimi.

— A zwłaszcza wujkiem? — łypnęła ponuro Zaduszka.

Dybka wstrząsnęło to do głębi, postarała się jednak od niechcienia zbyć krępujące pytanie. Czyżby ta mała wiedźma się zorientowała? Czy po prostu przypadkiem odgadła?

— Jestem tu po to, żeby się opiekować Grobertem, Mopsiem i tobą — odparła. — Będzie mi również miło pomagać waszym rodzicom i wujkowi, w każdy możliwy sposób.

Zaduszka tylko stała w otwartych drzwiach i gapiała się na nią. Dybka nie mogła powstrzymać dreszczu. Trzeba coś zrobić z tą cholera i z jej braciszkiem również.

Na razie zabrała Groberta na długi spacer, a następnie położyła, żeby się zdrzemnął. Później właśnie obudziła go, kiedy usłyszała, że wracają dorośli. Wzięła dziecko na ręce i zaniosiła je do wielkiego pokoju, gdzie przebywali Mortycja i Fernando.

— I jak było? — zapytała Mortycja.

— Och, wspaniale — odrzekła Dybka. — Grobert był taki grzeczny.

Fernando westchnął i potrząsnął głową. — Przykro mi to słyszeć — oznajmił.

— A nasza dwójka? — zapytała Mortycja.

— Jak zwykle — odpowiedziała Dybka. — Tylko że...

— Że co? — podchwycił Fernando.

Dybka potrząsnęła głową. — Nie powinnam tego powtarzać.

— Nam? Nie powinnaś? — zmarszczył się Fernando.

— Bo to sekret — wyjaśniła Dybka. — Nasze małe aniołki, Zaduszka i Mopsio, kazali mi obiecać, że nic nie powiem.

— Wszak to nonsens — rzekła Mortycja. — Jesteś ich piastunką. Zdradzać ich zaufanie to twój obowiązek.

— No cóż... — Dybka ciężko westchnęła, jak gdyby zmuszała się do mówienia. — Wiecie, o czym Zaduszka i Mopsio najbardziej marzą? Żeby wyjechać na obóz.

Mortycja i Fernando popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

— Na obóz?

— Niczego tak nie pragną — stwierdziła Dybka. — Rozmawiali o tym przez cały ranek.

— Pierwsze słyszę — powiedział Fernando.

— Wiem — Dybka smutno pokiwała głową. — Boją się was poprosić. Żebyście nie pomyśleli, że chcą wyjechać z domu, ponieważ was nie kochają.

— Biedactwa — westchnęła rzewnie Mortycja. — Cóż za dziwne życzenie.

— Przeróżające — rzekł Fernando.

— Okrutnie im na tym zależy — stwierdziła Dybka. — Wiedziałam, że chcielibyście o tym usłyszeć. Tacy kochający rodzice.

Mortycja zwróciła się do męża.

— Och, Fernando! I co o tym sądzisz?

— Chyba nie możemy im odmówić? — zastanowił się.

— Tylko nic im nie mówcie — doradziła piastunka. — Po prostu załatwcie to i koniec. Na pewno będą się wszystkiego wypierać. Ale tak chcieliby pojechać. — Uśmiechnęła się. — Kochane dzieci.

Rozdział X

Mijały tygodnie. Dzieci dokonały mnóstwa zamachów na życie Groberta, ale wszystkie spaliły na panewce czy to przez głupi przypadek, czy dzięki czujności Dybki, której potrzebne było zachowanie maleństwa przy życiu, aby przeprowadzić swe plany. Równocześnie bardzo troskliwie pielęgnowała ciągoty Czyraka, raz po raz to mrugając na niego, to pochlebiając mu, a od czasu do czasu pokazując mimochodem swe długie i zgrabne nogi.

W przeddzień rozpoczęcia się obozu letniego Fernando odczekał, aż zjedli kolację, i wtedy powiedział o tym dzieciom. Dybka była wtedy na górze i przewijała Groberta.

— Dzieci — przemówił Fernando, dotykając sobie warg serwetką — mam dla was nowinę. Mama i ja postawiliśmy wysłać was na letnie wakacje.

— W obozie dla trędowatych? — ucieszył się Mopsio.

— Niestety — rzekł Fernando. — Pojedziecie na obóz Chippewa.

— W życiu o takim nie słyszałam — burknęła Zaduszka.

— To jest obóz letni, moi kochani — wyjaśniła Mortycja. — Tatus i ja wiemy, że marzyliście o czymś takim. To dla nas niepojęte, ale postanowiliśmy spełnić wasze życzenie, żeby raz

na zawsze odechciało się wam obozów.

Zaduszka i Mopsio wzajemnie wybałuszyli na siebie oczy, a potem na rodziców.

— Czy możemy się od tego jakoś wykręcić? — spytała Zaduszka.

— Moglibyście na przykład złamać nogę albo ciężko zatruć się związkami ołowiu — odpowiedział Fernando.

— Bo jak nie, to musimy jechać? — zapytał Mopsio.

Mortycja skinęła głową.

— Wyrak was tam zawiezie z samego rana.

— Czy możemy odejść od stołu? — poprosiła Zaduszka.

Fernando pozwolił. Dzieci ruszyły po schodach górę, do swych pokojów.

— Ja nie jadę — oświadczyła Zaduszka. — Niech ja zdechnę, jak Dybka tego wymyśliła. Ona chce się nas pozbyć.

— Co robimy? — zapytał Mopsio.

— Uciekniemy — odpowiedziała siostra.

— Jakbyśmy to zrobili, Dybka się nas właśnie pozbędzie — zauważył inteligentnie Mopsio.

— Chwilowo — podkreśliła Zaduszka. — Potem wrócimy. A z obozu możemy już nigdy wrócić.

W swoich pokojach dzieci szykowały się do ucieczki. Zaduszka spakowała walizę okrętową, a Mopsio wybrał wielką zieloną torbę. Później zawlekli je do zjeżdżalni, do których wchodziło się z szafy, a wypadało się z nich w pobliżu cmentarza.

Noc była ciemna i mglista, powietrze z lekka przejmujące dreszczem. Z rur zjeżdżalni wykoziołkowały walizka i torba, a w ślad za nimi dzieci. Zaduszka i Mopsio wstali, otrzepali się i powlekli swój bagaż, oddalając się od domu.

- Dzieci? — zawołał w mroku jakiś głos.
- Zaduszka i Mopsio, odwróciwszy się, zobaczyli, jak wuj Czyrak wbija strzykawkę dożylną w jakieś pnące.
- Dokąd się wybieracie? — zapytał wuj Czyrak.
- Uciekamy — oznajmiła Zaduszka. — Mama i tata chcą nas zamordować. Chcą utopić nas we wrzącym oleju. Chcą pokazać nam, jak to jest w piekle.
- Obóz letni? — domyślił się wuj.
- Zaduszka kiwnęła głową. — Czy oni muszą się jej słuchać? — zapytała z goryczą.
- Jej? — powtórzył zaskoczony wuj Czyrak. — Czyżby to panna Dybka wymyśliła?
- Tak uważam — stwierdziła Zaduszka.
- Hm... skoro tak — zastanowił się Czyrak — może uczyniła to w jak najlepszej intencji. Ona jest bardzo mądra. I bardzo troskliwa.
- I blondynka — rzekła Zaduszka.
- Ona ci się podoba, wuju? — zapytał Mopsio.
- Nie, nie... skądże... no cóż... Nie! Wcale jej nie lubię. Chociaż... może troszkę. Owszem... sympatyczna. Jak na piastunkę. Właściwie to nadzwyczajna. Wspaniała!
- Opanuj się, wuju! — ofuknęła go szyderczo Zaduszka.
- Dzieci, to wy? — rozległ się głos ojca.
- O, cholera! — wymamrotał Mopsio.
- Tak, są tutaj — wyręczył ich wuj Czyrak. — Właśnie powiedzieli mi, że uciekają z domu.
- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, ty wuju — warknęła Zaduszka.
- Zza domu wyszedł Fernando.
- Cześć! Dokąd to chcieliście uciekać?
- Byle gdzie. Z wyjątkiem obozu Chippewa — wyjaśniła Zaduszka.

— Ale jutro macie tam jechać — rzekł Fernando.
— No właśnie — powiedział Mopsio. — A nie mamy ochoty.

— Och, to tylko nerwy, rajzefiber i tyle — uśmiechnął się Fernando. Podniósł torbę podróżną Mopsia. — Dybka nam powiedziała, że nie możecie się doczekać tego wyjazdu. Czyrak, chodź, zabierzemy ich bagaż i niech do rana oglądają stare rodzinne filmy. Żeby się za bardzo nie wyspali przed podróżą.

Fernando i Czyrak potachali bagaż do środka. Mopsio i Zaduszka szli za nimi z ponurym wyrazem twarzy.

Zajechali do obozu tuż przed południem następnego dnia. Prowadzony przez Wyraka Rolls Phantom wjechał przez drewnianą bramę z napisem OBÓZ LETNI CHIPPEWA, ułożonym z patyków i szyszek. W głębi ujrzeli drewniane baraki oraz kilka budynków z grubych pni.

— Jakie to wiejskie — zauważył Fernando.
— Obóz Chippewa — odczytała Mortycja. — Czyż nie uroczy?
— Co to jest Chippewa? — zapytał Mopsio.
— Stare słowo indiańskie — rzekł Fernando.
— Znaczą: sierota — wyjaśniła zgryźliwie Zaduszka.

Wyrak zaparkował przed głównym budynkiem i Addam-sowie wysiedli. Wokół nich całe tuziny rodzin wysiadały z innych samochodów. Fernando głęboko zaczerpnął tchu.

— Ach, świeże powietrze! Ten jodłowy zapach! — wykrzyknął, dobywając z marynarki cygaro i wręczając je Mopsiowi. — Synu, lepiej ci będzie, jak sobie zakopiesz.

— Zaduszko — rzekła Mortycja — popatrz, ile tu dzieci! Te piegi, te świdrujące oczka, te przyjazne, wyszczerzone uśmiechy!

— I co mamy robić? — spytała Zaduszka.

— Pomóście im — brzmiała rada jej matki.

Podeszła dziewczynka lat około dwunastu. Miała długie, jasne włosy, dzinsową kurtkę i także spodnie, ozdobione na szwach rzędami świecących brylancików.

— Hej, nazywam się Amanda Buckman — odezwała się do Zaduszki. — Dlaczego jesteś tak ubrana?

— Niby jak? — spytała Zaduszka.

— Jakbyś wybierała się na pogrzeb — odparła jej Amanda. — Tak wyglądasz. Chyba nikt nie umarł?

— To się okaże — odpowiedziała Zaduszka.

Do Amandy przyłączyli się mężczyzna w niebieskim wdzianku i kobieta w żółtej sukience plażowej.

— Cześć — zagadnął mężczyzna, wyciągając dłoń do Fernanda. — Don Buckman. Jestem ojcem Amandy. Miejsce pierwsza klasa, no nie? Bardzo ekskluzywne. Byle kogo tutaj nie przyjmą. Dzieciak musi być super ekstra. Zdolny. I wyjątkowy. Nasza Amanda przeskoczyła już dwie klasy. A co wasz chłopak?

Fernando z dumą położył dłonie na ramionach Mopsia.

— Musi się sprawdzić.

Tymczasem kobieta w żółtej sukience przedstawiła się Mortycji jako Ellen Buckman i wszczęła rozmowę.

— Chippewa jest po prostu zachwycające. Amanda nie mogła się już doczekać. Od miesięcy nie mogła mówić o niczym innym. W zeszłym tygodniu wybraliśmy się na zakupy i sprawiliśmy jej całą garderobę. Wszystko nowe.

— To przemiłe — rzekła Mortycja.

— A ta młodzietka dama? — Ellen uczyniła gest w kierunku Zaduszki.

— Zaduszka jest w tym cudownym okresie — z dumą oznajmiła Mortycja — kiedy dziewczynka ma tylko jedno w głowie.

— Chłopców? — spytała Ellen, przyklękając obok Zaduszki.

— Mordowanie — odparła Zaduszka.

Ellen wyglądała na nieco zaskoczona, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, przerwał jej przeraźliwy, beczący głos świstawki.

— Proszę wszystkich o uwagę! — wrzasnął ten od świstawki. — Słuchajcie! Nazywam się Gary Granger.

Gary miał błękitne spodnie i białą koszulkę polo z napisem OBÓZ CHIPPEWA. Wyglądał na niewiele ponad trzydzieści lat, opalony, muskularny blondyn o włochatych rękach, z kosmykiem włosów sterzącym pod szyją. Obok niego stanęła młoda blondynka w podobnym ubiorze.

— A ja nazywam się Becky Granger! — huknęła tubalnym głosem, podobnym jak u jej męża.

— Jesteśmy właścicielami i kierownikami obozu Chippewa — oznajmił Gary. — Nasz zakład dla młodych lecz dorosłych, uprzywilejowanych Amerykanów obojga płci zajmuje czołowe miejsce w naszym kraju!

— I wszyscy przyjechaliśmy tutaj, żeby się uczyć, żeby rosnąć i po prostu żeby się bawić! — dodała z entuzjazmem jego żona.

— Bo na tym polega to, że należymy do sfer uprzywilejowanych! — dorzucił jej małżonek.

Zaduszka na to wydobyła z zanadru buteleczkę z napisem TRUCIZNA i odkręciła korek. Ale nim zdążyła ją przytknąć do ust, matka odebrała jej flakonik z trucizną.

— No, no, Zaduszko! — upomniała córeczkę.

Pozbawiona w ten sposób trucizny, Zaduszka już nie miała wyboru. Przyglądała się spod oka, jak Fernando odcina pętlę, na której Mopsio próbował się powiesić, i powiedział sobie

do widzenia. Mortycja i Fernando wsiedli do samochodu i odjechali.

Dzieci wysłano do baraków z poleceniem, aby się rozpakowały i przebrały w kostiumy kąpielowe. Zaduszka i Mopsio wyszli niebawem na obozowy basen, ubrani w swoje czarne, długie, staromodne kostiumy. Amanda Buckman już tam była z grupą innych obozowiczów.

— Nie stać was na inne kostiumy kąpielowe? — spytała ich tonem pełnym wyższości.

— Nie stać cię na większą zjadliwość? — odgryzła się Zaduszka, jasno pokazując, że nikt jej nie podskoczy.

Fiuuut! zagwizdał Gary. — No dobra, obozowicze, teraz słuchajcie. Powiem wam coś o ratowaniu życia! Ja wiem, że wszyscy tu pływamy jak ryby, więc teraz pokażemy, co kto potrafi. Wszyscy chcecie zdobyć te zaświadczenia, które można zabrać do domu, oprawić w ramki i powiesić na ścianie, żeby zrobić wrażenie na przyjaciółach. Więc prosimy bardzo: — pierwsza para koleżanek ratowniczek. Amanda i Zaduszka!

Amanda gorliwie wystąpiła do przodu. Zaduszka niechętnie poszła za jej przykładem.

— Jedna z was będzie tonąć — oznajmił Gary. — A druga będzie naszą pierwszą ratowniczką.

Amanda zgłosiła się od razu na ochotnika. — Ja będę ofiarą!

— Do końca życia — dodała Zaduszka.

— Właśnie, że będę aktorką! — zadzierając nosa, rzekła Amanda.

— Doskonale! — Gary entuzjastycznie zaklaskał w dłonie. — Więc, Amando, wskakuj, trochę odpłyń i zacznij tonąć.

Amanda posłusznie wskoczyła do wody.

— Na pomoc! — wykrzyknęła, rozbryzgując wodę jak tonący. — Na pomoc! Tonę!

Zaduszka przyglądała się obojętnie.

— Ratunku! — wrzeszczała tym dramatyczniej Amanda.
— Umieram!

— Zdaje mi się, że trzeba jej pomóc — zwrócił się Gary do Zaduszki.

— Poczekajmy i zobaczymy — stwierdziła Zaduszka. — Może poradzi sobie bez pomocy.

— Myślę, że naprawdę powinnaś ją uratować — rzekł Gary.

— Niewykluczone, że bym to zrobiła — odparła Zaduszka. — Ale nie umiem pływać.

— Naprawdę nie umiesz pływać? — Gary był zaszokowany.

Zaduszka potrząsnęła głową.

Gary widać nie docenił dowcipu. *Fiuuuut!* rozległ się jego gwizdek.

— Wychodź z wody, Amando! — wrzasnął. — Następna para przygotowuje się do tonięcia!

Amanda wylazła, rozeźlona, z jeziora i ociekając wodą, stanęła przed Zaduszką. — Mogłam się utopić! — wybulgotała. — Miałas mnie uratować!

— Owszem — odparła Zaduszka z niezwykłą u niej słodyczą. — Ale ta druga możliwość byłaby o tyle przyjemniejsza.

Rozdział XI

Pozbywszy się z domu dzieci, panna Debora mogła się dużo lepiej skupić na pozyskiwaniu sobie Czyraka. Siedziała więc w pokoju dziecinnym, w bujanym fotelu, przy otwartych drzwiach, tuż obok kołyski Groberta, opowiadając mu bajkę o Kopciuszku.

— Kiedy Kopciuszek wszedł do sali balowej, wszyscy odwrócili się i zapatrzili na nieznajomą piękność. „Kim jest ta urocza dziewczyna?” pytali. Nawet sam książę z bajki zwrócił uwagę na przybyłą. „Kim jesteś?” zapytał.

Dybka przerwała na moment. Usłyszała, że w holu coś skrzypnęło, i kątem oka zauważyła Czyraka, który stanął w pobliżu drzwi, słuchając. Uśmiechnęła się do siebie i podjęła opowieść.

— „Nazywam się Kopciuszek”, odpowiedziała księciu nieznajoma. „A czy ty mógłbyś mi powiedzieć, co to za mężczyzna stoi przy wazie z ponczem? Ten fascynujący mężczyzna. Taki zmysłowy. Kiedy na niego patrzę, odczuwam ciarki pod stanikiem i w całym ciele. Ten przepiękny, łysy mężczyzna?”

Podsłuchujący w holu Czyrak wytrzeszczył oczy. Jak to możliwe? Czyżby ona czuła do niego pociąg? Myśl o tym podnieciła go do tego stopnia, że nie mógł się już powstrzymać. Oderwał się od drzwi do dziecinnego i popędził do gabinetu Fernanda. Drzwi były zamknięte, więc zapukał.

— Fernando! — wykrzyknął. — Jesteś tam?

— Jestem — odparł Fernando.

Czyrak pchnął drzwi na oścież. Fernando siedział przy biurku, podpisując papiery. Drugą ręką rzucał równocześnie lotki w cel, trzymany przez Wyraka. Ten zachowywał się dosyć nerwowo: i nic dziwnego! bo Fernando nie patrzył, gdzie rzuca. Za każdym razem, kiedy lotka z wyostrzonym grotem śmignęła z jego ręki, to Wyrak musiał tak nadstawić tarczę, żeby ostrze wbiło się w jej środek, a nie w niego.

— Ona mnie doprowadza do szalu! — wykrzyknął Czyrak.

— Kto? — spytał Fernando.

— Dybka! — wyjaśnił Czyrak. — Dybka, Dybka, Dybka! Nawet samo brzmienie tego imienia. Jakie to piękne... Dybka! Od razu widzę okiem wyobraźni polichlorek winylu. Coś chemicznego.

— Naprawdę? — Fernando wyglądał na wstrząśniętego. — Czyrak, ty się zakochałeś? Nareszcie!

— Sam nie wiem — odparł Czyrak, cały się trzęsąc. — Chyba tak! Przez tyle lat podglądałem ciebie z Mortycją... w intymnych sytuacjach... przez okna, przez szpary we drzwiach, dziurki od klucza. Cieszyło mnie wasze szczęście, ale muszę przyznać... byłem także zazdrosny. Marzyło mi się, że któregoś dnia... mimo wszystko... znajdzie się ktoś i dla mnie.

— Przecież jest Rączka — rzekł Fernando.

— No tak, owszem — zgodził się Czyrak — ale ja chciałbym czegoś więcej. Nogi. Łokcie. Głowa. Czy to za dużo?

— Aż *dwie* nogi? — zastanowił się nad tym Fernando.

— Tak! Widziałem je! — wrzasnął Czyrak. — I może nawet... może... Czy mógłbym ją zaprosić na kolację? A jeżeli odmówi? A jeśli się *zgodzi*? Och, Fernando, jeżeli ją zaproszę

i Dybka się zgodzi, to przyszlibyście również? Ty i Mortycja?

— Oczywiście! — zapewnił go rozanielony Fernando.

Grobert zasnął. Dybka wyszła po cichu z dziecinnego i ruszyła na poszukiwanie Mortycji. Zastała ją w oranżerii przy sztalugach, coś malującą. W drugim końcu pokoju Rączka pozowała na piedestale, udrapowanym w czerwony aksamit.

— Pani Addams? — odezwała się Dybka.

— Słucham cię, Deboro.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

— Nie, absolutnie mi nie przeszkadzasz — zapewniła ją Mortycja. — No, może gdybyś trochę zmieniła odcień włosów... na mniej rzucający się w oczy... ale to kwestia gustu.

— Nie, nie — odparła jej Dybka. — Miałam na myśli... Czy nie przeszkadzam pani w pracy?

— Och, bynajmniej — uśmiechnęła się Mortycja.

Rączka pomachała z piedestału.

— Czy mogę zadać pani osobiste pytanie? — spytała Dybka.

— Naturalnie — odrzekła Mortycja, nie odrywając się od malowania.

— Bo pani jest taka... no... światowa — wybąkała Dybka.

— Taka wytworna. Pani na pewno wszystko wie o miłości.

— *Merci* — odrzekła Mortycja.

— Bo ja właśnie — podjęła Dybka — zastanawiałem się... czy pan Czyrak... zadaje się z kimś?

— Chciałaś zapytać, czy w życiu Czyraka jest jakaś kobieta? — Mortycja potrząsnęła z wolna głową. — Albo w jego walizkach? Nie... niestety. Zawsze mnie to zastanawiało. Czyrak Addams... Taki cały wzdęty. Ziemisty. I ta jego cuchnąca

wysypka... Gdyby nie to, że jestem już zamężna...

— Och tak, rozumiem! — wybuchnęła Dybka, niby to z dziewczęcym zachwytem.

Mortycja spojrzała na nią dziwnie. — Deboro?

— Och, przepraszam — rzekła Dybka, rumieniąc się z lekka. — Proszę malować dalej. Nie chciałam pani przeszkadzać.

— Nic nie szkodzi. Ręka mi ścierpła. — Mortycja wskazała na piedestał, gdzie Rączka istotnie zachowywała się, jakby coś z nią było nie w porządku. Leżała wnętrzem do góry i palce jej kurczowo drgały. Ale może jej się coś po prostu śniło.

Ale misja Dybki się powiodła. Udało jej się załęgnać w umyśle Mortycji przypuszczenie, że Deborę pociąga ten jej opasły szwagier. Pozostawało się tylko wycofać.

— Słyszała pani? — spytała czym prędzej Dybka.

— Co takiego? — spytała Mortycja.

— Maleństwo — rzekła piastunka, wychodząc tyłem z oranżerii. — Chyba się obudziło.

I wyszła z pośpiechem.

Później tegoż wieczora Fernando i Mortycja, siedząc na zimnej, marmurowej ławce na cmentarzu, przysłuchiwali się słodkiemu poświstywaniu wiatru w grobowcach.

— Czuję, że coś się kroi — rzekł Fernando.

— Czyrak? — odgadła Mortycja.

— Dybka? — zareplikował Fernando.

— Blondynka — podkreśliła Mortycja.

— I lubi dzieci — dodał Fernando.

— Taka młoda i ładna dziewczyna — rzekła Mortycja, potrząsając ze smutkiem głową.

— Wiem, *cara mia* — odezwał się Fernando, jak z krzyża zdjęty. — Ale on ją kocha. Może nie nam to wypada oceniać.

W końcu to jest ładne, co się komu podoba.

— Spodziewałam się dla Czyraka czegoś lepszego — westchnęła Mortycja. — Z kindersztubą. Z elegancją. Z bliznami.

Fernando pokiwał z ubolewaniem głową.

— To prawda. Nasza biedna matka na łożu śmierci wygłosiła tylko jedno życzenie: żeby znaleźć Czyrakowi żonę. Poszukać jej ze świecą. Choćby osuszyć bagno.

— Mimo wszystko — Mortycja podniosła głowę — Dybka wydaje się tak oddana Czyrakowi.

— Jest przemiała — dodał Fernando.

— Zobaczę, co się da zrobić — oświadczyła z desperacją Mortycja. — Może z jej włosami.

— A co z Czyrakiem?

— Och, Fernando! — Mortycji aż dech zaparło, jakby grom ją raził z mrocznego nieba. — Uczyniłbyś to?

Fernando zebrał się w sobie: — Uczynię!

— Brawo! — Mortycja złożyła obie dłonie.

Fernando zerwał się i uniósł rękę z ponurą determinacją. — Trudno! Wykąpię Czyraka!

W dalekim obozie Chippewa dzieci ułożyły się w swoich barakach do snu. Na oddziale Zaduszki dziewczęta, poubierane w artystycznie zaprojektowane pizamy, leżały na łózkach i po ciemku opowiadały, jedna po drugiej, makabryczne historie. Bezgranicznie znudzona tym Zaduszka schowała się pod koldrę. Gardłem jej wychodził ten głupi obóz i uprawiane w nim głupie zajęcia. Miała po dziurki w nosie tych głupich dziewcząt, chorobliwie pasjonujących się tylko sprawami materialnymi oraz chirurgią plastyczną.

— Zaduszka? — odezwała się po ciemku Amanda.

— Czego?

- Teraz na ciebie kolej.
- Żeby co? — spytała w roztargnieniu Zaduszka.
- Żebyś dalej opowiadała te historie o duchach — rzekła Amanda.
- Ale to głupie — stwierdziła Zaduszka.
- Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz — dopiekła jej Amanda.
- Nie, tylko że głupie.
- No trudno, skoro i tego nie potrafisz... — Amanda manifestacyjnie westchnęła.
- Och jej, no dobrze — zgodziła się Zaduszka. — Więc na czym przerwałyście?
- Jak duch wrócił i powiedział dziewczętom, że już nigdy nie przestanie ich straszyć — odpowiedziała Amanda.
- Dobrze — podjęła Zaduszka. — Więc dziewczęta wcale się tego nie zlekły i duch zorientował się, że musi wymyślić coś dużo gorszego niż to, że będzie je wiecznie straszył. Więc następnej nocy znowu przyszedł do ich baraku i tym razem powiada do tych obozowiczek: „Żadna z was we mnie tak naprawdę nie wierzy. Więc pokażę wam, co potrafię.” I na drugi dzień rano, kiedy one się obudziły, patrzą, a ich stare nosy znów odrosły, takie jak były — dokończyła Zaduszka.
- Ooooooch! — cały oddział wrzasnął ze zgrozy.

Rozdział XII

Kilka nocy później po rezydencji Addamsów rozniosły się z łazienki na piętrze odgłosy cieknącej wody.

— Nie, nie! — wykrzykiwał Czyrak.

— Bez gadania, Czyrak, musisz i kropka! — uciął Fernando.

Rozległ się łoskot, huk i wielki plusk wody.

— Ooooooch! — zawtórował im przeraźliwy wrzask Czyraka.

Po jakimś czasie Fernando wkroczył do małżeńskiej sypialni, gdzie Mortycja przebierała się do kolacji.

— Jak poszło? — zapytała, gdy Fernando zdejmował z siebie grube, czarne, gumowe rękawice i czarny gumowy fartuch.

— Myjki nic nie pomogły, ale drucziana szczotka mu poradziła — oznajmił. — Doprawdy myślę, że trzeba będzie odbyć z Czyrakiem poważną rozmowę na temat częstszego mycia się. Ten ustalony zwyczaj, żeby myć się co dziesięć lat, nie jest dobry. On przez to zapomina, że proszki do szorowania nie są śmiertelne.

— Szczęście, że już po wszystkim — odetchnęła Mortycja. — A teraz się prędko przebieraj. Mamy rezerwację na dziewiątą.

Potem spotkali się wszyscy u drzwi frontowych i wyszli do samochodu. Wyrak powiózł ich do restauracji, mieszczącej się

w starożytnej, zwietrzalej, kamiennej jaskini w całkowitym stanie omszałego rozpadu. Stoły i krzesła pomalowane były na kolor zmatowiałego złota, a obrusy miały barwę zaschniętej krwi. Ze stropu zwieszały się festony brązowego mchu, posępnego światła dostarczał pryskający kandelabr. W kącie czterech zgrzybiali starcy grali Bacha na rozstrojonych instrumentach.

Fernando, Mortycja, Czyrak i Dybka zasiedli przy środkowym stole. Na ten wieczór Fernando wystroił się w elegancki garnitur w jodełkę, w stylu dawnych dżezmenów, w luźnej marynarce i spodniach jak rurki. Mortycja była na czarno, jak zwykle. Dybka wystąpiła w obcisłej różowej sukni z głębokim dekoltem. Czyrak ubrał się w swój najlepszy, węgliście szary worek. Cały w nerwach, niemalże odrętwiały, pogryzał bułkę podaną jako dodatek.

— Cóż za urocze miejsce — zachwycała się Dybka, strącając ze swego talerza kilka pędów mchu, które spadły z sufitu.

— To nasze ulubione bistro — poinformował Fernando.
— Bywamy tutaj od lat.

— Oczywiście już zmodernizowane — dodała Mortycja tonem lekkiego niezadowolenia. — Wolałabym, żeby się tak bardzo nie uganiali za nowoczesnością, nieprawdaż?

— Ależ tak, najzupełniej się zgadzam — wtrąciła Dybka.
— Mimo to jest uroczo. — Spojrzała na Czyraka. — A jak pan uważa?

Czyrak nie przestawał żuć bułki. Jej pryskająca skórka oblepiała mu okruciami podbródek, a spojrzenie w popłochu miotano się tu i ówdzie po całej sali.

— Czyrak! — odezwał się Fernando. — Panna Debora zadała ci jakieś pytanie.

Czyrak zamarł. Niepewny, jak ma na to zareagować, wydobyl z ust na wpół przeżutą bułkę i zaoferował ją Deborze, która nie całkiem zdołała ukryć przelotny wyraz obrzydzenia.

— To taki osobliwy, francuski zwyczaj — odezwała się czym prędzej Mortycja, żeby zatuszować gafę Czyraka — dzielić się z kimś nadjedzonym pieczywem.

— Czyrak ma nawyki kontynentalne — rzekł Fernando, usiłując zmienić temat rozmowy. — Spędził długie lata za granicą.

— Mówi płynnie w piętnastu językach — dodała Mortycja.

— Od razu wiedziałam! — podchwyciła Dybka. — Jak tylko go zobaczyłam, zaraz pomyślałam sobie, że to Europejczyk.

— Naprawdę? — odezwał się Czyrak, unosząc brwi.

— Słowo daję! — wytchnęła Dybka.

Po drugim daniu Mortycja wstała, żeby udać się do garderoby.

— Och, ja też pójdę — rzekła Dybka.

Poszły tam we dwie. Mortycja stanęła przed popękany i zasnutym pajęczyną lustrem, poprawiając sobie makijaż, a Dybka przy umywalce zwilżała gorącą wodą papierowy ręcznik.

— Czy dobrze się bawisz? — zapytała Mortycja.

— Och, tak — zapewniła ją Dybka. — Gdyby tylko Czyrak czuł się trochę swobodniej.

— To naprawdę wspaniały mężczyzna — rzekła Mortycja. — Tylko strasznie nieśmiały.

— Och, czy na pewno o to chodzi? — zwróciła się do niej Dybka. — Czy ja mu się w ogóle podobam?

— Oczywiście — pośpieszyła ją zapewnić Mortycja — Przecież na ciebie wymiotował.

— To prawda — Dybka wycierała sobie plamy na sukni wilgotnym papierowym ręcznikiem. — Czy on zawsze tak robi z kobietami, które mu się podobają?

— Och, nie — uśmiechnęła się Mortycja. — Tylko z tobą.

Tymczasem na sali Czyrak się zadreślał.

— Zachowałem się okropnie, po prostu okropnie! — jęczał.

— Ależ bynajmniej — pocieszał go Fernando. — Byłeś cudowny i uroczy, jak zwykle.

— Co ty wygadujesz? — zapytał Czyrak. — Przecież ją całą zarzygałem.

— No to co?

— Myślisz, że jej się to nie spodobało?

— Ale skądże! — Fernando zachęcająco poklepał go po ramieniu. — Ona cię po prostu uwielbia.

— Wiem, że nic mi nie wychodzi — uzalił się Czyrak i błagalnie popatrzył na brata. — Fernando, jak ty to robisz? Czy mógłbym stać się podobny do ciebie? Taki... szarmancki?

— Zalecaj się do niej — poradził mu Fernando. — Wyrażaj swój podziw. Spraw, żeby się poczuła najbardziej wzniosłą istotą na całym świecie.

— Słusznie! — Czyrak docenił mądrość tego, co powiedział mu brat. — Właśnie w tym rzecz!

Mortycja i Dybka wróciły.

— Już jesteśmy — zauważyła bystro Mortycja. — Przypudrowane.

— Cóż za doskonałość! — Fernando obejrzał po kolei nos jednej i drugiej, po czym trącił łokciem Czyraka. — Jesteśmy dwaj najszczęśliwsi bracia na tym świecie. Nie zasługujemy na coś tak niezwykłego. Od czegoś takiego można oślepnąć.

— Racja! — zawtórował mu skwapliwie Czyrak. — Do nas pasowałyby jakieś... ohydy!

Nagle z kwartetu wydobył się podniecający akord. Fernando nie mógł się już oprzeć tej muzyce. Zerwał się i podał dłoń Mortycji.

— *Madame?* — rzekł z ukłonem.

— *Monsieur* — dygnęła Mortycja.

Fernando wyprowadził ją na parkiet i rozpoczęli gorące, zawile tango. Gdy małżonkowie zaczęli się okrażać, wymieniając pożądliwe spojrzenia, reszta gości zamilkła z podziwu.

Sala wstrzymała oddech, kiedy Mortycja wpadła mu wirując w ramiona. Wszystkich zahipnotyzowała namiętność tańczącej pary. Kobietom krew uderzyła do głowy. Mężczyźni głośno przetykali ślinę, rozluźniając sobie krawaty. Dybka napluła w serwetkę i delikatnie poprawiała stan twarzy Czyraka.

Taniec był isticie romantyczny. Mąż i żona wirowali jedno wokół drugiego. Mortycja grała skromną uwodzicielkę, a Fernando rozwścieczonego byka. Aby wzniecić płomień zazdrości, Mortycja przesłała pocałunek skrzypkowi. Fernando wpadł we wściekłość, pochwyił wazon i rzucił nim o ścianę.

Czyrak przy stole poczuł się zaniedbywany. Wepchnąwszy sobie w dziurki od nosa dwie diablołki, poklepał swą towarzyszkę po ramieniu. Dybka odwróciła się do niego i rozumiejąc, że on też chciałby w tym uczestniczyć, gestem wyrażającym serdeczność położyła dłoń obok niego, na spleśniałym obrusie.

Czyrak ostrożnie i tęsknie dziabnął w nią widelcem.

Taniec zbliżał się do ekstatycznego szczytu. Objąwszy Mortycję w pasie, Fernando miotał nią po całym parkiecie. Znow rozdzielił ich wir, trzymali się tylko za ręce. Mortycja wyrwała nóż jednemu z gości. Zakręciwszy się na powrót w kierunku męża, uniosła nóż ponad głowę, jakby chciała go przebić. Lecz

Fernando pochwycił ją zręcznie w ramiona i wpił się namiętnie w jej usta.

Pyk! Pyk! Pyk!

To korki od szampana, nie mogące dłużej znieść tego napięcia, wybuchały rytmicznie z butelek w całej restauracji, lubieżnie obryzgując wszystkich fontannami gęstej, szumiącej piany.

Wróciwszy z restauracji, Czyrak i Dybka bląkali się pośród mogił i grobowców. Zrobiło się ciemno i późno. Nad cmentarzem kłębiła się mgła, gęstsza niż zwykle. Fernando i Mortycja poszli do domu zobaczyć, co dzieje się z dzieckiem.

— Pan mnie chyba nie cierpi — odezwała się Dybka.

— Co takiego? — zagapił się na nią Czyrak, zbity kompletnie z tropu.

Dybka przystanęła i spojrzała mu prosto w twarz.

— Przecież z pana taki czarujący światowiec. Jak straszliwie ja pana muszę zanudzać.

— Nigdy! — zaklął się Czyrak.

— Ee! gadanie — odrzekła Dybka.

— A gdzie tam! — zapewnił ją Czyrak. — Pani mnie urzeka! Pani mnie fascynuje!

— Och, Czyrak — westchnęła Dybka i wzięła go za rękę.

— Och, Dybka! — Czyrak uczynił krok w jej stronę, jakby zamierzał pocałować ją w usta.

— Zaczekaj — Dybka odwróciła twarz i cofnęła się o krok.

— O co chodzi? — zapytał Czyrak.

Dybka potrząsnęła głową i spuściła oczy, wbijając je w blokko pod nogami.

— Czyrak... zanim posuniemy się dalej, muszę ci się do czegoś przyznać. Muszę ci coś powiedzieć. Jestem... jestem dziewczycą.

— Naprawdę? — Czyrakiem to jakby wstrząsnęło.
Dybka potwierdziła kiwnięciem głowy i tym głębiej wpa-
trzyła się w błoto.
— Tak.
— A co to znaczy? — zapytał Czyrak.
Dybka, zaskoczona, podniosła oczy. — To znaczy... ktoś...
kto nie zaznał jeszcze... cielesnej miłości.
— Chcesz powiedzieć — zapytał ją dociekliwie Czyrak — z
jakąś drugą osobą?
Dybka kiwnęła głową.
Czyrak potargał się za ucho. — No... Dybka, jeżeli o to ci
chodzi... to ja też muszę się przyznać. Ja również!
— *Ty?* — spytała z niedowierzaniem Dybka.
Czyrak kiwnął głową.
— Jak to? *Ty?* — powtórzyła pytanie Dybka. — Nie obco-
wałeś jeszcze z nikim innym? Ależ przy twojej urodzie i
wdzięku... Na pewno tyle kobiet cię nie odstępuje na krok!
— Owszem... te pilnujące w sklepach — przyznał się Czy-
rak.
— Och, Czyrak! — Dybka aż złożyła ręce z zachwytem. —
Zawsze marzyłam o spotkaniu kogoś... nietkniętego. Czystego.
Takiego jak ty.
— No to spotkasz — zapewnił ją Czyrak.
— Och, tak — westchnęła Dybka. — I marzyłam, że kiedy
go spotkam, zaczekamy aż do nocy poślubnej, zanim oddamy
się sobie. Nim złożymy tę najwyższą ofiarę.
— Z kozła? — domyślił się Czyrak.
— Aż do tej chwili uważałam to za niemożliwe. — Dybka
znowu go złapała za rękę. — Ale kocham cię, Czyrak!
— Naprawdę? — Czyrak osłupiał.
— Błagam — odezwała się Dybka z wystudowaną despe-
racją. — Bądź ze mną brutalnie szczerzy. Muszę wiedzieć, co ty
do mnie naprawdę czujesz.

— Ależ kocham cię! — wrzasnął Czyrak. — Ubóstwiam!
Zrobiłbym dla ciebie wszystko! Mogę nawet zapłacić!

— Och, Czyrak! — Dybce aż głos odebrało.

— Dybka!

Chwycili się w objęcia. Od tej bliskości Dybka musiała wstrzymać oddech. Czyrak z wolna osunął się przed nią na kolana.

— Och, Dybka... Och, Deboro Babraysky... Czy zechciała-
byś?

— Słucham cię, Czyrak?

— Czy zechciałabyś?

— A co takiego, Czyrak?

— Dybko Babraysky, czy wyjdiesz za mnie za mąż?

— Nie.

— Co takiego? — Czyrak wybałuszył się na nią, wstrzą-
śnięty.

— Przecież nie mogę za ciebie wyjść, jeżeli nie masz pier-
ścionka zaręczynowego — wytłumaczyła Dybka.

— Hm... Pierścionka zaręczynowego... — Czyrak potarł
sobie dłonią podbródek. — Nie widziałem takiego już od lat.
Po raz ostatni to było na pogrzebie mamusi.

— Czyj on był? — zapytała Dybka.

— Mamusi.

— I co się z nim stało?

— Została z nim pochowana.

— Tutaj?

— O tam — Czyrak wskazał na pobliski nagrobek.

— Hmm... — Dybka się głęboko zamyśliła. — Czyrak...
mam pomysł.

— No jaki? — zapytał skwapliwie Czyrak.

— Idź po łopatę.

Nieco później Fernando i Mortycja, ramię w ramię stojąc w
dziecinnym pokoju, zachwyceni wpatrywali się w swoje chra-
piące dziecko.

— Spójrz na niego — Fernando nie posiadał się z ojcowskiej dumy.

— Jak nieżywy — uśmiechnęła się Mortycja.

— A wiesz — powiedział Fernando — dziś wieczór, przyglądając się Czyrakowi i Dybce, skrzyżowałem palce. Na szczęście.

— A ja się modliłam — rzekła Mortycja.

— Szeptalem: żeby się zakochali w sobie.

— Żeby zaznali szczęścia — powiedziała Mortycja.

— I żeby coś zaadoptowali — dodał Fernando.

Drzwi za ich plecami rozwarły się gwałtownie i wpadł Czyrak.

— Fernando! Mortycjo! — wrzasnął. — Wielka nowina! Stało się coś niemożliwego! Po prostu cud!

— Wysypka? — domyślił się Fernando.

— Zeszła? — spytała Mortycja.

— Zaręczyłem się! — wykrzyknął Czyrak.

Weszła onieśmielona Dybka z wyciągniętą przed siebie ręką. Na jej serdecznym palcu widniał pierścień z ogromnym brylantem.

— To *ten* pierścień — zdumiała się Mortycja.

— Naszej mamusi — rzekł Fernando. — Została w nim pochowana.

Dybka znacząco uniosła oblepioną błotem łopatę. Po czym ona i Czyrak się pocałowali.

Późną nocą, kiedy wszyscy już położyli się spać. Dybka siedziała w swoim pokoju, kopcąc papierosa i oglądając program telewizyjny na małym odbiorniku, który świeżo nabyła. Prezenter serii *Najobrzydliwsze z Nie Rozwikłanych Dotąd Zbrodni w Ameryce* właśnie zapowiadał odcinek na ten wieczór.

— Dzisiejszej nocy przedstawimy w serii *Najobrzydliwsze z Nie Rozwikłanych Dotąd Zbrodni w Ameryce* sprawę

Urszuli Jorgensen. — Na ekranie Dybka ujrzała sama siebie, tylko w długich, prostych i jasnych włosach, w typie skandy-nawskim.

— Zwanej również Carmen Gonzales — rzekł prezenter, na ekranie zaś ukazała się Dybka jako kruczowłosa piękność w stylu któregoś z krajów Ameryki Łacińskiej.

— Albo Nadine Jones. — W telewizorze pojawiła się Dybka jako lubieżny rudzielec.

— Trzy zupełnie różne kobiety — ciągnął prezenter — które łączy tylko jedna sprawa: morderstwo.

Po ekranie przesunęły się rozmaite ujęcia trupów, przykry-tych płachtą albo w workach na zwłoki, prezenter zaś mówił dalej: — Wszystkie te morderstwa popełniła jedna i ta sama kobieta. Policja nazywają Czarną Wdową: bo jak ta pajęczycyca, dopuszcza do siebie samca, a potem zabija. Poluje na zamoż-nych mężczyzn, wyszukując najbogatszych i najbardziej sa-motnych kawalerów.

Dybka spoglądała na ścianę, którą teraz pokrywały zdjęcia Czyraka i wycinki z gazet o nagłówkach w rodzaju: FORTUNA ADDAMSÓW CIĄGLE NIENARUSZONA, albo: NIESAMO-WITA RODZINA TO JEDNA Z AMERYKAŃSKICH KOPAL-NI ŻŁOTA.

— Najpierw zdobywa ich zaufanie i miłość — ciągnął pre-zenter — a potem ich poślubia. I zabija w noc poślubną. Śmierć zawsze wygląda na przypadkową, a kiedy już odbędzie się pogrzeb, ona znika z gotówką. Lecz na długo jej nie wy-starcza...

Dybka spoglądała na toaletkę. W słoiku z nakrętką leżało tam parę zmiętych dolarów i trochę drobnych.

— Po niedługiej przerwie Czarna Wdowa znowu jest głodna — rzekł prezenter. — Spragniona gotówki, głodna mi-łości. Przebiera się po mistrzowsku i policja od lat nie może

jej wytropić. Kim jest obecnie? I w jakim i niewinnym przebraniu wystąpi najbliższym razem?

Dybka otworzyła szkicownik i przyjrzała się rysunkom, które przedstawiały ją ostrzyżoną na pazia, w okularach, piegowatą i z warkoczykami.

Tymczasem prezenter podjął:

— Możemy co najwyżej przestrzegać: bogaci kawalerowie, miejcie się na baczności!

Rozdział XIII

Następnego ranka rodzina zebrała się w jadalni. Dybka usiadła tuż obok Czyraka, trzymając na kolanach Groberta, a Babunia i Wyrak podawali śniadanie.

— Babuniu — odezwał się uradowany Fernando — Czyrak ma coś ważnego do powiedzenia!

— Jestem zaręczony! — oznajmił Czyrak.

— Ty? — przyjrzała mu się z ukosa Babunia.

— Tak jest!

— Zamówiłeś sobie z ogłoszenia narzeczoną z jakiegoś głodującego kraju w Trzecim Świecie? — zgadywała Babunia.

— N-n-nie.

— Poskładało się coś z kawałków, wykopanych na cmentarzu?

— Nie.

— W każdym razie to istota ludzka, nie? — spytała Babunia.

— Mało, że ludzka, ale siedzi z nami przy tym stole — odparł Czyrak, kładąc dłoń na przedramieniu Dybki.

— Ty? — zdumiała się Babunia.

— Czyż to nie cudowne? — zapytała Mortycja.

— Nasz Czyrak się zaręczył! — Babunia nie mogła wyjść z podziwu. Zwróciła się do Wyraka: — Jestem ci winna pięćdziesiąt dolców.

Wyrok się obszczerzył. Babunia sięgnęła po garnek z parującym jedzeniem.

— Dać komuś owsianki? — spytała.

— Z chęcią — zawołał Czyrak. — Jestem dzisiaj taki szczęśliwy, że mógłbym zjeść konia z kopytami.

— Proszę bardzo — odrzekła Babunia. — Zaraz wrócę. — Wyszła do kuchni po następny garnek.

Mortycja nachyliła się przez stół do Czyraka i Dybki.

— Wszyscy jesteście — powiedziała — tacy podnieceni z waszego powodu. — I dodała, zwracając się do Dybki:

— Chcielibyśmy też poznać twoją rodzinę i ściągnąć ich na kolację.

— A utuczeni? — zapytała Babunia, wracając z dymiącym garnkiem, z którego sterczały kopyta. — Dużo na nich mięsa?

Dybka nagle pociągnęła nosem i osuszyła sobie oczy serwetką.

— Aniołku — zwrócił się do niej łagodnie Czyrak. — Co ci jest? Czy się coś stało?

— Bo wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy i mili — powiedziała żałośnie Dybka. — Tylko że... cała moja rodzina... Wydarzył się taki okropny wypadek... dawno temu, kiedy byłam dzieckiem... nastąpił wybuch.

— A dobrze huknęło? — zainteresował się Czyrak.

— Nic po nich nie zostało? — spytał Fernando.

— Może chociaż rączka czy nóżka? — zapytała Babunia.

— Nie — Dybka potrząsnęła głową. — Nic. Ani jednego strzępka.

— W takim razie odtąd *my* jesteśmy twoją rodziną — oświadczyła Mortycja. — I wszystko, co mamy, jest twoje.

Dybka najwyraźniej rozpromieniła się. — *Wszystko?*

— Co do okruszka — rzekł Fernando.

— A macie to wszystko spisane? — spytała Dybka.
— Zaraz to zrobimy — rzekła Mortycja. — Wyrak, umiałbyś sporządzić inwentarz?

Wyrak kiwnął głową.

Fernando wyciągnął rękę poprzez stół i poklepał Dybkę po dłoni. — A wesele bierzemy na siebie.

— Bez dyskusji — dodała Mortycja.

Dybka przesłała im wszystkim spojrzenie, wyrażające, że sama już nie wie, co powiedzieć. — Och, jacy wy jesteście — wybąkała. — W tym pokoju aż przelewa się od miłości.

Nie dałoby się tego powiedzieć na temat obozu Chippewa. Życie nie było tam lekkie dla Zaduszki i Mopsia. Żadnego wyposażenia do chemii, żadnej broni, najwyżej jakaś pałka bejsbolowa czy łuk ze strzałami. Reszta dzieci uprawiała tak zwane sporty zespołowe albo wspólne śpiewanie. A nawet zajmowano się przyrodą!

Któregoś dnia po lanczu kierownictwo obozu, czyli Gary i Becky Granger, weszli do baraku Zaduszki. Mopsio akurat przyszedł ją tam odwiedzić.

— Poczta! — obwieścił Gary.

Zaduszka go zignorowała. Młodzi Addamsowie, w przeciwieństwie do innych obozowiczów, nigdy nie dostawali z domu listów. Więc kiedy inni łapczywie wyglądali pocztówek i listów, ona i Mopsio bawili się jej kolekcją stonóg i krocionogów.

— Castleman! — krzyknął Gary, wręczając list Cheryl Castleman.

— Barkley! — wrzasnęła Becky, rzucając list Jessica Barkley.

— Addams! — wywołał Gary.

— Popatrz — Zaduszka podniosła w palcach wijącego się krocionoga, brązowego, wyjątkowych rozmiarów. — Znalazłam

go pod kamieniem. Taki fajny, że chyba po obozie zabiorę go do domu.

— Addams! — ryknął Gary.

— Jeżeli dużo ich nazbieramy, może Babunia je ugotuje albo usmaży? — zapytał z nadzieją Mopsio.

— *Addams!* — krzyknął zdesperowany Gary.

— Może przyrządziłaby je w czekoladzie — zastanowiła się Zaduszka.

Tu podeszła do nich Amanda Buckman. — Nie słyszałaś, że Gary cię woła?

— Staram się go nie słyszeć — odparła Zaduszka.

— Dostałaś list — rzekła Amanda.

— Niemożliwe — odpowiedziała Zaduszka.

— Dlaczego? — spytała Amanda. — Czy twoi rodzice nie piszą?

— Wyłącznie do więźniów w zakładach karnych o podwyższonym rygorze — odrzekła Zaduszka.

— Pójdę zobaczyć. — Mopsio wstał i wyszedł.

Amanda zapatrzyła się na kolekcję stonóg i krocionogów Zaduszki. — Fu! ależ one obrzydliwe.

— Wiem — odrzekła z dumą Zaduszka.

— Co z nimi zrobisz?

— Zjem, kiedy urosną i utuczą się — rzekła Zaduszka.

— Bardzo śmieszne — nadęła się Amanda. — A nie mogłabyś ich przynajmniej trzymać w słoiku?

— Lubię mieć je w łóżku — wyjaśniła Zaduszka. — Przypomina mi to nasz dom.

Mopsio powrócił z listem. — Chyba od rodziców — powiedział, wręczając go Zaduszce. Ta otworzyła list i zaczęła go czytać.

— Och, nie!

— Co się stało? — zapytał Mopsio.

— Mnie to przez gardło nie przejdzie! — krzyknęła Zaduszka.

W baraku zapadła cisza.

— Coś się stało? — spytała Becky Granger. — Jakieś złe wiadomości?

— Nic gorszego nie zdarzyło się w dziejach ludzkości — jęknęła Zaduszka. Zwróciła się do brata. — Wuj Czyrak się żeni.

— Wesele! — uśmiechnął się Gary. — Ależ to wyborna wiadomość.

— Z kim żeni się wasz wujek?

— Z nianią — rzekła Zaduszka.

Amanda aż cofnęła się ze wstrętu. — Wynoście się z tego baraku! Ja się zabiję. *Ze służącą!*

— No, no, Amando — uspakajała ją Becky Granger. — Ta niania musi być *bardzo* sympatyczna.

— Tak czy owak uważam to za obrzydliwość — rzekła Amanda. — Myślę, że cała ich rodzinka to jakiś koszmar, medyczny eksperyment. Oni wszyscy są jak... cyrkowcy.

— A ja myślę, że czas na partię siatkówki — wtrąciła Becky. — No już, dzieci, idziemy sobie pograć.

Niebawem Zaduszka i Mopsio znaleźli się w trakcie zajądziej rozgrywki na boisku do siatkówki, w tylnym szeregu graczy. Obok nich stał chudy i blady chłopiec w grubych okularach. Ubrany w spodnie khaki i kraciatą koszulę, czytał sfatygowaną książkę w miękkiej oprawie, zatytułowaną *Krótką historia czasu*.

Zaduszka już go widywała. Podobnie jak ona i Mopsio, tak i on był „wyrzutkiem”, najwyraźniej nie stworzonym na obozowicza z Chippewa. Przypomniała sobie, że zaraz po przybyciu zauważyła, jak błagał rodziców, żeby nie zmuszali go do pobytu w tym obozie. Lecz matka odpowiedziała tylko, żeby się nie garbił, a ojciec kazał mu się uśmiechnąć.

Chłopiec wyjął inhalator i głęboko zaczerpnął przez niego tchu. Po czym odwróciwszy się, wytrzeszczył oczy na Zaduszkę i Mopsia.

— Coś ty za jeden? — spytała Zaduszka.

— Joel Glicker — odpowiedział chłopiec. — A wy?

— Zaduszka i Mopsio Addamsowie — przedstawił się Mopsio.

— Dlaczego nie interesujesz się grą? — spytała Zaduszka.

— Bo te zajęcia na świeżym powietrzu pobudzają mnie do rzygania — wyjaśnił Joel. — W ogóle nienawidzę sportu i jestem uczulony prawie na wszystko.

Lup! Piłka przeleciała nad siatką i odbiła się od głowy Joela, który to zignorował.

— No już, Glicker, włącz się do gry! — zawołał Gary Granger.

— Nie możesz być uczulony prawie na wszystko — powiedziała Zaduszka.

— Owszem, mogę — odpowiedział Joel. — Nie mogę jeść żadnego nabiątu, nosić wełny ani pić wody fluorowanej.

Cup! Następną piłką odbiła się od głowy Joela. Chłopiec nie zwrócił na to uwagi.

— Ktoś tutaj się nie stara! — krzyknęła Becky Granger.

— Wiecie, co się dzieje, kiedy moja matka użyje płynu do zmiękczenia tkanin? — zapytał Joel.

— A co? — spytała Zaduszka.

— Umieram! — rzekł z dumą Joel.

Lup! Następną piłką uderzyła go w głowę. Zignorował to i znów pograżył nos w książce.

— *Glicker!* — krzyknęła chóralnie reszta graczy.

— Ależ to groteskowe! — wrzasnęła Amanda, wskazując na Joela, Zaduszkę i Mopsia. — Oni nawet się nie starają. Jakby ich to wcale nie obchodziło.

- Czy to prawda? — zapytał Gary Granger.
- Oczywiście, że nas to nie obchodzi — potwierdziła Zadzuszka.
- Mam tych dzikusów powyżej uszu! — warknęła Amanda, wziąwszy się pod boki.
- Coś ty powiedziała? — zapytał Mopsio. Oboje z Zadzuszką ruszyli z wolna i groźnie w stronę Amandy.
- Obozowicze! — krzyknęła Becky Granger, usiłując zapobiec przykrej konfrontacji. — Zbiorowy uścisk!
- Wszyscy obozowicze, z wyjątkiem Mopsia i Zadzuszki, zbili się w gromadę i połączyli w uścisku.
- Zadzuszko — powiedział Gary Granger. — Mopsiu. Czy przytulenie się nam zaszkodzi?
- Zadzuszką skrzyżowała stanowczo ręce.
- My się nie przytulamy.
- Oni są po prostu nieśmiali — skomentowała Becky, ruszając w ich kierunku.
- Nie jesteśmy nieśmiali — odparł Mopsio.
- Jesteśmy zaraźliwi — dodała Zadzuszka.
- Ja was proszę, przyłóżcie się do nas. — Becky stanęła przed nimi z rękoma rozpostartymi do uścisku.
- Mopsio i Zadzuszką potrzęsnęli głowami.
- Wiecie co — rzekł Gary, przyłączając się do Becky. — Wyczuwam tu jakiś prawdziwy konflikt. Coś nie w duchu Chippewa. Ale o co chodzi, nie ma sprawy! Przyjdą do siebie. Potrzeba im tylko dobrych przyjaciół i dobrej zabawy. Oraz... trochę czasu w Szalasie Szczęścia.
- Co za Szalas Szczęścia? — spytała Zadzuszką.
- Takie bardzo szczególne miejsce — wyjaśniła Becky. — Udajemy się tam, żeby pomyśleć, kim jesteśmy i kim powinniśmy być.
- A jak nie zechcemy tam iść?
- Nie macie wyboru — rzekł Gary.

— Nie zmusicie nas — odparła Zaduszka.

— Owszem, zmusimy! — Gary wydobył długą, białą umowę. — Spójrzcie o tutaj, w warunkach kontraktu obozowego. Paragraf 43, punkt k. Stwierdza się w nim, że będziecie umieszczeni w Szalasie Szczęścia, jeśli kierownictwo obozu uzna to za konieczne.

— Nie podpisywaliśmy żadnej umowy — rzekła Zaduszka.

— *Wy* nie podpisywaliście — przyznał Gary, spoglądając zmrużonymi oczyma na dolną część dokumentu. — Ale podpisał to ktoś o nazwisku Czyrak Addams.

— Więc jeżeli wam nie zależy na procesie, to pójdziecie — stwierdziła Becky Granger.

Gary i Becky zgarnęli Zaduszkę i jej brata.

— Hej, a Glicker? O nim także nie zapomnijcie! — wykrzyknęła Amanda, pokazując na krzak, w którym ukrył się Joel.

— Idziesz z nami, Joel — powiedział Gary.

— Ale... — zakrzuszył się Joel.

— To jest w budynku — wyjaśniła Becky.

— A, to świetnie. — Joel potruchtał za nimi.

Gary poprowadził ich do niskiego, drewnianego budynku. Drzwi wejściowe zdobiły wymalowane tęcze i kolorowe motyle. — Proszę do środka — rzekł kierownik obozu.

Zaduszka pchnęła drzwi i stanęła jak wryta. Ściany pokrywała jaskrawo żółta tapeta w uśmiechnięte słoneczka i tęcze. Nie brakowało też plakatów. Jeden z nich wyobrażał kociątko zwisające z drążka do ćwiczeń z podpisem: „Miłego zwisu!” Inny plakat przedstawiał zachód słońca i napis: „Dziś jest pierwszy dzień reszty Twojego życia.” Na trzecim kudłata lalka trolla o smutnych ślepiach trzymała kwiat.

Okna zakrywały wesolutkie, drogie zasłony od Laury Ashley, po całym pokoju zaś były porozrzucane poduszki w krzykliwych kolorach. Zaduszka, Mopsio i Joel weszli do środka.

— Jak długo musimy tu siedzieć? — zapytał Mopsio.

— Aż pękniemy — rzekła Zaduszka.

— Bawcie się dobrze! — zawołali zza drzwi Becky i Gary.

Mopsio spróbował klamki. — Cholera! — wymamrotał. — Zamknięte na klucz.

Nie mając pomysłu, czym się zająć, Zaduszka i Mopsio rozsiedli się w dwóch fotelach. Wtem rozległa się muzyka.

— Och, nie! — Zaduszka próbowała zatkać sobie uszy. — To Raffi!

Joel usiadł w kąciку i zabrał się do czytania.

— Czy siatkówka to była pierwsza rzecz, którą się naraziłeś? — spytała go Zaduszka.

Joel potrząsnął głową. — Nie chciałem też jeździć konno.

— I to wszystko? — zapytał Mopsio.

— Poza tym nie chciałem robić domku dla ptaków.

— A dlaczego? — spytała Zaduszka.

— Woląłem czytać.

Nagle drzwi do Szalasu Szczęścia gwałtownie się rozwarły i wpadł jeszcze raz Gary. — Czy ktoś mówił tu o czytaniu? Nie w czasie, który należy do mnie, ty okularniku! — Wyrwał mu książkę. — Miłej zabawy!

Łup! Drzwi się znów zatrzasnęły.

— Głupi ciapciak — wymamrotał Joel. Popatrzył na Zaduszkę i Mopsia. — A wy trafiliście tu tylko za siatkówkę?

— Nie — odrzekła Zaduszka. — My jesteśmy jednostki społeczne i wrogowie ludu.

Joel uznał to za odpowiedź i rozejrzał się. Wypatrzył plakat, na którym Michael Jackson stał w otoczeniu gromadki dzieci. U dołu widniał napis: „Uzdrowić świat.”

— Czy ten obóz was nie przeraża? — zapytał Joel.

— Nienawidzimy go — rzekł Mopsio.

— Nie powinniśmy tutaj być — wyjaśniła Zaduszka. — Jesteśmy potrzebni w domu. Musimy ratować naszego wujka.

— Przed czym — zapytał Joel.

— Przed małżeństwem.

— Brzmi to nie za dobrze — powiedział Joel. — Ja też nienawidzę tego obozu. To po prostu obóz koncentracyjny, przebrany za raj dla dzieci. Wielki Brat zawsze na was patrzy. Drzwi zamykają się tylko od zewnątrz. W każdym kącie czai się ciemność.

— Przestań — poprosiła Zaduszka.

— Dlaczego? — zapytał Joel.

— Bo nam się spodoba i zechcemy tu zostać.

— W każdym razie nie rozumiem, dlaczego nie miałbym spędzać wakacji w mieszkaniu, czytając, jeżeli to właśnie mi odpowiada — rzekł Joel. — Kto powiedział, że zajęcia na świeżym powietrzu to najlepsze lekarstwo na wszystkie ludzkie dolegliwości?

Zaduszka i Mopsio popatrzyli na siebie.

— On ma rację — rzekł Mopsio.

— Najwyższy czas pomyśleć o ucieczce — rzekła Zaduszka.

Tej nocy, długo po zgaszeniu świateł, dwie małe postacie ubrane na czarno i w czarnych kominiarkach na twarzy spotkały się za barakiem Zaduszki.

— Ktoś cię widział? — szepnęła Zaduszka.

— Nie sądzę — odparł Mopsio. — A ciebie?

— Możliwe, że Amanda jeszcze nie zasnęła, ale nie sądzę, żeby coś zauważyła odpowiedziała Zaduszka.

— Idziemy.

Znikła w mroku między drzewami. Mopsio ledwie za nią nadązał.

— Prędej! — syknęła Zaduszka, przedzierając się przez zarośla i omijając drzewa.

— Lecę! — odsapnął Mopsio.

Przed nimi zamajaczył w blasku księżycy drewniany płot o wiejskim wyglądzie.

— Podsadź mnie — szepnęła Zaduszka.

Mopsio oparł się plecami o płot i nadstawił dłonie, żeby mogła się wdrapać na górę. Wtem ukazała się jeszcze jedna postać, też na czarno ubrana, z czarnym plecakiem.

— Zaczekajcie! — rozległ się nagłący szept.

— Kto to? — spytała przyciszonym głosem Zaduszka.

— To ja — odpowiedział Joel. Wskazał na krawędź płotu.

— Uważajcie, żeby się nie zadrasnąć! Tęzec!

Zaduszka i Mopsio spojrzeli do góry i zobaczyli coś, na co przedtem nie zwrócili uwagi. W świetle księżycy migotały ponad krawędzią druty kolczaste. Joel wydobył z plecaka wielkie nożyce do drutu. Zaduszka i Mopsio podszedli go na szczyt płotu, gdzie wziął się do przecinania drutów. Po chwili zeskończył.

— No, droga już wolna. Idziemy!

Mopsio znowu chciał podsadzić Zaduszkę.

Iiiiiii-auuuuu-iiiiii-uuuuu-iiiiii! zawyła znienacka syrena.

Grrrrrh-wau-wau-waa! rozległo się groźnie brzmiące ujadanie psów.

Nad ich głowami omiotły okolicę reflektory. Po chwili Wszyscy troje stanęli mrużąc oczy, osłepieni i skapani w ich blasku.

— Tutaj są! — wrzeszczała Amanda Buckman. — Widziałam, jak się wykradali!

Prowadzeni przez Amandę, Gary, Becky i cały zastęp obozowiczów otoczyli Zaduszkę, Mopsia i Joela, przypierając ich do płotu.

— Myśleliście, że uda się wam stąd prysnąć, co? — zaśmiała się wyniośle Amanda. Przystąpiła do nich i zdarła im z twarzy kominiarki. — Addams, Addams i Glicker! A któż by!

— Dzieci! — Gary aż zatchnął się z oburzenia. — Cóż to ma znaczyć?

— Musimy zobaczyć się z rodziną — wyjaśniła Zaduszka. — To bardzo ważne.

— Czyżby ważniejsze niż radośnie spędzone lato? — spytała Becky. — Ważniejsze od pozyskiwania nowych przyjaciół? Ważniejsze niż poczucie wspólnoty?

Zaduszka zadarła podbródek.

— Pewnie!

Gary wyglądał na głęboko dotkniętego. Zwrócił się do Joela: — Joel Glicker! Tego się po tobie nie spodziewałem.

— Muszę się stąd wydostać — rzekł Joel. — Mam alergię.

— Masz alergię na światło słoneczne? — spytała Becky. — Na sztukę łucznictwa? Na zajęcia praktyczne i artystyczne?

— Owszem! — uparł się Joel.

— Należy im się kara! — rozległ się przeraźliwy krzyk Amandy. Reszta obozowiczów napała na Zaduszkę, Mopsia i Joela.

— Ukarać ich! Ukarać! Ukarać! — wykrzykiwali.

— Ależ nie, obozowicze, nie! — Becky powstrzymała ich uniesionymi dłońmi. — Nie jesteśmy tu po to, żeby karać. Jesteśmy tu po to, ażeby inspirować.

Mopsio spojrzał nerwowo na Zaduszkę.

— Obozowicze — przemówił Gary — wiecie, czego według mnie potrzebują nasi mali *ninja*? Wiecie, co mogłoby spowodować przełom w ich żalonym i kto wie, czy nie zmarnowanym życiu?

— Co takiego? — spytał podejrzliwie Joel.

Gary skinął głową do Becky, która wyjęła kamerton i zapisała na nim, podając ton. Zaduszka nagle uświadomiła sobie, co to znaczy. Rozejrzała się w popłochu, gdzie by tu uciec, ale nie było ani szparki w gromadzie obozowiczów, którzy obsiedli w kółko ją, brata i Joela.

— Yhm — odchrząknęła Becky i po chwili gromada obozowiczów zaczęła podług Joan Baez wyśpiewywać:

*Kumbaja, o Panie, kumbaja,
Kumbaja, o Panie, kumbaja,
Panie mój, o Panie, kumbaja...*

Rozdział XIV

Dybka spodziewała się, że ona i Czyrak będą mogli po prostu wymknąć się jak najszybciej z tego domu wariatów, lecz Mortycja postanowiła urządzić jej w oranżerii przyjęcie zaręczynowe z prezentami, więc nie mogła odmówić. Jako dekoracje służyły suche i powiędłe kwiaty, a lustra pozakrywano czarną krepą. Ze staroświeckiego gramofonu brzęczała ponura muzyka jak gdyby pogrzebowa. Dybka stała samotnie na środku, rozglądając się, kiedy wpłynęła Mortycja.

— Masz tremę? — spytała.

Dybka przytaknęła.

— Tak samo było ze mną — wyznała Mortycja. — Ale tym razem będzie inaczej.

— Dlaczego? — spytała Dybka.

— Bo nie zaprosiłam nikogo z żyjących trupów — rzekła Mortycja. — Wiem, że niektórzy mieliby ochotę się pojawić, ale w ciągu dnia czują się nie najlepiej.

— Rozumiem — odrzekła Dybka.

Rozległ się dzwonek.

— Och, to na pewno już pierwsi goście! — Mortycja w podnieceniu ścisnęła dłonie i zawołała: — Wyrak, idź otworzyć.

Po chwili ukazały się rude bliźniaczki syjamskie, obydwie w kolorowych sukienkach.

— Bliźniaczki Amore! — ucieszyła się na głos Mortycja.
— Mortycjo! — zawołały jednogłośnie. — Nie widziałyśmy się od urodzin Czyraka.

Cała trójka się uściskała, po czym zwrócono się do Dybki.

— Pozwól, Deboro, to są Flora i Fauna Amore — przedstawiła je Mortycja. — Dziewczęta, poznajcie Dybkę Babrasky, narzeczoną Czyraka.

— Bardzo nam przyjemnie — rzekła Flora.

— Z ciebie i z Czyraka będzie uroczą para — przemówiła wylewnie Fauna.

— I spodziewam się, że dzieci będą równie urocze — dodała Flora — jak my! — Obie zachichotały.

Znów rozległ się dzwonek i weszły dwie następne kobiety. Jedna w podeszłym wieku i całkiem pomarszczona. Wyglądała jak resztką staroświeckiej piękności ze Stanów Południowych, ubrana w poplamioną lecz obfitą suknię koloru niegdyś białego, a w dłoni miała koronkową parasolkę. Druga kobieta była nieco młodsza, duża i barczysta, ubrana w obcisłą, wystrzępioną czerwoną suknię. W ręku miała otwartą butelkę dżinu i zataczała się z lekka.

Mortycja ujęła południową piękność pod ramię i przyprowadziła ją przed oblicze Dybki.

— Deboro — dokonała prezentacji — poznaj naszą kuzynkę Ofelię Addams, która przybyła tu aż z Memphis.

— Jakże to miłe — rzekła Dybka.

— Co miłe? — Ofelia wyglądała na zbitą z tropu. — Co ja tu robię?

— Ona ma już nie całkiem po kolei — szepnęła Mortycja do Dybki. Zwróciła się do Ofelii: — Przyszłaś na przyjęcie

zareczynowe, pamiętasz? Dybka wychodzi za Czyraka.

— Gratuluję — Ofelia uśmiechnęła się do Dybki. — Bo widzisz, ja też byłam kiedyś zamężna. I przez jakiś czas bardzo szczęśliwa.

— A co było potem? — spytała Dybka.

Ofelia wyglądała na zaskoczoną. — Nie wiem. — Rozejrzała się wokół, jakby dopiero teraz spostrzegła, gdzie się znajduje. — Czy umarłam?

Mortycja przyłożyła dwa palce do przegubu staruszki. — Nie, tętno masz jeszcze wyczuwalne. Ale na wszelki wypadek usiądź.

Ofelia podreptała w nieokreślonym kierunku, a Mortycja zwróciła się do wysokiej kobiety w wystrzępionej, czerwonej sukni.

— Deboro, to jest hrabina Afazja Dubarry-Addams. Pozwól, Afazjo, to narzeczona Czyraka, Dybka Babrasky.

Hrabina pociągnęła z butelki i otarła sobie usta grzbietem dłoni. — *Enchantée*—oznajmiła zaskakująco grubym, męskim głosem.

— Afazja jest aktorką — wyjaśniła Mortycja.

— Och, naprawdę? — Dybka uśmiechnęła się, że ją to zachwyca.

— Widziałas moje filmy? — spytała ją Afazja.

— Nie jestem pewna — zawahała się Dybka.

— Byłaś w wojsku? — spytała Afazja.

— Nie.

Postawna niewiasta kiwnęła głową. — To wyjaśnia sprawę. Dlatego ich nie pamiętasz.

W przeciwległym końcu oranżerii Ofelia otworzyła drzwi balkonowe i zaczęła przez nie wychodzić.

— Lepiej zatrzymam ją, zanim wyjdzie stąd i przestraszy kogoś na śmierć — rzekła Afazja i odeszła, zataczając się. Dybka i Mortycja patrzyły, jak chwyta Ofelię i ciągnie ją z powrotem do pokoju.

— Co za wspaniała para — westchnęła Mortycja. — Afa-
zja tak obrzydliwie traktuje Ofelię, a Ofelia nic z tego nie pa-
mięta.

Znowu rozległ się dzwonek i weszła kobieta o względnie
normalnym wyglądzie, pchająca przed sobą dziecinny wózek.
— Mortycjo! — wykrzyknęła na powitanie.

— Margaret! — Uściskały się obie z Mortycją, po czym
Mortycja przedstawiła ją Dybce. — Margaret, pozwól, to jest
Dybka Babrasky, nasza oblubienica.

— Witaj w rodzinie — pozdrowiła ją Margaret.

— Margaret była żoną naszego adwokata. Niestety jej
mąż, Tully, długo nie żył — wyjaśniła Mortycja.

— Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczyło, wejść do
klanu Addamsów — powiedziała w rozmarzeniu Margaret. —
Czy znacie już mojego nowego męża, kuzyna To?

— To? — powtórzyła Dybka.

— Jesteśmy ze sobą tacy szczęśliwi — zwierzyła się
Margaret. — I oczywiście mamy już swój własny kłębuszek
radości.

Sięgnęła do wózka i wydobyła z niego mały, gaworzący kłę-
bek włosów. Dybka nie wiedziała, co na to powiedzieć.

— Co? — rzekła Margaret.

— Ja nic nie mówiłam — zastrzegła się Dybka.

— Ach, nie, kochana — wyjaśniła jej Margaret. — Ono tak
się nazywa. Co? Tak je nazwał ginekolog, odbierający poród.

— Czyż nie urocze? — zapytała Mortycja.

— Mieliśmy już propozycje — stwierdziła z dumą
Margaret.

— Ogromnie chciałabym poznać pani męża — stwierdziła
Dybka.

— Gdzie on się podział? — spytała Margaret Mortycję.

— Z mężczyznami u Fernanda, w jego prywatnym przybytku — wyjaśniła Mortycja. — Zajmują się tym, co zwykle, kiedy my kobiety zejdziemy się we własnym towarzystwie.

— Rzną w karciochy i kopcą cygara? — domyśliła się Dybka.

— Albo kroją trupa — rzekła Mortycja. Zwróciła się do pozostałych: — No, dziewczęta, już czas, żeby Dybka rozpakowała swoje prezenty.

Kobiety zgromadziły się wokół stolika, na którym ułożono stos prezentów zaręczynowych. Dybka wzięła pierwszy z brzegu i otworzyła dołączony bilecik. Przeczytała na głos: „Od Afazji.” W pudełku znajdował się podarty, z lekka cuchnący, koronkowy biustonosz.

— Och, Afazjo — wykrzyknęła. — Tego już za dużo.

— Coś starego — skomentowała Afazja.

Mortycja wręczyła Dybce następne pudełko.

— To ode mnie — powiedziała Babunia. — Na noc poślubną.

Dybka otworzyła pudełko i pogrzebawszy w styropianowych kulkach, wydobyla prymitywną, afrykańską, drewnianą rzeźbę, której kształt nie budził wątpliwości.

— To... eee... naprawdę piękne — odezwała się niepewnie Dybka.

— Bóstwo płodności — wyjaśniła Babunia — albo sprawca wszystkich nieszczęść od zarania czasów. Tylko nie jestem pewna, to czy tamto. — Wskazała na umieszczoną w pudełku białą karteczkę. — Tu jest pokwitowanie.

Oprócz tego Dybka dostała od Fernanda i Mortycji łożo nabijane gwoździ, od Flory i Fauny kajdanki, od Margaret

komplet plastikowych pudełek. Ofelia zapomniała o prezencie,

— Szczęście, że nie zapomniała samej siebie — wymamrotała Afazja.

W innej części domu zebrali się w odosobnieniu Addamowie płci męskiej, w osobistym sanktuarium Fernanda, zbyt kownie urządzone, choć nieco zasnutym pajęczynami, gdzie nigdy jeszcze nie stanęła noga kobieca. Pokój był udekorowany jak burdel z przełomu stulecia, cały w draperiach z czerwonego aksamitu, z poręczami i całym wyposażeniem z miodu, z gazowym oświetleniem i ciemną boazerią z bogato rzeźbionego mahoni.

Na środku pokoju siedział przy okrągłym stole Czyrak w otoczeniu najbliższych przyjaciół. Prócz Fernanda, Wyraka i Rączki oraz kuzyna To byli tam garbaty nastolatek Guzio i dwugłowy Donald i Dexter.

— Nigdy bym nie przypuścił, że znajdę się na kawalerskim przyjęciu Czyraka — wymamrotał Donald.

— A ja owszem! — stwierdził wesoło Dexter.

— Optymista! — bluznął Donald.

— Ktoś tu musi być optymistą — ostro zareplikował Dexter.

— Ej, ej, chłopaki! — przywołał ich do porządku Fernando. — Dzisiaj proszę bez kłótni. — Podniósł kieliszek szampa. — Za Czyraka! Niech nam żyje długo i nieszczęśliwie!

— Oby witał każdy dzień w czarnej rozpacz! — wznosił toast Guzio.

Ta... tit-ta-tit... tit-tit-ta... wystukiwał po stole Rączka.

— Yp yp gligli! — wygłosił toast kuzyn To.

Kiedy wszyscy wychylili szampa, Fernando skinął na Wyraka, który podszedł do ściany i przyćmił światło.

Rączka pomknął do staroświeckiego projektora o dwóch szpulach i włączył go. Rozjarzył się snop migotliwego światła i wydobył kręcące się w powietrzu kłęby błękitnego dymu z cygar. Na wymiętym prześcieradle, przybitym pluskiewkami do ściany, ukazał się czarno-biały obraz.

— Męski film na kawalerskim przyjęciu! — Dexterowi aż dech zaparło. — Co za oryginalny pomysł!

— Głupie i świńskie — wymamrotał Donald.

Film ukazał pokój w stylu wiktoriańskim, pełen poduszek, frędzli, sztucznych palm i bufiastych kanap. W kadrze pojawiła się tańcząc tłusta niewiasta w stroju odaliski.

— Fatima! — rzekł zdławionym głosem Fernando.

— Kobieta o tysiącu sekretów! — zawołał Czyrak z błyskiem w oku.

— Yp! Yppp! Yp! — włączył się kuzyn To.

Na ekranie Fatima puściła się w wyjątkowo niezdamny taniec brzucha.

— Takie to podniecające, jakbym się przyglądał mojej pralce, do ładowania od przodu — wystękał Donald.

— Fantastyczna! — zawołał Dexter.

Taniec Fatimy robił się coraz bardziej gorączkowy i uwodzicielski. Wyrak gapił się z wybaluszonymi oczyma. Rączka tak się splątał, aż wciągnęło go w szpulę i obracało w kółko.

— Tańcz, kusicielko z haremu! — entuzjasmował się Fernando. — Specjalny taniec dla Czyraka!

Powietrze w pokoju stało się duszne i piekące od woni cygar i męskiego potu. Wszystkie oczy przyłgnęły do bajecznej, wyzywającej i podrygującej Fatimy. W końcu mężczyźni już nie mogli się dłużej powstrzymać.

— Zdejmuj to! — rozległ się dziki, zbiorowy krzyk.

— Zdejmuj!

Uwodzicielska postać na prześcieradle uśmiechnęła się do nich, jakby mogła to słyszeć.

— Zdejmuj! Zdejmuj! — darł się Czyrak i pozostali.

Fatima złapała się za głowę i zdjęła ją. Trzymając za włosy, zakreśliła nią, nabierając rozmachu, i rzuciła w stronę kamery.

Bach! Głowa Fatimy wylądowała na kolanach Czyraka. On pochylił się i zapatrzył w nią. Mrugnęła do niego. Jednak Fernando sięgnął po nią i wsadził sobie pod pachę.

— No i dobrze, chłopaki, ale pamiętajcie — powiedział — że to nasz sekret. Nie wolno się nikomu wygadać, co się tu dzieje.

Światła pojaśniały i Wyrak dołał wszystkim szampana. Wy-siorbali go i zażądali jeszcze. Po czym Rączka zadyrygował nimi do pijackiego wykonania hymnu *Sto lat*.

— Chłopaki, jesteście najkławsza banda kumpli, jakich facet może zarobić na tym świecie! — zawołał uszczęśliwiony Czyrak, kiedy przestali śpiewać. — Co za wspaniała noc!

— Zaczekaj do następnej nocy! — wykrzyknął Dexter. — Jutro o tej porze będziesz żonaty!

— Ciesz się, dopóki możesz — wymamrotał Donald. — To ostatni dzień twojej wolności.

— I jeszcze się nie skończył! — krzyknął Fernando.

— A teraz *clou* wieczoru!

Po jednej stronie pokoju rozsunęły się aksamitne zasłony i Wyrak wjechał z olbrzymim tortem na kółkach, wysokim prawie na dwa metry, przy wtórze werbla, który wybębnił Rączka.

— Ta...daaa!

Fernando uczynił zamaszysty gest mistrza areny.

— Ach, już wiem, co teraz nastąpi! — odchodził od zmysłów Czyrak. — Już wiem!

— To spełnienie najśmielszych fantazji! — zawołał Dexter.

— Jakież to przyziemne — skrzywił się Donald.

Wszyscy wpatrywali się wyczekująco w tort, ale nic się nie stało. Fernando zmarszczył brwi i skinął na Rączkę.

— Ta...daaa! — wykonał po raz drugi fanfarę, a Rączka powtórzyła swój werbel.

I znowu nic.

— Co za rozkoszny moment wyczekiwania! — krzyknął Dexter.

— Może poszła na kawę? — wtrącił Donald.

Fernando ze zmarszczonymi brwiami podszedł do tortu. — Wyrak, zdejmij górę — rozkazał.

Wyrak zdjął wierzch tortu i obaj zapatrzili się w głąb.

— O rany — westchnął Fernando.

— Co się stało, Fernando? — zapytał Czyrak. — Coś nie tak?

— Biedna dziewczyna — rzekł ze smutkiem Fernando. Popatrzył zwięzonymi oczyma na Wyraka. — Wyrak! Czy ona tam weszła, *zanim* wzięłeś się do pieczenia tortu?

Wyrak zawstydzony pokiwał głową.

Rozdział XV

Księżyc w pełni zawisł nad obozem Chippewa. Zaduszka przeszła na palcach po zroszonej trawie do ambulatorium. Drzwi cichutko skrzyknęły, kiedy je otworzyła i zamknęła za sobą. Przez okna wpadał blask księżyca, oświetlając szafki z wyposażeniem lekarskim, tablice do badania wzroku i ludzki szkielet, wiszący na chromowanej podstawie.

- Joel? — szepnęła Zaduszka. — Gdzie jesteś?
- Tutaj! — odsyknął Joel.
- Gdzie?
- Koło szkieletu.

Zaduszka podeszła na palcach do szkieletu. Joel wystąpił z cienia.

- Dostałem twoją kartkę — powiedział. — W kotlecie.
- Muszę cię o coś spytać — rzekła Zaduszka.
- Co takiego?

Zaduszka wzięła głęboki oddech. — Czy wierzysz w istnienie zła?

— Hmm... — Joel się na chwilę zamyślił. — A widziałaś moją mamusię?

Zaduszka wzięła jedną dłoń szkieletu we własną. — Posłuchaj, Joel, mój wujek Czyrak żeni się. Z tą babą w białym fartuchu.

- Od rentgena? — zapytał Joel.

— Nie. Z naszą piastunką — wyjaśniła Zaduszka. — Muszę dostać się na ich wesele.

— Szkoda gadać. Nigdy cię nie wypuszczą.

— Wypuszczą — oznajmiła Zaduszka. — Gary dał mi przepustkę.

— Co... przepustkę? — głos Joela zadrżał z bolesnego podziwu. — Możesz stąd wyjść?

— Nie płacz — powiedziała Zaduszka.

— Dlaczego mi o tym mówisz? — spytał Joel przez ściśnięte gardło. — Żeby mnie dręczyć?

Zaduszce nie przyszło to wcale do głowy. Rzecz wyglądała dość kusząco, ale szło jej o coś innego. — Pomyślałam sobie, czy nie chciałbyś zrobić tego ze mną.

Joel w półmroku wyglądał na wstrząśniętego. Ujął szkielet za drugą dłoń. — Tak we dwoje?

— A skądże — zastrzegła się Zaduszka.

— Ja... bardzo bym tego chciał — wyjąkał Joel.

Wtem drzwi zaskrzypiały.

— Jest tu kto? — rozległ się głos.

Gary! Zaduszka i Joel spojrzeli na siebie ze zgrozą. Joel powiedział samymi ustami, bez głosu: — Co robimy?

Zaduszka rozglądała się w popłochu i oczy jej padły na dwoje stojących obok siebie, pustych noszy na kółkach. Szarpnęła Joela za rękaw, żeby poszedł za jej przykładem.

Tymczasem drzwi ambulatorium rozwarły się na oścież i weszli małżonkowie Granger, omiatając wnętrza światłem ręcznych latarek, błędzącym po ścianach, suficie i podłodze.

— Kto tu jest? — zawołała Becky.

— Na pewno kogoś słyszałaś? — spytał po ciemku Gary.

— Nie jestem pewna, ale tak mi się zdawało.

Kierownicy obozu czujnie obeszlą całe pomieszczenie. Nagle przystanąłi, zwracając światło swych latarek na dwoje noszy i wyciągnięte na nich ciała, przykryte prześcieradłami.

— Ach, nic takiego. To chyba bliźnięta Morrisonowie — powiedział Gary. — Z tego popołudnia.

— Tak, oczywiście. Przy skokach na gumowej linie? — spytała Becky.

— W tańcach ludowych — poprawił ją Gary.

Ostatni raz omiółł wewnątrz światłem z latarki.

— No, nikogo tu nie ma. Chodźmy.

Po chwili drzwi skrzypnęły i zatrasnęły się. Joel i Zaduszka usiedli na noszach i odrzucili prześcieradła.

— Oho, słyszałaś? — wytchnął Joel. — Więc obozowicze tracą życie!

— Niewiele brakuje, żeby zechciało mi się tutaj zostać — westchnęła Zaduszka.

W rezydencji Addamsów Dybka poczekała, aż wszyscy zasnęli. Potem włożyła szlafrok i wymknęła się ze swego pokoju. Weszła po kręconych schodach do pokoju Czyraka i cicho zapukała do jego drzwi.

— Kochanie? — wyszeptwała, uchylając je z lekka.

Usłyszawszy głos swojej przyszej małżonki, Czyrak się obudził. — Najdroższa? — wymamrotał przez sen.

— Jestem tu za drzwiami — odezwała się Dybka.

— Chciałabyś wejść? — Czyrak wybałuszył oczy.

Nigdy jeszcze nie odwiedziła go w jego pokoju.

— Owszem, ale musiałbyś zamknąć oczy, kochanie — powiedziała Dybka spoza drzwi. — To przynosi nieszczęście, jeżeli zobaczy się narzeczoną.

— Ale już cię widziałem — rzekł Czyrak.

— To nic złego — wyjaśniła Dybka. — Ale teraz jest noc poprzedzająca wesele, więc nie wolno ci patrzeć.

— A czy na pewno nie zaszkodzi, jak *ty mnie* zobaczysz?
— spytał Czyrak, zamykając posłusznie oczy.

Rzeczywiście nic przyjemnego, pomyślała Dybka, pchnąwszy drzwi i wchodząc do pokoju. — Owszem, jeżeli panna młoda zobaczy oblubieńca, to w porządku — odparła. — A nawet *musiałam* cię jeszcze raz zobaczyć przed ślubem.

— A dlaczego?

— Bo chciałam ci powiedzieć, że najchętniej zmyłabym się z tego przyjęcia — rzekła stłumionym głosem Dybka, podchodząc z wolna do jego łóżka.

— I zrobiłaś to później? Z mydłem? — zapytał Czyrak.

— Och, ty ciągle ze mnie żartujesz — roześmiała się Dybka. — Bo do ciebie tęskniłam, ty głuptasie.

— Tak, wiem — rzekł Czyrak. — Fernando mi tak samo wytłumaczył, kiedy szorował mnie przed tą kolacją. Ale teraz już nie będziemy zmuszeni myć się aż do srebrnego wesela.

Którego nie dożyjesz! pomyślała Dybka, zbliżając się do Czyraka.

— Nie, najdroższy, pozwól, że ci coś wytłumaczę — przemówiła, wyjmując z kieszeni szlafroka miarkę krawiecką. — Chciałam wyjść, bo nie mogłam bez ciebie wytrzymać, chociaż dostałam dużo prezentów na to cudowne życie, które czeka nas oboje po ślubie.

Owszem, cudowne, tylko że dla ciebie bardzo krótkie, pomyślała Dybka, skradając się. Trzymając miarkę w powietrzu, wymierzyła nią szyję Czyraka, żeby dokładnie wiedzieć, jakie mają być rozmiary pętli, na której powiesi go tak, aby wyglądało to na samobójstwo. Czyrak leżał na wznak z zamkniętymi oczyma i zębami obszczerzonymi w uśmiechu, nie mając pojęcia, co Dybka właściwie robi.

— A ja miałem wspaniałe przyjęcie kawalerskie — powiedział.

— Wprost uwielbiam Fernanda i Mortycję — odezwała się Dybka. — Jak wszystkich Addamsów.

Zacisnęła pięść z jednym palcem wytkniętym jak lufa, udając sama dla siebie, że strzela do Czyraka.

— Bułeczko, będziemy szczęśliwi, prawda? — zapytał Czyrak.

— Oczywiście, ukochany mój! — zapewniła go Dybka, teraz znowu udając, że trzyma w dłoni sztylet i dźga nim leżącego raz po raz. Twarz jej wykrzywił milczący okrzyk mordy i furii.

— Tak chciałbym otworzyć oczy i zobaczyć twoją piękną twarz — rozmarzył się Czyrak.

— Och, nie, ptysiu, nie wolno! — ostrzegła Dybka.

— Postaram się nie otwierać oczu — przemógł się Czyrak. — Ale nie jest to łatwe. Kiedy mam cię tak blisko.

— Pomyśl sobie, jak blisko będziemy jutrzejszej nocy — wymruczała po kociemu Dybka.

— Nie mogę się już doczekać! — zawołał Czyrak i zaczął sapać.

— Ale wiesz co, Czyrak?

— Słucham, pączuszk?

— Chciałabym cię o coś poprosić — wyszeptała mu w ucho Dybka. — To taka głupotka.

— Co tylko zechcesz! — sapnął Czyrak.

— Twój podpis — szepnęła Dybka. — W moim weselnym albumiku. Jest taka tradycja.

— Mój podpis? — Czyrak się zasepił, nie otwierając oczu.

— Tylko nie patrz! — ostrzegła go Dybka. Wyciągnęła z zanadru dokument, w którym było napisane: „Ostatnia wola

i testament Czyraka Addamsa... Wszystko, co posiadam, zapisuję mojej żonie Deborze.”

— Tu jest pióro — wręczyła je Czyrakowi.

— Ale ja nie widzę, co podpisuję — zauważył.

— Nic się nie martw — zapewniła go Dybka, wolną ręką umieszczając jego dłoń na dokumencie. — Już ja dopilnuję, żeby to było we właściwym miejscu.

Rozdział XVI

Nadszedł dzień wesela. Zgodnie z tradycją rodziny Addamsów ceremonia miała się odbyć o zmroku na cmentarzu. W oczekiwaniu na to wydarzenie cała rezydencja została pokryta uschniętymi gałęzmi i czarną krepeą. Taka sama krepa spowijała nagrobki, posągi i grobowce na cmentarzu.

Słońce pochyliło się ku zachodowi. Jego przygasające promienie rozświetlały krostawce, dmuchawce i trujący bluszcz, krzewiące się wokół domu. Weselni cy zajmowali miejsca wśród grobów. Pokryty czarnymi różami ołtarz ustawiono na wprost największego z rodzinnych grobowców. Wyrak zasiadł przy organach piszczałkowych, które wyniesiono z domu na zewnątrz, i grał wzruszające wariacje na temat *Słońce wschodzi i zachodzi*. W szarzejącym świetle śmigły nietoperze i z daleka dolatywało wycie dzikich bestii.

Wypuszczony chwilowo z obozu Joel siedział w czarnej jarmułce na jednym z bliższych miejsc, wybałuszając krótkowzroczne oczy, z pełnym przejęcia wyrazem na dziecinnej twarzy.

Zaczęła się ceremonia.

Jako pierwsza przeszła wolnym środkiem Zaduszka, z ponurym wyrazem twarzy, rozrzucając ostre kamyki z koszyka na kwiaty. Za nią Mopsio, niosący obrączki, trzymał w rękach

czarną satynową poduszkę, na której leżała Rączka, ściskając w palcach obrączki.

Za nimi stąpała Dybka, z bukietem w ręku i promienna w swej białej ślubnej sukni. Prowadził ją Fernando w smokingu.

Po chwili cała rodzina zgromadziła się przed ołtarzem. Fernando i Mortycja ustawili się po jednej stronie, z dumnym i szczęśliwym wyrazem twarzy. Z drugiej strony stanęli Mopsio i Zaduszka, nader posepni, a za nimi Babunia z Grobertem na rękach. Twarzą do nich wszystkich, ubrany w suknie duchowne, stał kuzyn To i obok niego Margaret, z kudłatym Co w ramionach, mająca służyć mężowi za tłumaczkę.

— Yp yp mump gliglu — zagał kuzyn To.

— Ukochani moi, zebraliśmy się tutaj — przetłumaczyła Margaret.

— Yp eep plikly glupp — ciągnął kuzyn To.

— Aby węzłem małżeńskim połączyć tego mężczyznę — wyjaśniła Margaret.

— Ym gliglipp.

— I tę kobietę.

Aaaa-grrrh-uuuuuu-uuu-iiiiiiii!

Z grobowca za nimi wydobył się przeraźliwie żalobny wrzask. Fernando i Mortycja natychmiast odwrócili się i załomotali pięściami w mur grobowca. Krzyk ucichł.

— Ypp yp glub blub epp — mówił dalej kuzyn To.

— Przysięgajcie.

Czyrak zapatrzył się, rozmarzony, na swoją piękną oblubienicę.

Fernando szturchnął go. — *Przysięgaj, Czyrak!*

— Ach, tak, przysięgać. — Czyrak ocknął się i wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę. Kiedy ją rozkładał, Dybka mu zajrzała przez ramię.

— Musisz to *wszystko* przeczytać? — spytała go, jawnie zniecierpliwiona

— To deklaracja mojej nieprzemijającej miłości — tłumaczył się Czyrak.

— Więc postaraj się ją zadeklarować w dwudziestu pięciu słowach albo krócej — zażądała stanowczo Dybka.

Zbity cokolwiek z tropu Czyrak zaczął: — Uhm, ehem, ja, Czyrak Addams, składam niniejszym deklarację wiecznej miłości. Będę cię zawsze ubóstwiać; poświęcę każdą chwilę, w której nie będę spał, wyłącznie twojemu szczęściu; jestem od tej chwili twoim raz na zawsze wiernym i bezgranicznie oddanym niewolnikiem.

— To fajnie — rzekła Dybka. — Jak wyżej.

Kuzyn To zwrócił się do Czyraka: — Bla blu gliglipp?

— Czyrak — przetłumaczyła Margaret — czy chcesz pojąć tę kobietę za żonę?

— Tak... tak! — wyjąkał Czyrak.

— Też — ucięła Dybka. — Jak wyżej. Załatwione?

— Głyb yb byb — wypowiedział się kuzyn To.

— Czy mogę prosić o obrączki? — przełożyła Margaret.

Mopsio nadstawił poduszkę, a Rączka podała obrączkę. Czyrak wziął ją i chciał włożyć Dybce na palec.

— Chwileczkę. Mogę zobaczyć? — spytała Dybka, wyciągając z zakamarków sukni ślubnej lupę jubilerską. Czyrak stał i czekał, a ona sprawdzała jakoś obrączki.

Gdy wreszcie zaakceptowała ją, Czyrak wsunął obrączkę na jej palec. Obserwujące to kobiety natychmiast zaczęły szlochać i ocierać sobie oczy koronkowymi chusteczkami albo szmatami w plamach od smarów i oleju.

— Mężczyzna i kobieta — wykrztusiła Margaret, siąkając nosem i wzdychając. — Może coś z tego będzie.

W pierwszym rzędzie Ofelia, zwiędła piękność z Południa, i Afazja, podpita aktorzycza, też osuszały sobie łzy.

— Uwielbiam wesela — rzekła wytwornie Ofelia. — Afa-zjo, a ty byłaś kiedyś zameżna?

— Pewnie — potwierdziła Afazja.

— W bieli? — spytała Ofelia.

— Nie, w Berlinie — odparła Afazja.

Tymczasem przy ołtarzu kuzyn To znowu się odezwał: — Gli gli plup yp glams.

— Możesz pocałować wielebnego — przetłumaczyła Margaret.

Dybka uniosła welon i nachyliła się do Czyraka.

— Nie mnie — Czyrak powstrzymał ją uniesioną dłonią i wskazał na kuzyna To. — Najpierw jego.

Dybka wyprostowała się. — Też rodzinna tradycja?

Czyrak kiwnął głową. Kuzyn To pochylił się do niej i Dybka go pocałowała. Odstąpiwszy do tyłu, wyciągnęła sobie z zębów długi, brązowy włos.

— Gli em piapia glams.

— Teraz możesz pocałować oblubienicę — rzekła Margare-t.

Pochyliwszy się, aby ucałować Czyraka, Dybka spostrzegła kątem oka, że Wyrak zbliża się do nich ze staroświecką kamerą. W momencie, gdy robił zdjęcie, Dybka uniosła dłoń i zasłoniła sobie twarz.

Trach! Babach! Błyskawica rozpruła niebo i potoczył się grzmot. Małe Co w ramionach Margaret wizgnęło ze strachu, a kuzynowi To wszystkie włosy stanęły dęba. Reszta weselników rozejrzała się niespokojnie.

— W zapowiedziach nie przewidziano burzy — stwierdził Fernando.

— To tylko Grobert — wyjaśniła Babunia, tuląc go do ramienia i poklepując po plecach.

Blup! Odbiło się Grobertowi. Grzmoty i pioruny ucihły.

— No, już lepiej. — Uśmiech zamajaczył na wargach Ferdnanda, lecz Mortycja wyglądała wciąż na zmartwioną.

— Mortko, najdroższa, co się stało? — spytał Fernando.

— Sama nie jestem pewna — odrzekła Mortycja. — Ale w momencie, kiedy Czyrak i Dybka się pocałowali, a równocześnie zaczęło grzmieć i błyskać, poczułam się jakby nieswojo.

— Czyżby depresja maniakalna? — podsunął Fernando.

— Nie jestem pewna, ale może to mieć coś wspólnego z Dybką i Czyrakiem.

— Och, pewnie zwyczajny lęk przed zmianą — zbył jej obawy Fernando. — Wiesz, jak bardzo my Addamsowie nie cierpimy wszystkiego, co nowe. Ale trzeba się z tym po prostu pogodzić. Ale popatrz! Państwo młodzi już uciekają do swego samochodu!

Wskazał palcem. Rzeczywiście Dybka zdążyła już wyprowadzić Czyraka poza cmentarz i ciągnęła go teraz w pośpiechu do rodzinnego Phantoma, udekorowanego girlandami i napisami: NOWOŻEŃCY. Do tylnego zderzaka przywiązane były blaszane puszki oraz jakiś trup, leżący twarzą do ziemi.

Fernando, Mortycja i reszta weselników rzucili się w po-goń.

— Zaczekaj! — krzyknął Fernando, kiedy panna młoda szarpnięciem otworzyła drzwi samochodu.

Dybka odwróciła się ku niemu: — Czego?

— Macie przed sobą cudowne, wspólne życie — stwierdził Fernando.

— Owszem, mam — opędziła się Dybka i znowu zaczęła się łądować do samochodu.

— Czekaj — powiedział Czyrak.
— A ty czego? — odburknęła Dybka.
— Bukiet. — Czyrak wskazał na trzymany przez nią pęk kwiatów.

— Chcesz go? To masz! — Zaczęła mu go wpychać do rąk.
— Ja nie chcę, kochanie — sprzeciwiał się Czyrak. — Ale popatrzmy, kto następny będzie szczęśliwą narzeczoną.

Dybka odwróciła się do tłumu gości, którzy tymczasem ob-
stąpili ją ze wszystkich stron. Przewróciła oczyma i cisnęła w
nich bukietem. Wybuchł rozgardiasz, gdy kobiety rzuciły się,
aby go zdobyć. Ponad szamocącym się tłumem wlatywały
trzewiki, części garderoby, czyjaś peruka.

Nagle wszystko się uspokoilo.

Stojąca pośrodku tłumu Zaduszka stwierdziła ku swemu
przerażeniu, że trzyma w ręku bukiet.

Joel zwrócił się do niej z maślanym spojrzeniem w oczach.
— Teraz musisz wyjść za mąż.

— To nie jest obowiązujące! — odparła Zaduszka.

— Zdzira — wymamrotała Aspazja.

Tymczasem Dybka wepchnęła Czyraka do samochodu
wskoczyła za nim i zatrzasnęła drzwi. Patrząca na to Mortycja
znów poczuła, jak budzi się w niej dziwne i niemiłe przeczucie.
Kiedy Wyrak siadał na swoim miejscu, aby odstawić no-
wożeńców na lotnisko, Mortycja szybko rozejrzała się za swo-
ją prawą ręką.

Wypatrzyła ją i zawołała:

— Rączka! Trzymaj się tego samochodu!

Wyrak włączył silnik i wrzucił bieg. Masywny Rolls ruszył z
miejsca. Ale Rączka pomknęła za nim i wskoczyła na tylny
zderzak. Kiedy samochód zniknął w ciemności, Rączka poma-
chała Mortycji i pokazała jej uniesiony kciuk.

Rozdział XVII

Dybka i Czyrak lecieli przez całą noc i wylądowali na ciemnym jeszcze lotnisku, tuż przed świtem. Wymęczeni nowożeńcy wsiedli do taksówki i pojechali do swego hotelu, gdzie zwalili się na osobne łóżka i zasnęli, kiedy robił się dzień.

Przespali cały dzień. O zmroku Czyrak się obudził. Dybka leżąc na wznak, z rozdziawionymi ustami, głośno chrapała w przeciwległym łóżku. Czegoś tak romantycznego Czyrak w życiu nie słyszał. Kusilo go, aby wczołgać się do jej łóżka, lecz powiedział sobie, że lepiej będzie poczekać, aż jego młoda małżonka się obudzi.

Wyśliznął się tylko z łóżka, odsunął zasłony i wyszedł na balkon. Przycisnął się do poręczy i wybałuszył oczy. Przed nim rozpościerały się ogromne, niebiesko-zielone wody rozległego Pacyfiku. Gdzieś tam strzęp obłoczku na granatowym niebie mienił się lawendą i ciemnym różem, odbijając ostatnie chwile wspaniałego zachodu słońca, który właśnie dobiegał kresu. Powietrze wypełniały przenikliwe zapachy tropikalnego kwiecia.

Coś tu było straszliwie nie w porządku...

Czyrak cofnął się do pokoju. Dybka z wdziękiem przeciągnęła się w łóżku i poskrobała pod pachą. Na Czyraku jej nieświadomy erotyzm wywarł kolosalne wrażenie.

— Kochanie — odezwał się cichutko.

Dybka przewróciła się na bok i wybałuszyła oczy, jak gdyby na chwilę zapomniała, kto to jest. — Och... Czyrak.

— Dobrze ci się spało? — zapytał Czyrak.

— Owszem — ziewnęła Dybka. Miała na sobie seksowny, prześwitujący negliz.

— Otóż i nasz miesiąc miodowy — rzekł Czyrak.

Dybka kiwnęła głową ciut niepewnie.

— Tylko jednego nie rozumiem — rzekł Czyrak.

— Czego?

— Przecież to są Hawaje.

— Wiem — odpowiedziała Dybka.

— A myślałem, że wybieramy się w Dolinę Śmierci — rzekł Czyrak.

— Oczywiście — Dybka usiadła w łóżku i szeroko ziewnęła. — Nie mówiłam ci, że zmieniłam plany?

— Nie.

— Tyle miałam na głowie z tym weselem, że widać zapomniałam. Zadzwonili z biura podróży i powiedzieli, że w Dolinie Śmierci mają nadwyżkę. Że mogą nam co najwyżej zaofiarować darmowy tydzień na Hawajach.

— A czy są tu sępy? — zapytał Czyrak.

— Możemy później zajrzeć do zoo — pocieszyła go Dybka.

Czyrak kiwnął ze smutkiem głową, obszedł jej łóżko i usiadł koło niej. — Co tam, grunt, że jesteśmy razem w naszą noc poślubną. — Ujął jej dłoń. — Tylko ty.

— I jeszcze ty — Dybka uścisnęła jego dłoń. Wtem na ich połączone dłonie wpełzła Rączka.

— I Rączka! — Czyraka aż zatkało z radości.

— *Ooooch!* — wrzasnęła Dybka, zrywając się. Rączka pomknęła precz i wdrapała się na poręcz balkonu.

— Cóż za cudowna niespodzianka! — wykrzyknął Czyrak. — Pasażer na gapę! — Zwrócił się do Dybki, która z dłonią

przyciśniętą do piersi ciągle jeszcze nie mogła złapać tchu. — Czy to nie wspaniale?

— Wspaniale — zakpiła Dybka i znów siadła na łożku.

Czyrak ujął jej dłonie. — Co to ja chciałem? Aha, już wiem. Czy nie chciałem cię objąć?

Przysunął się do niej. Ale Dybka się odsunęła.

— Tak, najdroższy — powiedziała. — Ale najpierw jeszcze jedną rzecz musimy zrobić.

— Tak? — zapytał skwapliwie Czyrak.

— Jest taki zwyczaj w noc poślubną — wyjaśniła Dybka.

— Jakiś tajemny, starożytny obrządek? — zaciekawił się Czyrak.

— Owszem — kiwnęła głową Dybka. — Kąpiel.

Czyrak wzdrygnął się i odskoczył.

— Co to ma znaczyć? — spytał. — Te ciągle kąpiele?

— Jedna noc i koniec — szepnęła Dybka.

Czyrak nabrał głęboko tchu i z wolna go wypuścił.

— Zrobię to dla ciebie — oznajmił, jakby się szykował do bitwy.

Wstał i udał się do łazienki. Dybka wyszła na balkon i wsparła się o poręcz, zapatrzona w rozległy ocean. Rączka przysiadła obok niej na poręczy. Dybka wyciągnęła dłoń, jak gdyby ją chciała pogłaskać, i Rączka przycupnęła w oczekiwaniu pieszczoty. Lecz w ostatniej chwili Dybka pchnęła ją z lekka.

Rączka znikła w przepastnej głębi.

Czyrak leżał wyciągnięty w marmurowej, wpuszczonej w posadzkę wannie, aż pod brodę schowany w pianie. Rączka, która przeżyła karkołomny upadek, odbiwszy się od kilku wielkich liści palmowych, wjechała z powrotem windą na górę. Teraz rozprowadzała kupkę piany po łysej czaszce Czyraka.

Do łazienki wkroczyła Dybka, pogrążona w kartkowaniu grubej książki. Podniosła oczy i wzdygnęła się.

— Rączka? — wytchnęła.

Na to Rączka przestała nacierać łysą pałę Czyraka i pogroziła jej palcem. Ale widać nie powiedziała Czyrakowi, co Dybka usiłowała z nią zrobić.

— Najdroższa — powiedział Czyrak, wyciągając do niej ramię pokryte pianą. — Może się do mnie przyłączysz?

— Jeszcze nie teraz — odpowiedziała mu Dybka. — Jeszcze jestem... taka nerwowa.

— Ależ, kochanie, jesteście małżeństwem.

— Wiem o tym — odparła Dybka — ale wciąż nie jestem w nastroju. — Pokazała mu książkę. — Właśnie czytałam ten poradnik. To najświeższy bestseller niejakiej Jane Seymour: *Jak żyć romantycznie*.

— I co ona doradza? — spytał Czyrak.

Dybka otworzyła książkę. — Jane doradza przyćmione oświetlenie. — Podeszła do ściany i zgasiła światło w łazience. Następnie zapaliła kilka świec.

— Ooch, całkiem jak w podziemnej jaskini — wyszeptał z uznaniem Czyrak. — I co dalej?

— Dalej powiada, że w powietrzu powinien się unosić egzotyczny bukiet zapachów — zacytowała Dybka.

— Jak to?

Dybka wyszła z łazienki i wróciła ze zbiornikiem do rozpylania.

— Co to jest? — zaniepokoił się Czyrak.

— Odsprzedawacz w aerozolu „Romantyczność” firmy Glade — wyjaśniła Dybka. Kilka razy psiuknęła w powietrze, po czym bryzgnęła, jak się patrzy, na Rączkę. Ta zadygotała konwulsyjnie i z pluskiem wpadła do wanny. Czyrak zaś głęboko się zaciągnął.

— Mmm! — wytchnął z głębi płuc. — Pachnie zupełnie... jak w starej krypcie. Nie... jak w taksówce. Hi hi hi! — zachichotał.

— Co z tobą, mój ogóreczku? — zapytała go słodko Dybka.

— To Rączka — zawołał Czyrak. — Dobrała się do mnie i łaskocze! Rączka, no przestań!

Rączka wylazła z wanny i przysiadła na jej brzegu, ociekająca.

— Już? — wysapał Czyrak. — Jesteś w nastroju?

— Prawie... prawie — odrzekła Dybka. — Ale Jane powiada, że nie obejdzie się bez romantycznej muzyki.

— Skąd ją weźmiesz?

— Za momencik wracam. — Dybka znowu znikła w sypialni. Tym razem wróciła niosąc wielkie, srebrzyste pudło z długim, pomarańczowym kablem. Weisnęła guzik i rozległa się cicha, pieszcząca zmysły muzyka klasyczna.

— To radio? — zapytał Czyrak.

— Nie — odrzekła Dybka — to odtwarzacz płyt kompaktowych. Płytę zamówiłam z oferty *Time-Life*. Nazywa się *Pięć Tysięcy Najbardziej Romantycznych Melodii Świata*.

— Coś pięknego — zachwycił się Czyrak. — A ta jaki ma tytuł?

Dybka popatrzyła na świecące w plastiku okienko. — Nazywa się *Czteryście Trzydzieści Osiem*.

— Dybka, jesteś po prostu cudowna! — wykrzyknął Czyrak. — To ponure światło, ta straszna woń, ta pogrzebowa muzyka. Pomyślałaś o wszystkim!

Dybka przyklękła obok wanny, trzymając w ramionach pudło.

— Czyrak — zagadnęła go — więc podoba ci się to romantyczne życie?

— Podoba! — przytaknął Czyrak. — Jak dotąd.

Dybka pogłośniła muzykę. — Nic nie słyszę!

— Mówilem — zaczął tubalnie Czyrak, ale Dybka podniosła się i zatańczyła przy tej muzyce, w rytmie walca, nader sugestywnie i zmysłowo.

— Och, bo ja kocham to romantyczne życie! — krzyknęła. — Jak Jane! A ty, Czyrak, jak bardzo mnie kochasz?

Urzeczony głośną muzyką, migotem świec i urodą kobiety, tańczącej przed nim w seksownym i przejrzystym negliżu, Czyrak zdołał wykrztusić: — Z całej duszy!

— Zrobiłbyś dla mnie wszystko? — spytała Dybka, obracając się przed nim w piruetach.

— Tak! — wrzasnął jak oszalały.

— *Wszystko?*

— Tak! Tak! Tak! — wykrztusił Czyrak, wychodząc z siebie.

Dybka osunęła się na kolana i wpatrzyła mu z bliska w wybałuszone oczy. — A... umarłbyś dla mnie?

— Takkk — wystękał.

— Na pewno? — Dybka powstała z klęczek i wrzuciła od-twarzacz do wanny.

Lubudu! Coś wybuchło z trzaskiem. Woda w wannie zasyczała i buchnęła parą. Wyładowania elektryczne wstrząsały na wskroś ciałem Czyraka, rozjaśniając błyskami łazienkę.

Pach! Pach! Pach! W całym apartamencie strzelały krótkie spięcia w lampach i wybuchały żarówki. Rączka rzucała się po całym pokoju, miotając iskry.

W łazience zapadła ciemność i cisza, tylko chlupotała woda w wannie. Dybka schyliła się i wyjęła wtyczkę z kontaktu.

— Ogóreczku? — wymamrotała drwiąco.

Wtem rozjarzyła się żarówka. Dybka z niedowierzaniem wytrzeszczyła oczy. Żarówka tkwiła w ustach Czyraka!

— Bułeczko? — rozległ się jego niewyraźny głos.

— To ty... żyjesz? — wykrztusiła Dybka.

— To było coś niesłychanego! — odsapnął Czyrak. — Nikt mi jeszcze nie zrobił czegoś takiego.

— Naprawdę? — jęknęła żałośnie Dybka.

— A ty zrobiłaś to już kiedyś mężczyźnie? — zapytał Czyrak.

— Eee... nie — odparła Dybka. — To był przypadek.

— Przypadek? — zdziwił się Czyrak.

— Tak — zapewniła go Dybka. — Czy wiesz, Czyrak, że mogłeś od tego umrzeć?

Czyrak potrząsnął głową. Na twarzy miał wyraz zdumienia. — Naprawdę?

— Tak.

— Ho ho! — rzekł Czyrak. — Nie sądziłem, że śmierć może być taka przyjemna.

Dybka przewróciła oczyma i wyszła do sypialni.

Czyrak wyszedł z łazienki w białym, frotowym szlafroku. Usiadł na łóżku obok Dybki. Ciągle jeszcze wstrząśnięta, że nie udało jej się zakatrupić nowego męża, Dybka ignorowała go, zapatrzona w telewizor.

— Kochanie — przemówił Czyrak, łagodnie wyjmując jej z dłoni pilota. — Wiem, że jesteś trochę nerwowa. — Wyłączył telewizor. — Ja również.

— Nie jestem nerwowa — oburzyła się Dybka. — Jestem wściekła.

— Z powodu tej wanny? — spytał Czyrak. — Cóż, przypadki chodzą po ludziach.

— Wiem! — odburknęła Dybka.

— Ale ja się czuję wspaniale — rzekł Czyrak.

— Wiem — odpowiedziała w desperacji Dybka.

— Nie myśl już o tym — poprosił Czyrak, czule głaszcząc ją po ramieniu. — Myśl... tylko o mnie. I o naszej wspólnej przeszłości.

Myśl o tym była tak straszna, że Dybka zaczęła żałośnie pjękiwać. Wyczuwając jej przygnębienie, Czyrak przysunął się bliżej.

— Nie bój się — powiedział bardzo łagodnie. — Będę cię traktował delikatnie. Dla mnie to coś równie nowego, jak dla ciebie.

Dybka popatrzyła na niego z niedowierzaniem. — Ty naprawdę z nikim jeszcze się nie ciupciałeś?

— Nie.

— W takim razie — Dybka położyła dłoń na jego dłoni, aby zyskać na czasie — skąd wiesz, że nie robimy tego właśnie teraz?

— Wiem, kochanie — przemówił cierpliwie Czyrak. — Ale już jesteśmy po ślubie. Pora to zrobić.

— O mój Boże — jęknęła Dybka.

— To najpiękniejsza chwila pomiędzy mężczyzną a kobietą — oznajmił Czyrak. — Będziemy jak Fernando i Mortycja.

— Ale ja nie jestem gotowa — przestraszyła się Dybka. — To nie tak miało się odbyć!

— Kochana, nie martw się — rzekł Czyrak. — Zaliczasz się teraz do Addamsów. Wyobraź sobie, że jesteśmy w domu, w moim pokoju. Babunia siedzi w holu, Wyrak przy drzwiach.

— O mój Boże — wymamrotała Dybka, przejęta zgrozą na myśl o tym, co teraz nastąpi.

Czyrak wyczuł, że coś tu nie tak. — Proszę cię. O co chodzi? Czego ci potrzeba?

Czego jej *potrzeba*? wytrzeszczyła się na niego Dybka. Ależ tego, żeby szlag go trafił, żeby nareszcie zdechl! Co niestety okazało się nadspodziewanie trudne. Nowy plan załagał się w

jej głowie i uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

— Powiem ci, czego mi trzeba — wymruczała. — Ciebie. Tylko ciebie, najdroższy.

— Naprawdę? — spytał uradowany Czyrak.

— Takkk — szepnęła namiętnie Dybka. — Przyznam ci się, Czyrak, że nagle... nagle poczułam się gotowa.

— O mój Boże! — zawołał Czyrak. — Och, Dybka, Kochanie ty moje. Pragnę ciebie.

Nachylił się ku niej, odurzony zapachem i bliskością jej ciała w tym zwiewnym negliżu. Wcisnął twarz w zgięcie jej szyi. Zaczął obcałowywać żarłocznie jej skórę.

— Tylko jedna sprawa, Czyraku — szepnęła Dybka.

— Fernando mi powiedział — odszepnął Czyrak. — Bez chichotu.

— I... — podchwyciła Dybka.

— Żadnych pacynek — dodał Czyrak.

— I... — zapowiedziała.

— Co jeszcze? — zmarszczył brwi Czyrak.

— Kiedy mnie posiądziesz, nigdy więcej nie wolno ci ujrzyć swojej rodziny.

— Co takiego? — Czyrak jej nie pojmował.

— W przeciwnym razie nie sprawiałoby mi to przyjemności — rzekła Dybka, chwytając jego dłoń i przyciskając ją do swej piersi. — Nie potrafiłabym oddać ci się bez reszty.

— Jeżeli nie zerwę z rodziną? — spytał Czyrak w oszołomieniu.

— Proszę cię, zrozum — zaszepnęła gorąco Dybka. — Gdybym wyobraziła sobie, że oni nadal będą uczestniczyć w naszym życiu, nigdy bym nie mogła osiągnąć...

— Czego? — zapytał Czyrak.

— No wiesz — powiedziała Dybka. — Tego, co osiągają kobiety.

- Rozgłosu?
- Nie... z mężami.

Czyrak natężył się i zmarszczył czoło. Dybka położyła sobie jego dłoń na udzie, po czym nachyliła się do przodu i wyszeptowała mu coś do ucha.

- Coś podobnego! — aż go zatkało.

Dybka pokiwała twierdząco głową i przesunęła dłonią do góry i w dół po jego udzie.

- Nigdy? — powtórzył Czyrak.
- Więc nie kochasz mnie? — spytała żałośnie.
- Oczywiście, że kocham! — zapewnił Czyrak.
- I nie *pragniesz* mnie? — zaszepiała mu Dybka prosto w ucho.

- Ależ pragnę! — zadygotał Czyrak.

Dybka pocałowała go namiętnie w usta i oderwała się. — Więc obiecaj mi, że już nigdy się z nimi nie spotkasz.

— Ale... przecież — wyjąkał Czyrak, rozrywany pomiędzy żądzą a poczuciem więzi rodzinnych.

Dybka znów zaczęła sunąć ręką w górę po jego udzie.

— Ooo-oo-och-ch-ch — wystękał Czyrak, odchodząc od zmysłów.

- Więc już nigdy, byczku? — wyszeptwała Dybka.
- Nigdy — odszepnął Czyrak.
- Przysięgasz?
- Przysięgam! — wystękał Czyrak.

Negliż Dybki osunął się na ziemię, ukazując pająka, czarną wdowę, wytatuowaną na jej ramieniu.

Rozdział XVIII

Minął tydzień. W rezydencji swej Addamsowie poświęcali się swym codziennym zajęciom, jak rzucanie czarów, zaklinalnie demonów i wychowywanie Groberta. Pewnego ranka przy śniadaniu Mortycja prawie nie tknęła sadzonych wnętrzności. Fernando spostrzegł, że wygląda jakby na nieobecna i przynębioną.

— Kochanie? — zagadnął, aby ją z tego wyrwać.

— Mam dziwne przeczucia — rzekła Mortycja. — Na temat Czyraka.

— Ach, naszego żonkosia — uśmiechnął się jowialnie Fernando.

— Już tydzień nie mieliśmy od niego wiadomości — zauważyła Mortycja.

— I jakie stąd wnioski? — spytał Fernando.

— Że mu co innego na myśli — mrugnęła Babunia.

— Oj, babuniu, ty łobuzico! — roześmiał się Fernando.

— Tylko że z Czyraka taki domator — rzekła Mortycja. — To całkiem nie podobne do niego, żeby się nie odezwał.

— Może w Dolinie Śmierci popsuły się telefony — podsunął Fernando.

Na co Babunia zauważyła:

— Oni wcale nie pojechali do Doliny Śmierci.

Fernando i Mortycja wyglądali na zaskoczonych. — Co takiego?

— Tuż przed ich wyjazdem słyszałam, jak Dybka rozmawia przez telefon z biurem podróży — wyjaśniła Babunia. — Zmieniła rezerwację na Hawaje.

— Hawaje? — powtórzyła skonsternowana Mortycja. — A po co ktoś miałby tam jechać?

— Nie mam pojęcia — odparła Babunia.

Mortycja spojrzała w oczy Fernandowi. — Od razu wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Czuję, że Dybka ma niedobre zamiary.

— Zaraz! — wtrącił się Fernando. — A wulkany?

Na to Mortycja troszkę się uspokoiła. — Oczywiście! Głupia jestem, że tak się przejmuję. Chcą tam złożyć jakąś ofiarę.

Wau! Wau! Grrrr! Za drzwiami frontowymi rozległo się wściekle ujadanie i warczenie psów.

Ktoś wrzasnął: — Ojeeej! Na pomoc!

— Poczta — rzekł Fernando.

— Zabrzmiało to, jakby nowy listonosz — powiedziała Babunia.

— Owszem. Nie rozpoznałem tego krzyku — rzekł Fernando.

— Może przyszło coś od Czyraka. — Mortycja podniosła się i ruszyła w kierunku holu.

— Rzeczywiście coś jej nie daje spokoju — zauważyła Babunia, kiedy Mortycja wyszła z kuchni.

— Poczula się opiekuńczo i tyle — zbył sprawę Fernando.

Babunia zauważyła: — Ale rzeczywiście Czyrak już dość dawno nie opuszczał naszego domu.

— To prawda — stwierdził Fernando — ale przypominam ci, że ostatnim razem zapodział się w Trójkacie Bermudzkiej i nie było go ponad dwadzieścia lat. A czy pisywał do nas?

Babunia potrząsnęła głową.

— No widzisz? — zakończył sprawę Fernando.

Wróciła posepna Mortycja.

— Są wiadomości od Czyraka? — spytał Fernando.

— Żadnych — rzekła Mortycja. — Tylko list od twojego korespondenta z Attyki. Jednak to dziwne, że Czyrak w ogóle się do nas nie odezwał — zastanowiła się, znowu siadając. — Ani telefonu, ani listu, ani gołębia pocztowego...

W kołysce Groberta coś beknęło. Fernando wstał i podszedł do niej. Grobert leżał w ciemnych okularach.

— Popatrzcie na niego. Za bardzo poszalał na tym przyjęciu — zauważył Fernando i wyszedł do kuchni.

— To załatwi sprawę — rzekł wracając. Utrząsał w butelce surowe jajko z dodatkiem sosu Worcester i kapką wódki, po czym założył na to gumowy smoczek. Gdy zatrzymał się przy kołysce, Grobert łączywie sięgnął po butelkę wyciągniętymi rękoma.

— Bejbuś wie, co dla niego zdrowe, prawda? — pochwalił Fernando, dyndając butelką nad kołyską.

Grobert złapał ją i usłyszeli donośne ssanie, a później pełne zadowolenia: — Aaaach.

— Nie ma nic lepszego na kaca — rzekł z dumą Fernando.

Znowu rozległ się dzwonek do drzwi.

— Może wrócili! — achnęła i poderwała się Mortycja.

— Po co mieliby dzwonić? — spytał Fernando, wychodząc za nią do holu. — Przecież Czyrak ma klucze.

— Może zgubił — podsunęła Mortycja.

Nim dotarli do frontowych drzwi, Wyrak już je otworzył. Pojawili się dwaj mężczyźni w niebieskich kombinezonach, rozglądający się wokół. Ponad kieszenią na piersi każdy z nich nosił białą naszywkę. Na jednej widniało BILLY, na drugiej AL.

— Czy to rezydencja Addamsów? — zapytał Billy.

Wyrok skinął głową.

Mortycja wyglądała na zdziwiona. — Nie oczekiwaliśmy żadnej dostawy.

— My nie dostarczamy — rzekł Al. — My zabieramy.

— A co zabieracie? — spytał Fernando.

— Wszystkie jego bambetle — wyjaśnił Billy.

— Czyje bambetle? — zapytała Mortycja.

Al ze zmarszczonym czołem przerzucił parę kartek na kliporcie. — Czyrak Addams. Kazał je zabrać.

— Czyrak? — Fernando był zaszokowany.

— To jakaś pomyłka — rzekła Mortycja.

— Według tego spisu — powiedział Al. — Kolekcja spinaczy do papieru. Jedne kalesony. Pudełko z piaskiem.

Akurat przechodziła Babunia z pudełkiem piasku w rękach.

— Jest — sięgnął po nie Billy. — Zabieram je.

— A wała! Nie dam! — przeraźliwie krzyknęła Babunia.

— Mamy zabrać pudełko z piaskiem do załatwiania się, należące do Czyraka Addamsa — wyjaśnił Al.

— To *moje* pudełko — odgryzła się Babunia. — Pudełko Czyraka jest na górze w jego sypialni, tam gdzie powinno.

Babunia odeszła.

— To jak będzie... eee... pokażecie nam, gdzie są bambetle tego faceta Czyraka? — zapytał Billy.

Fernando i Mortycja spojrzeli po sobie.

— To coś bardzo, bardzo dziwnego — wzdrygnęła się jakby dreszczem przejęta Mortycja.

Tymczasem w obozie Chippewa Zaduszka, Mopsio i Joel stali na łuczniczej strzelnicy.

— Mielicie jakieś wiadomości od waszego wuja Czyraka? — zapytał Joel.

— Ani słówka — odparła Zaduszka.
— To już tydzień — zauważył Mopsio. — Jak sądzisz, co oni w tej chwili robią, Dybka i wuj Czyrak?
— Pieprzą się — odparła Zaduszka.
Mopsio popatrzył bez wyrazu, jakby nie rozumiał.
— Wiesz, co to znaczy? — spytała Zaduszka.
— Oczywiście! — rzekł Mopsio.
Zaduszka spojrzała na Joela.
— Figę on tam wie — powiedział Joel.
— A właśnie, że wiem! — upierał się Mopsio.
— Przecież to mały bejbuś — drażniła się z nim Zaduszka.
— Wcale nie! — krzyknął ze złością Mopsio.
— Dobra, dobra, panie Dorosły — rzekł Joel. — Skoro już tak dobrze wiesz, na czym polega seks, to może nam powiesz?
— Dobrze — zgodził się Mopsio. — Więc najpierw oni się rozbierają.
— Okej — przyznał Joel. — Na razie zgadza się.
— No widzisz? — powiedział Mopsio.
— I co dalej? — zapytał Joel.
— Więc jak oboje się już rozebrali, to skóra z nich złazi. Potem ich ciała rozpękają się na pół i wiją się na podłodze. Wreszcie mózg jednego i drugiego zlewa się razem. I wtedy wydają wrzask.
— Tak się to odbywa? — zapytał Joel.
Mopsio przytaknął.
Joel zwrócił się do Zaduszki: — Ty mu wygadałaś.
— Nie, ani słówka — wyparła się Zaduszka.
— Teraz Amanda — zawołał Gary Granger.
Zaduszka i Joel przypatrywali się, jak Amanda sięga po łuk i strzałę. Odciągnęła strzałę bardzo daleko i wymierzyła w cel.
— Szyj! — zakomenderował Gary.

Amanda wypuściła strzałę, która przeleciawszy dwadzieścia pięć metrów ugodziła w sam środek celu.

— W środeczek! — wykrzyknął Gary. — To było wspaniałe, Amando. Następny!

Joel, Zaduszka i Mopsio rozejrzeli się. Zostali już tylko oni.

— Teraz kolej na ciebie, Glicker — rzekł Gary, podając mu łuk.

— Ja nie mogę — rzekł Joel.

— Alergik? — Gary uniósł z niedowierzaniem brew.

— Pacyfista — odpowiedział Joel.

— Nie przejmuj się — powiedział Gary. — Cel nic nie czuje.

Joel ujął niechętnie łuk i strzałę. Napiął może na dziesięć centymetrów.

— Szyj! — zawołał Gary.

Joel wystrzelił. Strzała poleciała może na metr.

— Postarałeś się! — wykrzyknął Gary. — Następny!

Joel przekazał łuk Mopsiowi, a Gary wręczył mu strzałę. W tej chwili podbiegł jakiś obozowicz, wymachując kartką pocztową. — Właśnie przyszło! — wołał. — Do Zaduszki i Mopsia!

Ze strzałą napiętą aż do podbródka Mopsio odwrócił się.

— Padnij! Kryj się! Wszyscy! — wrzasnął Gary.

Kilkunastu obozowiczów rzuciło się plackiem na ziemię.

— Addams, jak Boga kocham! Celuj gdzie indziej!

Mopsio wymierzył w niebo i strzelił.

Buch! O ziemię uderzył wielki, brązowy ptak z białą głową, przeszyty strzałą Mopsia. Dżamał go podniósł.

— Przecież to amerykański orzeł białogłowy! — zawołał.

— Czy one nie są wymarłe? — spytała Amanda.

— Teraz już są — rzekła Zaduszka.

Becky przysunęła się do męża. — Czy nie możemy mieć przez to kłopotów? — spytała.

— Moglibyśmy, ale... — Gary zwrócił się do Dżamala.

— Zanieś to do kuchni obozowej i niech Wu Fang przyrządzi go na kolację.

Dżamal odszedł z orłem. Gary Granger odwrócił się do żony i uśmiechnął się: — No, to nie ma dowodu.

— A co jest w tej pocztówce? — spytał Joel Zaduszkę.

— Napisano w niej: „Kochani Zaduszek i Mopsiu, bardzo was kocham, ale więcej się nie zobaczymy. Kiedy już dorosniecie i poczujecie się bardzo samotni, zrozumiecie mnie. Wasz kochający wuj Czyrak.”

— Ależ to straszne! — wyrzucił z siebie Joel.

— To Dybka — powiedziała Zaduszka.

— Dybka? — nie rozumiał jej Mopsio.

— Ona się za tym kryje — rzekła Zaduszka. — O to chodzi. Dostała go w szpony. Już po wuju Czyraku.

Później tegoż dnia, na widowni obozowego teatru Chipewa, wiejskiego budynku z surowych bierwion, Zaduszka, Mopsio i Joel siedzieli ukryci na podłodze za ostatnim rzędem. Reszta obozowiczów zebrała się w dwóch grupach na scenie. Na środku sceny znajdowała się grupa tych dobrze widzianych, skupiona wokół Amandy Buckman. Wyrzutkowie zgromadzeni byli na uboczu po prawej. Becky i Gary z klipor-tami w rękę siedzieli na widowni.

— Głowy do góry, obozowicze! — wykrzykiwał Gary.

— Już tylko dwa tygodnie dzielą nas od jamboree! Wiecie, co to znaczy? Porządkowanie kwater, twórczość w glinie i pływać, pływać, pływać na kanadyjce! Do dzieła! Czekajcie nas jedno wydarzenie po drugim, a wszystkie pełne zabawy i wściegłego współzawodnictwa! Nie zapominajcie o naszej

dewizie z Chippewa: „Wygrać to nie wszystko... ale powinno!” Nasze wspólne czasy dobiegają kresu, więc dajmy sobie jeszcze więcej uciechy, więcej niż człowiek byłby w stanie wytrzymać!

Zaduszka, Mopsio i Joel puszczała to mimo uszu, jak zwykłe. Joel pokazywał im paczkę obrazków do kolekcjonowania, jaką dostał w ostatniej poczcie

— Ta seria nazywa się *Psychopaci i Seryjni Mordercy* — objaśniał szeptem. — Teraz mam już prawie że komplet. Brakuje mi jeszcze tylko Kuby Rozpruwacza i tego mordercy od znaków zodiaku.

— Ej, popatrz! — Mopsio, którego niemalże zamurowało, wskazał na obrazek, wyglądający jak przebrana Dybka.

— Jak rany, to może być ona — rzekła Zaduszka.

— Macie rację — potwierdził Joel — wygląda prawie jak ta piastunka, która wyszła za waszego wujka. — Podniósł i przeczytał opis na odwrocie: „Czarna Wdowa. Miała co najmniej trzech bogatych mężów, z których żaden nie żyje.”

— Zamieńmy się — zaproponował Mopsio.

— A co dasz? — spytał Joel.

Mopsio wyciągnął swój najcenniejszy obrazek nastolatki, która strzeliła w twarz żonie swego kochanka. — Amy Fisher.

Na przodzie widowni Gary zwracał się do zebranych na scenie obozowiczów.

— Może słyszeliście, że co roku na zakończenie letniego obozu urządzamy całkiem wyjątkowe przedstawienie teatralne. Scenariusz, muzyka i teksty piosenek. ..

— Gary Granger! — oznajmiła z dumą Becky Granger.

Zgromadzeni na scenie wpatrywali się tępo w kierownika obozu i jego żonę.

— Scenariusz, muzyka i teksty piosenek... — powtórzył Gary.

— Gary Granger! — oznajmiła Becky, znacząco puszczając oko do obozowiczów.

— Ach, rozumiem! — powiedziała na głos Amanda Buckman i zaczęła klaskać. Reszta obozowiczów przyłączyła się do owacji. Gary się uśmiechnął.

— W tym roku wasz stary wymyślił coś naprawdę podniecającego — zapowiedział. — Mój osobisty wyraz hołdu dla pierwszego Święta Dziękczynienia. Otóż długo łamaliśmy sobie głowę nad tym, której z naszych małych aktorek powierzyć główną rolę Sary Miller, pięknej i dobrotliwej pani wśród Pielgrzymów.

Na scenie Amanda i jej przyjaciółki trzymały się za ręce w skwapliwym wyczekiwaniu. Wszystkie wskazywały palcami Amandę, rumieniącą się z udawanej skromności i wskazującą znów na kogoś innego.

— Wybrana została Amanda Buckman! — obwieścił Gary.

Amandzie opadła szczęka, jak gdyby całkiem oszołomiła ją ta niespodziewana wiadomość.

— Ja? — wyrzuciła z siebie dramatycznie.

— Towarzyszkami zaś Amandy jako Pielgrzymki będą Lily, Jennifer, Tiffany, Missy, Michelle i Melissa!

Wszystkie pozostałe dziewczęta na scenie wydały przerażliwy wrzask i rzuciły się do zbiorowego uścisku. Z tyłu widowni przyglądali się temu w milczeniu Zaduszką, Mopsio i Joel. Becky Granger zwróciła się z kolei do stojących na scenie wyrzutków.

— Oczywiście nie każdy może być gwiazdą — podkreśliła. — Ale nie zapominajmy o naszych małych, wesołych Indianach Chippewa, których zagrają Mordechaj, Estera, Miriam,

Yang oraz... eee... nie jestem pewien, jak to się wymawia...

— Dżamal — powiedział Dżamal.

— Rzeczywiście, Dżamal — zgodziła się Becky. — A przewodzić im będzie w drugoplanowej, ale znaczącej roli Poca-hontas... no, zgadnijcie, na kogo padł nasz wybór.

Wyrzutki gapily się po sobie, wzruszając ramionami. Wyglądało na to, że jest im wszystko jedno.

— Bardzo słusznie! — oznajmiła Becky. — Zagra ją nasza własna brunetka, też należąca do wyrzutek... Zaduszka Adams!

Zaduszka poczuła dreszcz grozy.

— A gdzież ona jest? — zapytał Gary, wypatrując w tłumie na scenie.

— Tam z tyłu — Amanda Buckman wskazała na tylne rzędy widowni, gdzie Zaduszka stała zaszokowana i jak słup soli. Myśl o tym, że miałyby wystąpić w obozowym przedstawieniu, całkiem ją zdruzgotała! Zapadła się pod krzesła i znikła.

Rozdział XIX

Przez resztę ich miodowego miesiąca na Hawajach Dybka gorączkowo i na osobności prowadziła rozmowy telefoniczne. Wybrali się raz na wulkan, gdzie Dybka przypadkowo potrąciła Czyraka. Jej nowy mąż znikł na chwilę za krawędzią krateru, po czym został wypluty w kłębie gorących gazów i popiołu, jakby wulkan też nie miał na niego najmniejszej ochoty.

Wreszcie przyszedł czas na powrót do domu.

Końcowa część trasy odbyła się lokalną linią powietrzną na małe, prowincjonalne lotnisko. Po wylądowaniu Czyrak wyjrzał przez okno i zmarszczył czoło.

— To nie z tego lotniska odlatywaliśmy — zauważył.

— Wiem — odparła Dybka. — Jedziemy do naszego nowego domu.

— *Nowego* domu? — Czyraka to zaskoczyło.

— A nie powiedziałam ci?

— Nie.

— No popatrz. — Dybka wzruszyła tylko ramionami, wręczając mu swoją torebkę i kilka ciężkich toreb. — Proszę, kabczku, ponieś je.

Stewardesa otworzyła drzwi samolotu i Dybka zeszła na płytę lotniska. W oddali zobaczyła karawan. Cholera! zupełnie o tym zapomniała. Podeszedł do niej kierowca karawanu w żalobnym uniformie.

- Pani Addams? — wyglądał na nieco zbitego z tronu
- Tak? — odrzekła Dybka. Trudno jej się było przyzwyczaić, że tak ją nazywają.
- Pani karawan czeka — rzekł kierowca. — A gdzie zwłoki?
- O tam — Dybka wskazała na Czyraka, który zmagał się z jej bagażem.
- Ale on żyje — zauważył kierowca, jeszcze bardziej zakłopotany.
- Mnie to mówisz! — wymamrotała Dybka.
- Nie rozumiem — powiedział kierowca.
- Przyślijcie rachunek i koniec — westchnęła Dybka. — Proszę nie zapomnieć, że ma być adresowany do Czyraka Addamsa.

Dybka powiodła Czyraka do odbioru reszty bagażu z obracającej się karuzeli. Rączka dreptała za nimi, wlokąc zwiędły wieniec hawajski. Następnie, gdy Czyraka już wcale nie było widać spod góry walizek i toreb, Dybka wyprowadziła go na krawężnik, gdzie krępy mężczyzna o przylizanych czarnych włosach czekał przy połyskującej od nowości białej limuzynie marki Buick.

- Pani Czyrakowa Addams? — zapytał.
- No chyba — odparła Dybka.
- To dla pani — mężczyzna wręczył jej komplet kluczyków do samochodu. — Szerokiej drogi.
- Dziękuję. — Dybka rzuciła kluczykami w Czyraka. — Otwórz bagażnik i załaduj tam rzeczy.

Czyrak wypuścił z rąk wszystkie walizki i torby, które zwały się z łoskotem na ziemię. — Skąd mamy ten samochód? — zapytał, otwierając bagażnik.

- Kupiłam go na kartę kredytową. — Dybka wyjęła kosmetyczkę i zaczęła szminką poprawiać usta.

— Ale dlaczego taki nowy — rzekł markotnie Czyrak. — I taki biały.

Dybka poprawiła go.

— Ściślej mówiąc, w kolorze kości. Mój ulubiony kolor.

— W takim razie mnie też się podoba. — Czyrak starał się zgadzać na wszystko.

Dybka wolałaby już niemal, żeby się tak nie starał. Skoro nie udaje się go zabić, to mógłby przynajmniej wściec się na nią i zniknąć. Ale bez względu na to, jak okrutnie go traktowała, on po prostu wracał i łasił się jak szczeniaczek.

— Czyrak! — powiedziała.

— Tak?

— Kto wie, czy nie zostaniemy ze sobą... przez jakiś czas — rzekła Dybka, aż skręcając się na samą myśl. Ciągłe jeszcze nie wyrzekła się nadziei, że w końcu zdoła go jakoś uśmiercić.

— Przez całe życie twoje i moje, *cara mia* — Czyrak popatrzył na nią rozkochanym wzrokiem.

— Co? — spytała Dybka.

— *Mon chère* — wykrzyknął w uniesieniu Czyrak.

— Gadaj po angielsku! — zirytowała się Dybka.

— *Pumpkin* — rzekł Czyrak, zatrzasnąwszy bagażnik.

— Słuchaj — odezwała się Dybka, zajmując miejsce na tylnym siedzeniu. — Powiedzmy sobie szczerze. Jeżeli mam się z tobą pokazywać, to musimy wprowadzić pewne zmiany.

— Zmiany? — Czyrak nic z tego nie rozumiał.

— A coś ty myślał — powiedziała Dybka. — No! wsiadaj i prowadź.

Nazajutrz kilka wozów do przeprowadzek zajęchało przed ogromną, krzykliwie bogatą i nowoczesną rezydencją w stylu

kolonialnym, otoczoną rozległym trawnikiem i wysokim, białym, żelaznym ogrodzeniem. Cała armia robotników wносиła do środka przez główne wejście całe góry nowego umeblowania.

Dybka stała u drzwi, wyposażona w kliport, gdzie wpięto cały plik papierów, i pilnowała, jak robotnicy wnoszą super-nowoczesną kanapę z czarnej skóry i chromu oraz taki sam komplet foteli.

— To idzie do salonu — zarządziła, wskazując na wielką, białą salę, gdzie pod ścianami stały rzędem czarno-złote kolumny.

Weszli jeszcze dwaj robotnicy, niosąc biało-złoty francuski antyk. Jeden omal nie pośliznął się na grubym, białym, fu-trzanym dywanie.

— Uważajcie, wy łapserdaki! — krzyknęła Dybka. — To jest Ludwik Czternasty! Czyrak, chodź no tutaj!

Z wnętrza domu wynurzył się Czyrak w bujnej, brązowej peruce, w nowej koszuli dżinsowej z naramiennikami, w dżin-sach startych w marmurek na kamieniu i w miękkim, białym obuwiu na indyjskiej gumie, o wysokich cholewkach. Sięgnął sobie do głowy.

— Co ty robisz? — ofuknęła go Dybka.

— Bo mnie swędzi — rzekł Czyrak.

— Nie dotykaj! — krzyknęła Dybka. — Póki ci ten parch nie odpadnie.

Czyrak pociągał się tu i ówdzie za ubranie, w którym naj-wyraźniej czuł się nieswojo.

— Czy uważasz, że ten strój naprawdę do mnie pasuje?

— Oczywiście, że nie! — przywołała go do porządku Dybka. — I właśnie o to chodzi!

Czyrak niezupełnie pojmował, dlaczego Dybka nie chce, aby chodził w pasującym ubraniu, ale zanim zdążył coś powiedzieć, podszedł robotnik niosący ozdobną, złotą lampę na

podstawie w kształcie dwóch splecionych ze sobą węzłów.

— Gdzie pani każe to umieścić? — zapytał.

— Na pierwszym piętrze — ofuknęła go Dybka. — W bu-
duarze. Tylko ostrożnie.

Robotnik skinął głową, ale zanim zdążył wejść na czarno-
białe schody, Czyrak zastąpił mu drogę.

— Hej — oświadczył z dumą. — Jestem jej mężem.

Robotnik popatrzył na niego dziwnie i obszedł go w kółko.

— Czyrak! — Dybka przesłała mu ostre spojrzenie.

— Daj buzi — Czyrak ułożył usta w dzióbek.

— Daj dwadzieścia dolarów — odgryzła się Dybka.

Czyrak zaczął grzebać w kieszeni.

Dybka spojrzała na ulicę i nagle spostrzegła, że nadjeżdża
nią samochód o znajomym wyglądzie. Okręciła się na pięcie i
popchnęła Czyraka tak mocno, że poleciał z powrotem do sa-
lonu.

— Kryj się! — wrzasnęła. — Właz do swego pokoju i nie
pokazuj się, póki cię nie zawołam.

— Dlaczego? — zapytał Czyrak.

— Bo ja tak każę — odszczeknęła mu Dybka. — Concetta!

Ukazała się kobieta w błękitnym ubiorze pokojówki. —
Słucham, panno Dybko?

— *Deboro!* — krzyknęła na nią Dybka. — Jadą tu ludzie.
Odpraw ich.

Po chwili na podjazd przed domem wtoczył się Rolls Phan-
tom Addamsów. Wsiadła z niego Mortycja z Grobertem na
ręku, a za nią Babunia, Fernando i Wyrak. Weszli ostrożnie
na schody od frontu i nacisnęli dzwonek.

Pokojówka otworzyła im drzwi. — Czym mogę służyć?

— Chcielibyśmy zobaczyć się z Dybka i Czyrakiem — rzekła Mortycja.

— Przykro mi, ale państwa nie ma w domu — odparła Concetta.

— Czyrak jest — nastawa! Fernando. — Czuję, jak śmierdzi.

Pokojówka odwróciła się i krzyknęła w głąb domu:

— Panno Dybko!

— Deboro! — odwrzasnęła jej Dybka.

Concetta przytrzymała im drzwi. Addamsowie weszli przez marmurowy przedpokój i stanęli jak wryci, ze zgrozą rozglądając się po czarno-złoty kolumnach. Meble były obite albo w kwiaty od Laury Ashley, albo w pastelowe wzory techniczne, a na ścianach wisiały olejne abstrakcje typu motelowego. Pośrodku pięły się wspaniałe schody z białego marmuru z czarną wykładziną.

Mortycja zdrętwiała.

— Fernando — zapytała podejrzliwie — gdzie my jesteśmy?

— Jakby coś znajomego — Babunia rozejrzała się wokół. — Och, naturalnie! Już poznaję.

— Coś jak u milionerów z Trump Towers? — spytał Fernando.

— Nie, nie — odparła ze smakiem Babunia. — Raczej w stylu Hell's Gate. Istne piekielko.

Na szczycie schodów ukazała się nagle Dybka. Miała na sobie ozdobny biały peniuar.

— Witajcie w moim domu — odezwała się chłodno. — Jak zdołaliście nas tak szybko znaleźć?

— Dzięki pomocnej dłoni — odpowiedział Fernando. Siedząca u podnóża schodków Rączka pomachała Dybce na powitanie.

— Znów ta przeklęta Rączka — wymamrotała Dybka.

— Przywieźliśmy wam kilka prezentów na nowe mieszkanie — odezwała się wesoło Mortycja. Wyrak podniósł do góry klatkę z krukiem. Babunia pokazała trupią czaszkę.

— Ona będzie równie dobrze działać, kochana — zapewniła — na każdym miejscu.

Dybka przyglądała się im w milczeniu.

— Yyyy, czy możemy zobaczyć, eee, mojego brata? — zapytał jakoś niezręcznie się czujący Fernando.

— Nie — odparła Dybka. — Czyrak nie życzy sobie pana widzieć. I nikogo z was. Ani tego — wskazała na Groberta, wygodnie utulonego w ramionach Mortycji.

— A dlaczego? — spytała Mortycja.

— Ponieważ kocha mnie — wyjaśniła z wyższością Dybka. — Porusza się w niedostępnych rejonach uniesienia, jaką zapewnia mu ekstaza miłosna... i nienawidzi was jak zarazy.

— Ale dlaczego? — spytał w pomieszeniu Fernando.

— Zadzieraliście przed nim nosa — wytknęła Dybka. — Wywołaliście w nim kompleks niższości, popisując się przed nim swoją wielką miłością. Robiliście z niego smarkacza. A dopiero ja uczyniłam z niego mężczyznę.

— Chcę to usłyszeć z jego własnych ust — zawołał Fernando.

— Jego usta są zajęte czym innym — odparła mu chłodno Dybka. Kątem oka spostrzegła, że Czyrak wylażł ze swego pokoju i czai się za nią w przejściu, skryty przed oczyma rodziny. Wyglądał na miotanego sprzecznymi uczuciami.

— Dybka... — zaskowyczał.

— Chcesz gadać z tymi ludźmi? — spytała Dybka, zwróciwszy się w jego stronę i głaszcząc się po obnażonej szyi, po dekolcie, oblizując wargi. Stwierdziła, że robi to na nim wrażenie.

— Nie! — zawołał Czyrak. — Wynoście się. Wszyscy.

— I to ma być mój brat? — krzyknął z dołu w udręce Fernando.

— Niestety — wzruszyła ramionami Dybka.

— Zniewoliłaś go — Mortycja oskarżycielsko wskazała na nią palcem. — Rzuciłaś na niego czar i wciągnęłaś go w jakieś złowrózbnne praktyki seksualne. Doceniam to jak najbardziej. Ale proszę... pozwól nam się z nim tylko zobaczyć.

— Nie ma mowy — odparła zimno Dybka.

Fernando wyglądał na porażonego.

— Nazbyt daleko się posuwasz — oznajmiła gniewnie Mortycja. — Poślubiłaś Czyraka. Złamałaś go duchowo. Odebrałaś go najbliższej rodzinie. Wszystko to mogłabym jeszcze wybaczyć. Ale...

— Co takiego? — spytała Dybka.

Mortycja wskazała palcem na porozwieszane obrazy.

— Te pastele... Dybka...

Tej obrazy Dybka nie mogła przełknąć.

— Wynoście się z mego domu!

— Proszę cię, Dybka — zawołała Mortycja — bądź dobra dla Czyraka. Kochaj go. Dawaj mu jeść. Wyprowadzaj go na dwór.

Dybka miała w nosie jej błagania. — Wynocha stąd! — wrzasnęła. — No jazda! I zabierzcie tę Rączkę!

Rączka przedzierała się przez gruby futrzak w stronę Fernando.

— A jeżeli was tu jeszcze zobaczą, każę was aresztować! — wrzeszczała Dybka.

— Za co? — spytał Fernando.

— Za... za próbę odwiedzin! — odparła Dybka. — Mam rację, Czyrak?

— Taaak... — zaskowyczał Czyrak.

Rodzina odwróciła się i rządkiem ruszyła do wyjścia. Wtem Babunia okręciła się na pięcie, wyrzuciła ręce do góry i sękatymi palcami wskazała na Dybkę.

— Luxor, nexor, spłoń i pęknij! — wrzasnęła.
— Co ona robi? — zaniepokoiła się Dybka.
— To tylko klątwa — powiedziała Babunia. — Miłego dnia. — Po czym wyszła.

Na dworze Fernando przystanął obok samochodu i wytrzeszczył oczy na dom, na tę białą, podmiejską okropność. — Mój brat uwięziony w czymś takim! — wykrzyknął boleśnie. — Jak katorżnik!

— Co możemy zrobić? — spytała Mortycja.
— Policja! — Fernando w słusznym gniewie uniósł palec w powietrze.
— Gdzie? — rozejrzała się z przestraszeniem Babunia.
— Nie, nie — uspokoił ją Fernando. — To *my* idziemy na policję. Oni nam udzielą pomocy.
— Jeszcze nigdy nam nie pomogli — zauważyła Babunia.
— Zawsze musi być ten pierwszy raz — odezwała się z nadzieją Mortycja.

Wnętrze komisariatu miało ponurą, zielonkawą barwę w odcieniu grochówki. Za głównym biurkiem usadowiony był sierżant Merth, postawny mężczyzna o znużonym wyglądzie i cerze odrobinę tylko jaśniejszej od ścian. Kiedy weszła rodzina Addamsów, sięgnął po butelkę Pepto-Bismolu i pociągnął z niej spory łyk.

— Panie konstablu — rzekł Fernando.
Sierżant Merth dźwignął ociężałą dłoń. — Ostrzegam pana — przemówił. — Mam otwarty wrzód żołądka. I kamienie nerkowe. I do tego ból głowy. Nie prowokujcie mnie.
— Oczywiście, panie konstablu — Fernando ściszył głos.
— Mam tylko jedną prośbę.
— Słucham — rzekł policjant.

— Żądam sprawiedliwości! — wrzasnął Fernando, nie mogąc się już powstrzymać. — Ktoś poślubił mojego brata!

— Niemożliwe — odparł z kamiennym spokojem sierżant Merth.

— I zawiozła go na Hawaje! — krzyknął Fernando.

— Jazda stąd — rzekł sierżant.

— Wprowadzili się do wielkiego, bardzo drogiego domu i tam ciągle spółkują! — stwierdził Fernando.

— Ma pan dowody? — sierżant Merth uniósł wysoko brwi. — Zdjęcia na polaroidzie?

— Proszę ją aresztować! — zażądał Fernando. — Natychmiast!

— Kogo?

— Dybkę! Żonę mojego brata! Tę kusicielkę z Wai-kiki!

Jakby dla podkreślenia tych słów Rączka wspięła się na biurko sierżanta, zwinęła się w pięść i załomotała w blat. Sierżant Merth nachylił się i przyjrzał jej zmrużonymi oczyma.

— Ejże, czy my się przypadkiem nie znamy?

— Rączka? — Fernando niedowierzająco popatrzył na Rączkę.

Nagle sierżant Merth sobie przypomniał. — Więc to ty, draniu! Parszywy kieszonkowiec! No, ja cię tu... — Zamachnął się, ale Rączka w ostatniej chwili umknęła mu, zeskakując z biurka.

Sierżant Merth zwrócił się do Fernanda:

— Wyjaśnijmy to sobie. Pan chce, żebym tę dzidzię aresztował, bo za bardzo ciupciają się z pańskim bratem?

Dalszy ciąg Fernandezowi niełatwo przyszło wymówić. Ledwie je zdołał wykrztusić. Jakby dla podkreślenia, w jaką potworność Czyrak się pogrążył, Fernando wyszeptał: — Oni... mają trawnik.

- I skrzynkę na listy — poparła go Babunia.
- Koszą ten trawnik — dodała wstydliwie Mortycja.
- Wystarczy to panu? — spytał Fernando.

Sierżant Merth wybałuszyl się na nich z niedowierzaniem.
— Coście wy za jedni? *Kim* wy jesteście? Kto poruszył z miejsca ten kamień?

— Konstablu, pan musi wydać im nakaz, żeby się tu stawili! — rzekł z naciskiem Fernando. — Oni chyba mają...

— Nie, Fernando! Nie mów tego! — wychnęła przez ściśnięte gardło Mortycja. Ale już było za późno.

— Buicka! — dokończył Fernando.

— Dobrze, dobrze — powiedział sierżant Merth, wzywając ich gestem, żeby podeszli bliżej. — Zdaje mi się, że już wszystko rozumiem. Zróbcie teraz, co następuje.

Rodzina przysunęła się do biurka, a sierżant nachylił się do nich.

— Zabierajcie się stąd — przemówił ściszym głosem. — Tylko spokojnie. Wychodźcie. Żebym was tu nie widział. Żebym nie zadzwonił do cyrku.

— Czy ten świat oszalał? — Fernando, potykając się, odstąpił do tyłu i złapał się z jękiem za głowę. — Mój brat stał się więźniem swej namiętności! Ja to zgłaszam, a nikt mnie nie słucha! Gdzie się podziała sprawiedliwość?

Wziął się w garść i zwrócił do całego pokoju:

— Nie poddam się! Zwycięzę! Powstanę! Nazywam się Fernando Addams i ujrzałem zło na własne oczy! — Jakby chciał to zademonstrować, podniósł do góry Groberta. — Ujrzałem potworność! — krzyczał dalej.

Wyraz z uśmiechem pomachał do sierżanta.

— Ujrzałem przekłete czerwce, żerujące w najbardziej mrocznych zakątkach ludzkiej duszy! — krzyczał Fernando.

— Maleństwa są na obozie — wyjaśniła sierżantowi Mor-
tycja.

— Wszystko to było mi dane ujrzeć, konstablu — wykrzy-
kiwał Fernando. — Ale do dzisiaj nie widziałem czegoś takie-
go... jak *ty!*

Sierżant Merth zwrócił się do drugiego policjanta, który
właśnie wszedł do pokoju.

— Przymknij go i daj wycisk. Ale już!

Fernando ani się spostrzegł, kiedy policjant złapał go za
kołnierz i oznajmił: — Jest pan aresztowany.

Rozdział XX

Im dłużej Dybka się nad tym zastanawiała, tym mniejszą miała ochotę, aby Czyrak Addams mieszkał w jej nowym domu. Któregoś popołudnia włożyła najbardziej skąpy ze swoich kostiumów kąpielowych i wyszła na basen. Po drodze zostawiła u szczytu schodów deskorolkę na najwyższym stopniu, w połowie ich wysokości wyostrzoną pułapkę na niedźwiedzie, a na samym dole wielki, stalowy szpikulec.

Po czym zawołała:

— Hu...hu! Mój kochaneczku!

Czyrak drzemał na górze. — He? — odpowiedział jej pół-przytomnie.

— Schodzę na basen w moim najmniejszym bikini! — krzyknęła Dybka. — Czy przyłączysz się do mnie?

Po chwili Dybka już rozłożyła się na wielkiej, plastikowej tratwie, pływającej na środku basenu, chłonąc upalne promienie słońca i pociągając dietetyczną Colę z zimnej butelki.

Lup!... Oooch... Trzask!... Łubududu!... Och...

Cały szereg straszliwych odgłosów, łomotów i wrzasków był muzyką dla jej uszu. Jej męża spotkał okropny wypadek! Dybka ułożyła się swobodniej na tratwie i zamknęła oczy. Znowu jest bogata i wolna!

— Kiciuniu?

Wytrzeszczyła oczy w zdumieniu i grozie. Nad basenem stał Czyrak, trzymając deskorolkę i szpikulec. Pułapka na niedźwiedzie sama trzymała się szczękami jego ramienia.

— Czego? — wymamrotała z irytacją Dybka.

— Nic takiego — odpowiedział pokornie Czyrak, pozbywając się szczątków tych urządzeń.

Dybka opanowała rozdrażnienie. Co się tyczy morderstwa, nie ma to jak wyzwanie dla ludzkiej ambicji.

— Popływasz? — spytała z wymuszonym uśmiechem.

— Wiesz, że nie umiem — rzekł Czyrak.

— Och, nie przesadzaj! — Dybka wskazała na wodę. — Ogrzewana.

— Kiedy mówię ci... że nie umiem pływać.

— A ja obiecałam, że cię nauczę — zapewniła go Dybka. — Wskakuj i tyle.

— Nie! — opierał się Czyrak.

— To jak z niemowlętami, Czysiu — namawiała go Dybka. — Po prostu wrodzony instynkt. Wrzuca się je do wody i pływają po wierzchu. Jak te dmuchane grzanki w zupie.

— A jak nie, to co? — zapytał Czyrak. — To znaczy, jeżeli pójda na dno i już nie wypłyną?

— Zajmie się nimi ten człowiek od czyszczenia basenów — Dybka wzruszyła ramionami.

Czyraka to wcale nie uspokoiło.

— Może później. — Odwrócił się, żeby odejść.

— Czyraczku? — Dybka naburmuszyła się i obsunęła ramiączko swego bikini. — Czuję się tu samiutka.

— Naprawdę? — Czyrak odwrócił się do niej i oczy mu omal nie wystąpiły z orbit.

— Aha — rzekła zapraszająco Dybka. — Całkiem samiutka na tym ogromnym, kołyszącym się wodnym łóżku. — Zaczęła

wykonywać na tratwie przeciągle, wężowe ruchy. — Oooch, już to czuję.

— Tak od razu? — Czyrak zaczął dyszeć.

— Oooch... Oooooch... — Dybka wiała się coraz namiętniej. — Czy kochałeś się kiedyś na tratwie?

— Nie... — Czyrak ciągle się wahał, ale już było widać, że jest tym zainteresowany.

Dybka wyciągnęła do niego ramiona.

— Wskakuj, kochanie. I prędko chodź do mnie.

Nie zastanawiając się dłużej, Czyrak ścisnął sobie nos palcami i skoczył.

Plask! Uderzył o wodę i poszedł na dno.

Wynurzył się i wrzasnął: — Na pomoc! — a potem zaczął młócić na oslep wodę. — Pomóż mi! Pomocy! Na pomoc!

— Pływaj! — poradziła mu z uśmiechem Dybka.

— Nie umiem! — bulgotał Czyrak. — Na pomoc!

— Spróbuj — rzekła Dybka.

— Myślałem, że to wrodzone. Przecież mi powiedziałaś — wykrztusił Czyrak, łapiąc oddech.

— Też tak myślałam — odpowiedziała Dybka.

— Ależ ja tonę! — Czyrak wciąż kotłował się w wodzie.

— Jak widać, była to tylko teoria — stwierdziła Dybka.

Czyrak dalej wrzeszczał i młócił wodę. Dybka sięgnęła po Colę i zaczęła ją sączyć. Wrzask, bryzg i chlupotanie ograniczyły się stopniowo do kilku *bul... bul...* i wszystko ucichło. Czyrak poszedł na dno basenu. Na powierzchni unosiła się jego peruka.

Jego miotanie się przesunęło tratwę na skraj basenu. Dybka sięgnęła po telefon komórkowy i wykręciła 911.

— Słucham? — odpowiedziano.

— Halo — przemówiła, zyskując na czasie. — W co pan jest ubrany? — spytała uwodzicielsko.

— Ju...huuu! — z głośnym pluskiem Czyrak wyprysnął na powierzchnię i wygramolił się na tratwę.

— To było coś wspaniałego! — wykrzyknął, łapiąc oddech, a woda ociekała mu z bezwłosego cielska. — Udało się! Już umiera pływać! Jak niemowlak!

Dybka wytrzeszczyła się na niego w osłupieniu i z wolna odłożyła telefon. Czyrak chwycił jej dłoń we własną i zaczął ją obcałowywać.

— Och, dlaczego ci nie dowierzałem? — krzyknął uszczęśliwiony. — Kocham cię, Dybko Addams!

Dybka tylko wybałuszała nań oczy z niedowierzaniem. Jej wcale to nie bawiło.

— Nie Dybka — syknęła — tylko *Debora*.

W obozie Chippewa miała się odbyć próba kostiumowa. Scena była pełna obozowiczów, przymierzających stroje Pielgrzymów, Indian, indyków i dyń. Stojący opodal Gary uczył śpiewającą grupę *Szczęśliwego Indyka*, pieśni, którą sam napisał i skomponował.

Z poduszczką szpilek, przymocowaną do przegubu, i ceratową miarą krawiecką na szyi, Becky Granger klęczała przed małym podwyższeniem, dopasowując kostium na Amandzie Buckman, przebranej za Sarę Miller w nieskazitelnie czarnej, wykrochmalonej sukni, czepku i trzewikach z wielkimi sprzączkami.

— Och, Amando — zachwyciła się Becky — wspaniale wyglądasz! Jesteś najładniejszą Pielgrzymką, jaką widziałam w życiu! Gary, chodź tu i popatrz na nią!

Kiedy Gary podziwiał Amandę, drzwi rozwarły się i wpadła gromada obozowiczów, pchając przed sobą Zaduszkę, Mopsia i Joela.

— Mamy ich! — wykrzyknął jeden z obozowiczów.

— Dopadliśmy ich w budce telefonicznej — zawołał drugi.

- Co tam robiliście? — zapytał Gary Zaduszkę.
- Dzwoniliśmy do FBI — odparła.
- Ich wujek ma kłopoty — wyjaśnił Joel. — Sprawdzaliśmy jego nową żonę.
- I spóźniliście się na pasowanie kostiumów — zirytowała się Becky.
- Nie chcę w tym brać udziału — Zaduszka stanowczo założyła ręce na krzyż.
- Nie chcesz pomóc mi w urzeczywistnieniu mej wizji? — spytał z niedowierzaniem Gary.
- Twoje dzieło jest infantylne i pozbawione dramaturgii — odparła Zaduszka. — Nie masz za grosz wyczucia kompozycji, postaci ani jedności Arystotelesowskich.
- Tak jest — włączył się Mopsio.
- Gary wybałuszyl się na nią z wściekłością. — Panienko, zaczynam mieć dosyć twoich problemów wychowawczych.
- Proszę o uwagę! Wszyscy obozowicze! — Becky zaklaskała w dłonie. — Przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. Zaduszka, Mopsio i młody pan Glicker wciąż nie mogą przejąć się duchem obozu Chippewa. I niektórzy z ich koleżków podobnie.
- Tu przerwała i wskazała palcem Dżamala, Ying i Mordechaja. — Czyż to nie smutne?
- Taaak! — wrzasnęła reszta obozowiczów pod przewodem Amandy.
- Nie możemy tego znieść, prawda? — spytała Becky.
- Taaak!
- Czy nie powinno się ich zabić?
- Taaak!
- O nie, co to, to nie! — pokiwała palcem Becky. — Ale wiecie, co z nimi zrobimy? Uczynimy z nich przykład! Pokażemy

im, że każdy, choćby najbardziej nietypowy, blady, opasły, mniejszościowy i tym podobne, mimo to może szaleć z uciechy! Czy mu się podoba, czy nie!

— Co z nami zrobicie? — spytał trzęsąc się Joel.

Becky i Gary wymienili spojrzenia i pokiwali głowami.

— Och, nie! — krzyknął Joel.

— Właśnie, że tak — odpowiedział Gary. — Jeszcze raz do Szalasu Szczęścia.

Wprowadzono ich z audytorium i do Szalasus Szczęścia, gdzie Gary kazał im usiąść przed wielkim ekranem, a Becky wyjęła pudło z kasetami video.

— No to popatrzmy — rzekł Gary, wyjmując jedną z kaset. — Co my tu mamy. To będzie jak znalazł... *Bambi*.

— *Lassie, wróć!* — odczytała Becky z innej kasety.

— *Mała syrenka* — powiedział znacząco Gary, podnosząc nad głową jeszcze inną kasety.

— Och, nie! — krzyknęła Zaduszka. Nie mogła tego znieść ani chwili dłużej. Zebrało jej się na wymioty od samych tytułów.

Z jadowitym uśmieszkiem Gary włożył *Małą syrenkę* do odtwarzacza. Zaduszka odwróciła się do Mopsia i Joela.

— Przecież Mopsio to jeszcze dziecko — wykrztusił ze zgrozą Joel.

— Nie przejmuj się — wyszeptala. — Wydostaniemy się stąd.

— Ależ to Disney — wzdrygnął się Joel.

Zaduszka wpatrzyła się w niego z otwartymi ustami.

Teraz dotarło do niej, że sytuacja jest naprawdę groźna.

Dzień roztopił się w noc. Pod Szalasem Szczęścia zgromadzili się Gary, Becky i tłum pozytywnych obozowiczów. Gary zastukał do drzwi. — Już możecie wyjść.

Przez chwilę nic się nie stało. Później barwnie pomalowane drzwi uchyliły się z wolna. Wynurzyli się z nich Joel i Mopsio z makabrycznie wpadniętymi oczyma, jak żywe trupy. Za nimi wyszła doszczętnie przybita Zaduszka.

— Dobry wieczór — powitał ich ze złośliwym uśmiechem Gary. — Może chcielibyście nam coś powiedzieć?

— Ja powiem — wymamrotała Zaduszka.

— A co mianowicie? — spytała Becky.

— Nie jestem z natury zbyt wesoła — rzekła Zaduszka.

— Święte słowa — dogryzła jej Amanda.

— Ale chcę być — rzekła Zaduszka.

Obozowiczów aż zamurowało.

— Naprawdę? — spytał podejrzliwie Gary.

— Chciałabym się uśmiechać, śpiewać i tańczyć — wygłosiła jak w transie Zaduszka. — Chcę być taką Pocahontas, jaką wymyślił Gary.

Becky podeszła do niej i przykucnęła, tak iż mogła spojrzeć Zaduszce prosto w oczy. — Kochanie, czy mówisz poważnie?

Zaduszka kiwnęła głową. A następnie, bardzo powolutku, po raz pierwszy w życiu zmusiła się do uśmiechu. I niebawem, z największym wysiłkiem, udało się wprost przeraźliwie wyszczerzyć.

— Czyż nie jest prześliczna? — Becky aż się zatchnęła z radości.

— Ona mnie przeraża — jęknęła Amanda Buckman.

Rozdział XXI

Mortycja i policjant stanęli pod zatłoczoną celą. Fernando siedział w niej z trzema posepnie wyglądającymi typami o poblźnionych gębach i ubranych w postrzępione łachmany.

— Addams, wychodzisz za kaucją — rzekł policjant, otwierając kluczem drzwi celi.

Fernando wstał i wyszedł posepnie na korytarz.

— Kochanie, jak się czujesz? — zapytała z troską Mortycja.

— Przesiedziałem tu dwadzieścia cztery godziny — rzekł Fernando. — Cały dzień towarzyszami moimi byli złodziej, kierowca, który przejechał kogoś i uciekł, oraz człowiek, który zarżnął całą swoją rodzinę, pokrajał w cegiełki i zbudował z nich grill na podwórzu za domem.

— Doprawdy? — Mortycji oczy się rozszerzyły. Pomachała siedzącym w celi. — Wpadlibyście we czwartek na kolację, chłopaki? — przemówiła do nich wesoło.

— Do nas. Będziemy wśród swoich — dodał Fernando.

Wyszli z komisariatu i Wyrak odwiózł ich do domu. Fernandowi doskwierała tyleż troska o brata, co tęsknota za najmłodszym synkiem, którego mu strasznie brakowało w ciągu tej doby, spędzonej w więzieniu. Mortycja zapewniła go, że

dziecko czuje się znakomicie, jednak ledwie weszli do domu, usłyszeli przeraźliwy wrzask.

— Ach, to muzyka dla moich uszu! — rozczulił się Fernando. — Jak dobrze być z powrotem w domu!

— Czekaj, to chyba z dziecinnego — zatroskała się Mortycja.

Pośpieszyli na górę. Drzwi do dziecinnego pokoju stały otworem. Weszli i stanęli jak wryci. W pokoju było jasno, wesoło i pełno słońca. Na ścianach uśmiechały się stworzonka z kreskówek, a na podłodze wały się wypchane misie i żyrafy.

Fernando i Mortycja rozejrzeli się z przerażeniem. W głębi pokoju Babunia pochylała się nad kołyską, nie wiadomo dlaczego zrobioną z białej plecionki i wyłożoną perkalem w błękitną i białą kratkę.

— Nie podchodźcie! — ostrzegła ich Babunia. — Lepiej, żebyście na to nie patrzyli!

Nie słuchając jej, Mortycja i Fernando przypadli do kołyski. Grobert leżał na pościeli w Muppety. Był różowy, puciołowaty i tryskał zdrowiem. Złociste kędziorki wiły mu się wokół błękitnych ocząt. Z ust wydobywały się wzruszające gulgotania i gaworzenia.

— Ooooooooooch! — Fernando złapał się za głowę i wydał wrzask, mrozący krew w żyłach.

— Moje dziecko! — wykrzyknęła przeraźliwie Mortycja, chwytając je. — Co mu się stało?

— Nie wiem — odrzekła Babunia. — Dopiero co weszłam i zobaczyłam go w tym stanie.

— Czy to nieodwracalne? — jęknął Fernando.

— Na pewno, Babuniu, znasz na to jakiś sposób! — odezwała się błagalnie Mortycja.

Babunia potarła się po podbródku. — Zabierzmy go do kuchni.

Niebawem Grobert leżał już na starodawnym, powycieranym obrusie na stole kuchennym. Pośrodku widniał pentagram ze świecami, zapalonymi na rogach. Tuż obok dziecka leżały skrzyżowane sztylety, małpia rączka i zasuszona, skurczona głowa. Po całej kuchni porozrzucane były starożytnie, oprawne w skórę księgi czarów, pootwierane w różnych miejscach.

Fernando i Mortycja, objąwszy się, przypatrywali się z nadzieją, jak stojąca nad dzieckiem Babunia stara się odwrócić zły czar. Wyrak stał w pogotowiu.

— *Gravitas ergito pumba hex* — wyśpiewywała Babunia.
— Wyrak, podaj świeżą krew zebry.

Wyrak wręczył jej flakonik czerwonego płynu. Babunia pomazała nim czołko Groberta.

— Ziemia z grobu na Polu Garncarza — rozkazała Babunia.

Rączka przywlokła czerwony wózek, wypełniony czubato ziemią. Wziąwszy jej garść, Babunia usypała dwie kupki po obu stronach Groberta.

— Fernando, daj mi dietetycznej Coli — zażądała.

Fernando wyjął z lodówki butelkę i podał Babuni.

Pociągnęła z niej łyżeczkę i oddała.

— Dziękuję. — Babunia zamknęła oczy i zakołysała rękoma nad ciałem Groberta, wygłaszając do tego zaśpiew: —
Lędźwion ospon, zgrzyp i opak, pencjum z ropuch, barszcz i kość!

Babunia rozwarła jedno oko i spojrzała na Groberta, który mimo wszystko się nie odmienił.

— Barszcz i kość! — zaśpiewała donośniej.

Grobert w ogóle nie zareagował. Babunia wzruszyła ramionami. — Uparciuch! Na koty zawsze skutkuje. — Zwróciła się do Wyraka: — Jesteś pewien, że to była *świeża* krew zebry? Nie przedatowana?

Wyrak przytaknął.

— Mamusiu, i co z tym? — zapytała w przygnębieniu Mortycja.

— Czy to beznadziejne? — spytał Fernando.

Babunia sięgnęła po jedną z książek. — Tu jest o tym, rozdział siedemnasty. *Opętanie u niemowląt*.

— Więc on jest opętany? — zdumiał się Fernando.

— Sygnały ostrzegawcze — przeczytała Babunia. — Gwałtowne zmiany wyglądu i osobowości. Mogą stać się nieodwracalne.

— Już na zawsze? — Mortycji dech zaparło. — Te złociste kędziory?

— Te różane policzki? — Fernando nie mógł znieść tak okropnej myśli.

— Ten uśmiech? — wzdrygnęła się Mortycja.

— Widywałam już takie rzeczy — pokiwała głową Babunia i znów pogrzyżyła się w księdze. — Te przerażające zmiany bywają skutkiem zaburzeń w życiu rodzinnym, jak separacja, śmierć i zbiorowe wystąpienia w grach telewizyjnych.

— Separacja? — powtórzył Fernando. — A zatem...

— Czyrak! — powiedziała Mortycja.

— W dziesiątkę — przytaknęła Babunia. — Dzieciak zorientował się, że w otoczeniu coś nie gra. I jeżeli Czyrak nie wróci, to zdechł pies!

— W naszym domu! — Fernandowi wydarło się przekleństwo.

— Grobert może pozostać takim przez długie lata i roztaczać to wokół siebie. Na zawsze. Może stać się... — Babunia znów zajrzała do swojej książki. — Adwokatem!

— Nie mogę tego słuchać! — krzyknął Fernando, zakrywając sobie uszy rękoma.

— Lub specjalistą od zgryzu — wyczytała Babunia.

— Mamusiu! Przestań! — Mortycji aż mowę odebrało.

— A nawet prezydentem. — Babunia postawiła kropkę nad i.

Na tę okropną myśl nawet Wyrak, jęcząc i zataczając się, wyczłapał z kuchni. Mortycja zamknęła oczy. Fernando padł na kolana i uniósł błagalnie ręce do nieba.

— Zaklinam cię! — wrzasnął. — Weź lepiej *mnie!*

Po czym upadł zemdlny na podłogę.

Teatr w obozie Chippewa był pełen dumnych rodziców. Widok na scenę zasłaniała im na razie kurtyna, zdobna w prymitywnie namalowane wizerunki Pielgrzymów, Indian oraz dwa wielkie portrety: Becky i Gary Grangerowie.

Oni sami wystąpili na proscenium, ubrani jedno w khaki, a drugie w koc. Poza tym Becky miała na głowie przepaskę z piórem, a Gary kapelusz Pielgrzyma.

— Witam was, rodzice i przyjaciele z Chippewa — przemówił do mikrofonu Gary. — Co za wspaniała widownia. Jak słyszę, nie brakuje tu ani jednej mamusi czy tatusia, z wyjątkiem Fernanda i Mortycji Addamsów, którzy musieli zostać w domu przy chorym dziecku.

— Jaka szkoda — powiedziała Becky.

— To chyba egoistyczne — ocenił Gary. — W każdym razie co roku korzystamy z tej okazji, ażeby uczcić jakieś przełomowe wydarzenia w dziejach Ameryki. W ubiegłych latach przedstawialiśmy wzruszającą muzyczną inscenizację bitwy pod Gettysburgiem.

— Podpisanie Deklaracji Niepodległości — uzupełniła Becky.

— I pożegnanie Johnny Carsona — dodał Gary.

— Lecz w tym roku pokazujemy chyba najważniejszy dzień z naszej wspólnej przeszłości — podjęła Becky. — Pierwsze Dziękczynienie.

— Dzień kukurydzy, która była zbożem amerykańskich tubylców — podjął Gary. — Dzień przepysznej wieszery z indyka i braterstwa. A zatem, białe mięso i ciemne mięso, do roboty!

Grangerowie odstąpili na bok i kurtyna rozsunała się, ukazując plac we wsi Pielgrzymów, otoczony chatami pod strzechą, drzewami z bibułki, drewnianą trzodą i na tle wymalowanych wzgórz i obłoków.

Na scenie pojawiła się grupa obozowiczów przebranych za indyki, dynie oraz kaczany kukurydzy, i zaczęła wykonywać jedną z pieśni, które ułożył Gary:

*Jedźcie nas, Pielgrzymi i Indianie,
Jedźcie nas, bierzcie za noże i widelce,
Jedźcie nas w tym Dniu Dziękczynienia!*

Po zakończeniu pieśni ustawiono na scenie długi, drewniany stół, na którym widniała uczta z masy papierowej. Amanda Buckmann w stroju Sary Miller stanęła na środku sceny w otoczeniu swych przyjaciółek, przebranych za żony Pielgrzymów.

— Z prawdziwą przyjemnością zaprosiliśmy na ten świąteczny posiłek — oznajmiła dość sucho Amanda — Indian Chippewa. Pamiętajcie, że te dzikusy to nasi goście. Musimy tolerować ich dziwne obyczaje. W końcu nie mieli tego przywileju, co my, żeby chodzić do porządnych szkół, korzystać z dobrze zaopatrzonych bibliotek i z szamponów połączonych ze środkiem do układania włosów.

Na widowni Ellen Buckman miała łzy w oczach, przyglądając się swojej córce. — Taka piękna. I taka *zdolna*.

Zaduszka weszła na scenę przebrana za Pocahontas. Za rękę ją trzymał Joel, ubrany w indiańską przepaskę na spodenkach,

napiersnik z paciorków na białej koszulce gimnastycznej, grube podkolanówki i mokasyny. Za nimi stała reszta indiańskich wyrzutków.

Na widowni państwo Glicker zapadli się w swoje fotele. Pani Glicker patrzyła łapczywym okiem na Amandę, szepcząc pod nosem: — Amanda Buckman. Trzynaście lat. Taka szcziplutka.

— Dać dwadzieścia tysięcy na obóz i będzie z niego najpierwszy kawaler — zadumał się pan Glicker.

— *Howgh* — powiedziała na scenie Zaduszka, unosząc dłoń w pozdrowieniu. — Jestem Pocahontas, dziewczica z indiańskiego plemienia Chippewa.

— A ja Biegnący Niedźwiedź, narzeczony Pocahontas — oświadczył Joel. — W tej sztuce.

Glickerowie zapadli się jeszcze głębiej. Z boku sceny Becky wpila się w ramię swego męża, podniecona tym, jak urzeczywistnia się jego wizja.

— Przynieśliśmy specjalny podarek na tę świąteczną ucztę — rzekła Zaduszka.

Wszedł Mopsio przebrany za indyka.

— Jestem indyk — powiedział. — Zarzńjcie mnie.

— To bardzo ładnie z waszej strony — rzekła Amanda. — Ależ wy jesteście tak samo cywilizowani jak my. Z tą różnicą, że my chodzimy w butach i mamy nazwiska. Witajcie przy naszym stole, nasi prymitywni przyjaciele.

— Dziękuję ci, Saro Miller — odrzekła Zaduszka. — Jesteś najpiękniejszą osobą, jaką widziałam w życiu. Masz włosy koloru słońca, skórę jak świeże mleko i wszyscy cię kochają.

— To wystarczy. Siadajcie — rzekła Amanda.

Indianie i Pielgrzymi ruszyli w kierunku stołu.

— Zaczekajcie — rzekła Zaduszka.

Poza sceną Becky wpatrywała się, zaskoczona, w scenariusz.

— Coo? — niezręcznie spytała zbita z tropu Amanda.

— Nie możemy się z wami przełamać chlebem — rzekła Zaduszka.

Amanda popatrzyła nerwowo, poza rolę, na Becky. Zaduszka odchodziła od scenariusza.

— Zagarnęliście ziemię, która należy do nas — oświadczyła Zaduszka. — Po upływie lat moi rodacy będą zmuszeni żyć w rezerwatach, w ruchomych mieszkaniach. Wasi ludzie będą nosić ciepłe kamizelki i popijać koktajle, a moi będą sprzedawać bransoletki przy drogach. Wasi będą grać w golfa i pożerać gorące przystawki, a moi będą znosić ból i upokorzenia. Bogowie mojego plemienia przemówili. Powiedzieli: „Nie wierzcie Pielgrzymom. A zwłaszcza Sarze Miller.”

Dżamał zaczął bić w bęben. Amanda popatrzyła na Granerów i jęknęła błagalnie: — Gary!

— Zaduszko! — syknęła Becky. — Nie zmyślaj tekstu!

Lecz Zaduszka zignorowała ją.

— Z tych wszystkich powodów postanowiłam oskalpować was i spalić doszczętnie waszą wioskę.

— Hu-hu-hu-hu-hu-huuuu! — wydał dzikie pohukiwanie Joel. Mordechaj wysłał płonąca strzałę w jedną ze strzech i podpalił chatę. Reszta Indian zaczęła gonić Pielgrzymów, szyjąc w nich strzałami z gumową przyssawką i zwalając na ziemię.

Amanda została gęsto naszpikowana tymi strzałami. Wydała rozpaczliwy wrzask: — Becky!

— Dzieci! — Becky usiłowała przekrzyczeć harmider i zaprowadzić porządek. — Obozowicze!

— Przestańcie! — wrzeszczał Gary. — Niszczycie mój scenariusz!

Indianie wzięli się do wiązania Amandy liną. Rodzice na widowni wstawali, pokazując sobie, co się wyprawia. Bałagan robił się coraz większy. Tymczasem Zaduszka, Mopsio i Joel znikli niepostrzeżenie ze sceny. Przyszła pora ostatecznej ucieczki.

— Trudno mi w to uwierzyć — szeptał Joel, kiedy wymykali się tylnymi drzwiami z teatru. — Rodzice w ogniu! Amanda przywiązana do pała męczeńskiego! Becky i Gary wzięci na zakładników! Diabli wezmą cały ten obóz!

Po raz drugi w życiu Zaduszka się uśmiechnęła. Ale tym razem szczerze i ze szczęścia.

Radosna trójka przebiegła przez mrok lasu i niebawem dopadła ogrodzenia, w którym zamykał się obóz. Tego dnia już zawczasu Joel wyciął przejście w drutach kolczastych, szykując drogę ucieczki. Zaduszka i Mopsio przeleźli przez płot. Wtem Zaduszka zorientowała się, że nie ma z nimi Joela.

— Prędzej! — pomachała na niego.

— Nie, ja muszę wracać — powiedział Joel, wskazując na szarobury słup dymu nad obozem, przybierający kształt grzyba. — Ze względu na innych.

— Jesteś bardzo dzielny — stwierdziła z powagą Zaduszka.

— Poza tym chcę się przyjrzeć, jak obóz płonie — wyszczerzył się z satysfakcją. — A wy idźcie ratować wujka.

Gdzieś daleko zawyła syrena i rozległo się ujadanie psów.

— Pryskamy! — niecierpliwił się Mopsio.

Lecz Zaduszka nie posłuchała go. Wdrapała się z powrotem na płot. Z drugiej strony Joel także się wdrapał. Spojrzeli na siebie przez dziurę w drutach kolczastych.

— Joel... może nigdy się już nie zobaczymy — powiedziała, wpatrując mu się prosto w oczy.

— Wiem — przytaknął ze smutkiem Joel.

— Rozdzielają nas siły wyższe — oznajmiła Zaduszka. — Gary, Dybka, twoja siódma klasa.

— Nigdy o tobie nie zapomnę — rzekł Joel, biorąc ją za rękę.

— Naprawdę? — zdziwiła się Zaduszka.

— Na pewno — powiedział z czułością Joel. — Jesteś niesamowita.

— Na zawsze pozostanie nam wspomnienie dzisiejszego wieczoru — uściśnęła mu dłoń Zaduszka. — I plemienia Chippewa.

— I jeszcze to — powiedział Joel, podnosząc do góry coś różowego, z tworzywa i drutu.

— Co to jest? — spytała Zaduszka.

— Tymczasowe uzębienie Amandy Buckman — wyjaśnił Joel, wręczając jej ten podarek.

— Och, Joel... — Serce Zaduszki zatrzepotało i ścisnęła tę protetykę w dłoni jak coś bezcennego.

— *Cara mia* — odezwał się cicho Joel.

— *Mon cher* — Zaduszka przymknęła oczy.

Pochylili się ku sobie i pocałowali się.

Po czym oboje z obrzydzeniem otarli usta.

Rozdział XXII

Wracając do domu od specjalisty, robiącego na zamówienie bomby, Dybka zajrzała do biura paszportów. Kiedy nadeszła jej kolej, zbliżyła się do okienka z porysowanego pleksiglasu i zwróciła się do urzędnika: — Chciałabym sobie przedłużyć paszport. Niedługo wyjadę z kraju.

— Proszę bardzo — odpowiedział urzędnik, sprawdzając jej papiery. — Czy będzie pani podróżować samotnie?

— Tak — odrzekła Dybka. — Będę wdową.

Z odnowionym paszportem w ręku pojechała do domu. Czyrak znajdował się na dole w kuchni, a Dybka poszła na górę i zamknęła się na klucz w sypialni. Usiadła przy toaletce i wyjęła z torby tykającą bombę. Ponieważ była godzina 17.30, nastawiła zegar na 18.30 i zapakowawszy urządzenie w eleganckie błękitne pudełko na prezenty, wielkości mniej więcej bochenka chleba, zawiązała je na srebrną wstążkę z kokardą.

Już miała znieść bombę na dół, kiedy rzuciła okiem w lustro. Oczy jej rozszerzyły się z przerażenia.

— Ależ panie oficerze! — wytchnęła. — W domu był mój mąż!

Uśmiechnąwszy się, wyciągnęła z toaletki dolną szufladę i wyjęła z niej welon żałobny. Zarzuciwszy go sobie na głowę, wpatrzyła się w lustro i zachlipała na próbę.

— Dziękuję — powiedziała z wystudiowanym bólem. — Jakaż to bezsensowna tragedia.

Roześmiała się na całe gardło, wzięła pudełko i zeszła do kuchni. Czyrak przygotowywał pieczeń, krzątając się w fartuchu i rękawicach kuchennych, jedno i drugie wyszywane w czerwone serduszka. Dybka umieściła paczkę na wykładanym kafelkami kontuarze kuchennym. Rozejrzała się po wykonanych na zamówienie, meblowych szafkach i kosztownych oknach, oprawnych w olów.

Cóż za strata! pomyślała ze smutkiem.

— Wyobraź sobie — odezwał się rozpromieniony Czyrak — że to nasza trzytygodniowa rocznica!

— Aniołku, wychodzę na chwilę — powiedziała Dybka. — Na śmierć zapomniałam kupić szampana.

— Ja po niego skoczę, śliweczko — zaofiarował się Czyrak.

— Nie, nie, puchatku — odparła z pośpiechem Dybka. — Ty i tak się zapracowujesz. Prezent dla ciebie zostawiam na stole. Obiecay, że nie zajrzysz do środka!

— Och, taki jestem ciekaw! — poprosił Czyrak.

— W żadnym wypadku. Aż wrócę.

— Może to smycz? — zapytał z nadzieją Czyrak.

— To się okaże — odpowiedziała z uśmiechem Dybka.

— Czy plastikowa kość? — domyślał się Czyrak.

— Musisz poczekać.

— A może bomba?

Dybce na chwilę dech zapało. — Co takiego?

— Wiem — powiedział rozczarowany Czyrak. — Z tym muszę zaczekać do moich urodzin.

— No właśnie. — Dybka odetchnęła. — Nie zgubiłeś karteczki?

Czyrak wyjął kartkę i odczytał: — Ugotować obiad. Uszczelnić wszystkie okna i drzwi. Włączyć wszystkie palniki

gazowe. Czekać na powrót kochanej żoneczki. Proszę! — ucieszył się.

— Och, Czyrak. — Dybka poczuła doń maleńki przebłysek sympatii. — Niech ci się jeszcze przyjrzę. Chciałabym cię na zawsze takiego zapamiętać.

— Co masz na myśli? — spytał Czyrak.

— Bogatego — wyjaśniła Dybka. — Czy będziesz o mnie myślał?

— Ale ty zaraz wrócisz, prawda? — spytał Czyrak.

— Oczywiście — odrzekła Dybka, podnosząc dwie ogromne walizy i zmierzając do wyjścia.

Po jej odejściu Czyrak starannie nakrył na dwie osoby, ustawił świece i kwiaty. Ciągłe popatrywał na głośno tykające, błękitne pudełko ze srebrną kokardą. Był ogromnie ciekaw, co się w nim kryje, ale obiecał nie zaglądać i postanowił dotrzymać słowa.

Ruszając z podjazdu Dybka odniosła wrażenie, że coś przemknęło przez ulicę: czy aby nie ta cholerna Rączka? Ale może jej się wydało. Cieszyła się ogromnie, że już niebawem przestanie mieć cokolwiek wspólnego z tą kopniętą rodziną Addamsów. To kwestia niecałej godziny.

Pojechała do pobliskiego baru, który urządzono w stylu marynarskim. Z sufitu zwisały sieci na krewetki i garnki w kształcie homarów, a jako stoły wykorzystano pokrywy z luków okrętowych. Kilkunastu matrosów, siedzących przy okrągłym stole, zagwizdało na jej widok i zaprosili ją do stołu. Bez wahania przysiadła się do nich i zafundowała wszystkim szampana.

Godzina szybko im upłynęła na chóralnym wyśpiewywaniu świńskich piosenek i opowiadaniu sobie równie świńskich dowcipów. Dybka się tak znakomicie bawiła, że cały plan omal nie wyleciał jej z głowy.

— Chwileczkę! — zerwała się nagle od stołu. — Która godzina, Jorge?

Krzepki majtek z jasną, krzaczastą brodą wyciągnął z kieszonki zegarek. — Za pięć wpół do siódmej.

— Och! Muszę lecieć! — Dybka chwyciła za torebkę.

Marynarze usiłowali ją zatrzymać.

— Ale zostań!

— Jeszcze jedną kolejkę!

— Z nami się lepiej zabawisz!

— Muszę iść — wyrwała się im Dybka. — To moja rocznica. Ale możecie tu poczekać, chłopaki. Niedługo wrócę.

— Twój mąż ma dobrze! — wykrzyknął za nią Jorge. — Szczęśliwy facet!

— Zdaje ci się — rzekła pod nosem Dybka.

Czym prędzej pojechała do domu.

Ba-ba-bach! Akurat skręcała w ich ulicę, gdy nastąpił potworny wybuch. Biały dom w stylu kolonialnym znikł w olbrzymich kłębach czarnego dymu i płomieni. Wokół jej Buicka posypały się z nieba szczątki. Dybka zjechała na bok i podkręciła okna, żeby nie naleciało jej do środka sadzy. Po czym spokojnie umalowała usta. Odczekała jeszcze trochę, aż dym i płomienie się zmniejszą, i wjechała na podjazd. Nie wyłączyła silnika. Nie zamierzała tu długo pozostać.

Żar buchał od ich domostwa. Z dymu i płomieni sterczały tylko marmurowe schody i resztki kominów.

— Na pomoc, na pomoc! — zawołała słodziutko.

— Ktoś tu wołał o pomoc? — rozległ się z głos.

Z kłębow dymu i ognia wynurzył się usmolony Czyrak, niosąc na srebrnym półmisku zwęgloną pieczeń. Ubranie miał całe w strzępach, a z głowy mu lekko dymiło.

— Przywiozłaś szampana, kochanie? — spytał.

Dybkę aż poniosło. Dłużej już tego nie wytrzyma! Wyciągnęła z torebki rewolwer.

— Nie ruszać się! — krzyknęła, celując w Czyraka.

— Dziubusiu? — Czyrak był najwyraźniej zbity z tropu.

— Kim ty jesteś? — wrzasnęła Dybka. — *Czym* ty właściwie jesteś?

— Twoim mężem — odpowiedział Czyrak.

Dybka trzymała go pod lufą. — Staralam się, żeby to wyglądało na wypadek. Chciałam, żebyś z tego wyszedł z jakąś godnością. Ale z tobą to daremna fatyga.

— Co ty wygadujesz? — zdumiał się Czyrak.

— Mówię ci, że nasze małżeństwo to farsa! — wrzasnęła Dybka. — Mówię ci, że pragnę jedynie twojej śmierci! I twoich pieniędzy!

— Więc nie kochasz mnie? — zdziwił się Czyrak.

Dybka zanosła się obłąkańczym, szyderczym śmiechem.

— To znaczy, że nie? — zapytał Czyrak.

— Pytasz, czy ja cię *kocham*? — wykrzykiwała Dybka. — Spójrz na siebie! Ty koszmarze w taniej peruce! Ciebie nie mogłaby kochać żadna kobieta, będąca przy zdrowych zmysłach!

Wzięła go na muszkę i już miała pociągnąć za spust.

— Ależ jagniątko ty moje słodkie... śliweczko... Nie mówisz tego poważnie — wyjąkał Czyrak.

Palec Dybki zacisnął się na spuście.

— Moja różyczko! — Czyrak przełknął kurczowo ślinę.

Bach! Jej biały Buick łupnął ją z zaskoczenia. Wyleciała z podjazdu i padła w ukwiecony klomb. Czyrak zajrzał do pustego samochodu i zdumiał się.

— Rączka! — zawołał.

Na siedzeniu kierowcy Rączka dała mu znak, żeby wsiadał. Czyrak wskoczył do samochodu, a Rączka wrzuciła wsteczny

bieg. Z piskiem opon cofnęli się z podjazdu i na jezdnię.

Dybka zerwała się i wypaliła na oślep. Zgodnie z tradycją złych czarownic wykrzyknęła: — Jeszcze cię dopadnę! Nie ujdiesz mi! Ani ta twoja Rączka.

Straszliwe przeobrażenie synka ugodziło Fernanda prosto w serce. Musiał się położyć do łóżka. Mortycja siedziała w pokoju dziecinnym, męcząc się w oślepiającym słońcu i usiłując czytać Grobertowi książeczkę o zwierzątkach niejakiego doktora Seussa.

Opuściła książkę na kolana i zapatrzyła się w swojego złotowłosego aniolka. — Tobie się to naprawdę podoba? — zapytała posepnie. Grobert uśmiechnął się i zagaworzył radośnie.

Mortycja potrząsnęła ze smutkiem głową. — To straszne, żeby *moje* dziecko... — wymamrotała w przygnębieniu. Ale wzięła się w garść i usiłowała czytać dalej. Okropność! Usprawiedliwić ją po części mogłoby tylko jedno: gdyby ten potworny kociak zginął wreszcie gwałtowną śmiercią. Nie mogąc się powstrzymać, Mortycja zajrzała na koniec książki. — Och, nie! — jęknęła. — On żyje!

Drzwi rozwarły się i wpadła Babunia.

— Chodź prędko! Z Fernandem coś niedobrze!

Mortycja odłożyła, książkę i pobiegła za Babunią do małżeńskiej sypialni. Fernando leżał tam obłożnie chory, ubrany w brązową piżamę i fez. Bledszy niż zwykle, oczy miał lekko wpadnięte. Wokół jego łóża szklane rurki zasnuwały się od wewnątrz mglistym oparem i płomyki gorzały pod skomplikowaną, miedzianą aparaturą medyczną. Mortycja usiadła obok męża i wzięła go za rękę.

— Czyrak... Czyrak... — jęknął zgorączkowany Fernando.
— Leż spokojnie, *mon cher* — wyszeptała doń łagodnie Mortycja.

— Zjedz trochę zupki — Babunia przysuwała mu dymiącą łyżkę do ust. — Spróbuj, zanim się zetnie.

Tymczasem Fernando zaczął śpiewać:

*Rydwanie słodki, niż się,
aby zabrać mnie wzwyż, do domu...*

— Och, mamusiu — zawołała Mortycja. — Moje dziecko rozchorowało się, a mąż umiera. Co robić?

— No, przecież masz czarną suknię — rzekła Babunia.

Nagle drzwi się rozwarły i wszedł, zataczając się, nie mogący złapać tchu Czyrak.

— Fernando! Mortycjo! Babuniu! — zawołał uszczęśliwiony.

— Czyrak! — wykrzyknęła Mortycja.

— Czyrak? — wystękał jak w malignie Fernando, a oczy biegały mu nieprzytomnie. — Gdzie Czyrak?

— Jest tutaj, *mon cher* — rzekła Mortycja i przyprowadziła Czyraka, żeby stanął przy samym łóżku.

Czyrak opadł na kolana przy chorym bracie i porwał w uścisk jego spoconą dłoń. — To ja, Fernando — rzekł z uczuciem. — Tak mi przykro. Próbowałem być kimś innym, niż jestem. Kimś okropnym. Kimś niedobrym. Kimś czystym. Uparłem się, aby żyć w hańbie... i na przedmieściach.

— Przecież ty jesteś własnością Dybki — bredził Fernando. — Jesteś jej zabawką. Jesteś... pan Dybka!

— Nie! — oświadczył stanowczo Czyrak. — Jestem Ad-dams!

Ujął spoconą dłoń brata i umieścił ją na swej łysinie.

— Czyrak! — zawołał Fernando, powracając nagle do przytomności. Usiadł w łóżku i objął Czyraka.

— Och, mamusiu! — wyszeptala, patrząc na nich, Mortycja. Łzy radości spływały jej po twarzy.

— Czy zdołasz mi przebaczyć? — błagał Czyrak swojego brata. — Wszystko, czego narobiłem? Czy wybaczysz mi zdradę... rozerwanie naszych najświętszych związków... i coś jeszcze gorszego...

— Co takiego, Czyrak? — spytał Fernando. Czyrak ze wstydu słowa nie mógł wykrztusić.

— Co masz na myśli, Czyrak?

— Ja... wysłałem dzieci do obozu!

Drzwi zaskrzypiały. Wszyscy się odwrócili. A tam stali Zaduszka i Mopsio.

— Dzieci! — wykrzyknął Czyrak.

— Wuj Czyrak! — Mopsio podbiegł do Czyraka i uściskał go. Lecz Zaduszka zachowywała się powściągliwie.

Czyrak pokiwał do niej ponad ramieniem Mopsia. — Kochanie!

— Wysłałeś nas do obozu — stwierdziła gniewnie Zaduszka.

— Co za bydlę ze mnie! — zawołał Czyrak w poczuciu winy.

— Kazali nam śpiewać — rzekła z pretensją Zaduszka.

Czyrak wpatrywał się w nią bezradnie, jak zawstydzony pies. W końcu Zaduszka westchnęła i podbiegła do niego. Czyrak utulił ją w ramionach.

— Moja kochana rodzinka! — zawołał. — Jakże do was tęskniłem!

Kątem oka Czyrak zauważył, że Wyrak się czai przy drzwiach, wyglądając na osamotnionego.

— I do ciebie też! — powiedział Czyrak.

Upiorny uśmiezek rozjaśnił twarz Wyraka, który przyłączył się nieśmiało do grupy, otaczającej łóżko Fernanda. A następnie we drzwiach pojawiła się Rączka.

— Mój zbawca! — zawołał Czyrak.

Rączka przytuptała do nich i wskoczyła na głowę Czyraku, rozcierając mu czule łysinę.

— Och, Fernando — rzekła uszczęśliwiona Mortycja. — Cała nasza rodzina znów jest razem. Trzy pokolenia... jeżeli nie liczyć tych, co pod ziemią.

— Szwagroszczaki — wycedził ktoś oziębło.

Addamsowie odwrócili się do drzwi, w których stała Dybka, ubłocona i kipiąca z wściekłości. Włosy miała rozczochrane, a w oczach błysk szaleństwa. Trzymała wycelowany w nich ciężki karabin AK-47. Na piersi miała skrzyżowane pasy z amunicją.

— Dybka! — zdumiał się Czyrak.

Poruszając lufą, Dybka komenderowała, co mają robić. — Wstawać. Ręce na głowę. Na górę. Do sali projekcyjnej.

Z rękoma na głowie rodzina Addamsów z wolna pomaszerowała na strych. Rączka szła na końcu, z dwoma palcami podniesionymi do góry. Dybka postępowwała na samym końcu.

W sali projekcyjnej na strychu przypięła wszystkich do ustawionych w półkole foteli elektrycznych, a Rączkę przykleiła do fotela czarną taśmą, po czym podłączyła ich do przewodów wysokiego napięcia.

— Nie chcę zrobić nikomu krzywdy — oznajmiła zaskakująco miłym i rzeczowym głosem, ustawiając ekran. — Bo ja nie lubię robić ludziom krzywdy. To nie moja wina. Rozumiecie to, prawda?

Mając unieruchomione głowy, ręce i nogi Fernando, Mortycja, Czyrak, Babunia, Zaduszka, Mopsio i Wyrak spokojnie przyglądali się jej ze swych foteli.

— Oczywiście, że rozumiemy — odparł z kurtuazją Mor-tycja.

— Jesteś przecież morderczynią seryjną — skomentował z podziwem Fernando.

— A ja nie rozumiem — rzekł Mopsio.

— Zrozumiesz, jak będziesz starszy — zapewniła go Zadu-
szka.

— A teraz posłuchajcie — rzekła Dybka, ustawiając rzut-
nik do prezrocy. — Nie lubię żadnej broni długiej czy krót-
kiej, bomb ani foteli elektrycznych. Ale niektórzy ludzie po-
 prostu *nie chcą* słuchać. Więc zmuszona jestem używać środ-
 ków perswazji. I tych slajdów.

W pokoju zgasło światło i na ekranie ukazał się pierwszy ze
 slajdów. Addamsowie zobaczyli uśmiechnięte małżeństwo w
 średnim wieku, siedzące na leżakach przed małym, różowym
 domkiem na farmie.

— To moi rodzice, Sharon i Dave — wyjaśniła uroczyście
 Dybka. — Zdziecinniali, hojni... ale z tą hojnością coś było nie
 tak. Moim jedynym marzeniem była Barbie tancerka w tej
 różowej spódniczce. I wiecie, co dostałam na moje dziesiąte
 urodziny?

Addamsowie potrząsnęliby głowami, gdyby mogli. Następ-
 ny slajd ukazał im opaloną plażowo Barbie w różowym bikini.
 — Barbie z Malibu! — wykrzyknęła Dybka.

— Rzeczywiście. Barbie z Malibu! — odezwała się ze
 współczuciem Mortycja.

— Koszmar — przyznał Fernando.

— Ta jej opalenizna — wzdrygnęła się Babunia.

— Nie tego chciałam. I nie taka byłam! Ja byłam tancer-
 ką. Delikatną i pełną wdzięku... — Dybka z ubolewaniem po-
 trząsnęła głową. Ukazało się zdjęcie, na którym różowy do-
 mek na farmie stoi w płomieniach.

— Więc moi rodzice musieli odejść — skomentowała ozięble Dybka.

Kolejny slajd przedstawiał przystojnego mężczyznę w zielonym fartuchu lekarskim.

— To mój pierwszy mąż, chirurg kardiolog — przedstawiła go zebraniem Dybka. — Przez cały dzień gadał tylko o zawałach i o przeszczepach serca.

— A *twoje* potrzeby? — zapytała Babunia.

— Zawsze spóźniał się na kolację — rzekła z ubolewaniem Dybka. — W kółko słyszałam to samo „Przepraszam, że nie wróciłem na kolację. Przepraszam, ale papież ma grypę.”

Na ekranie pojawił się z kolei oficjalnie wyglądający mężczyzna w ciemnym garniturze, stojący przed flagą amerykańską. — Mój mąż numer dwa — wyjaśniła Dybka. — Senator. Kochał swój stan. Kochał także ojczyznę...

— A co z Dybką? — rzekła współczująco Mortycja. — Znowu to samo!

Dybka skinęła głową. — Ciągłe to: „Bardzo mi przykro, Deboro, ale w tym roku nie będzie nowego Mercedesa. Musimy dawać przykład.” Ach taaak? Więc popatrzcie!

Następny slajd pokazywał senatora na podjeździe do swej rezydencji z brunatnego piaskowca, jak cofa się w przerażeniu, oślepiony przez reflektory nadjeżdżającego Mercedesa.

— Miłość i małżeństwo... — westchnął z rozczuleniem Fernando.

— Ktoś go przejechał — zauważyła Babunia.

— Miałam jeszcze trzeciego męża — powiedziała Dybka. — Ale myślę, że już chwytacie istotę sprawy.

Na ekranie ukazał się kolejny slajd. Przedstawiał Dybkę i Czyraka podczas ich niedawnego wesela.

— Mój ostatni mąż — powiedziała Dybka. — Ten najnowszy. A wkrótce mój *były* mąż, Czyrak.

— Idiota — wymamrotał z goryczą Czyrak.

— Zakochany — wytłumaczyła go Mortycja.

— I mąż — dodał Fernando.

— Żywy trup — stwierdziła beznamiętnie Dybka — i jego wspaniała rodzinka. Przyjęliście mnie. Uznaliście mnie za swoją. Urządziliście mi wesele. Ale czy którekolwiek z was mnie kochało? Tak *naprawdę* kochało?

Fernando rozejrzał się po swej rodzinie. — Może byśmy to wyjaśnili przez podniesienie rąk?

Ale ręce mieli przypięte. Dybka kiwnęła głową. — No proszę. A ja zawsze chciałam tylko miłości. Po prostu miłości. Zawsze być taką... żoną z Hollywood. Później wystrojoną aż do przesady wdową. A później, kto wie, jak w tych marzeniach sennych pensjonarki... zboczoną mamusią...

Odwróciła się dramatycznie do widowni. — Czy byłam aż taka zła? Cóż z tego, że kaleczyłam i zabijałam? Czy nie jestem człowiekiem, jak wszyscy? Czy nie tęsknię, czy nie boli mnie, czy nie robię zakupów? Czy nie zasługuję na miłość? Na biżuterię?

Poszczególni członkowie rodziny Addamsów przytakiwali, na ile kto mógł. Ale Dybka nie zwracała na to uwagi. Podeszła do ściany i sięgnęła po wyłącznik o rozmiarach fabrycznych, od którego skomplikowany układ przewodów prowadził do foteli elektrycznych i do Rączki.

Mortycja wpatrzyła się w męża.

— *Adieu, mon cher.*

— *Adiós, cara mia* — odszepnął czule Fernando.

— Dybka, posłuchaj — odezwała się Babunia. — Ja tu jestem najstarsza. Przeżyłam długie i bogate życie... Pozostaw mnie przy życiu, a ja ci to i owo pokażę.

— Niestety — odpowiedziała Dybka.

— Wypuść ich wszystkich — poprosił Czyrak. — Zabierz tylko mnie i moje pieniądze. Za to, co zrobiłem, zasługuję na śmierć.

— Jakie to urocze — rzekła Mortycja.

— Ależ nie moglibyśmy tego przyjąć — dodał Fernando.

— On wysłał nas do obozu — przypomniała wszystkim Zaduszka.

Czyrak miał tego dosyć. Wściekłość zastąpiła w jego sercu strach i naskoczył na Dybkę. — Nigdy mnie nie kochałaś, prawda? Nie traktowałaś poważnie ani jednego słowa, kiedy mówiłaś, że mnie pragniesz, że potrzebujesz mnie, że będziesz odwiedzać mój grób!

— Ani słówka! — warknęła Dybka.

— No i twoja strata! — obciął ją gniewnie Czyrak. — Bo ja cię naprawdę kochałem. Poznałem to święte uczucie. A ty co z tego masz? Tylko jad i krwiożerczość, i żądzę mordowania! To nic nie warte.

— No wiesz, Czyrak — upomniał go Fernando — jak dla kogo. Dla ciebie może nie warte.

— Nie sądźmy pochopnie innych — rzekła Mortycja.

— No to żegnajcie — przemówiła Dybka, zaciskając dłoń na rękojści wyłącznika. — Życie mi dużo szczęścia.

— Dużo szczęścia! — wykrzyknęli wszyscy obecni.

Dybka pociągnęła za dźwignię. Addamsowie zamknęli oczy i czekali na potężny wstrząs, który raz na zawsze usmaży ich protoplazmę.

Zzzzzzzzzzztttt!

Usłyszeli głośnie brzęczenie.

Zebrali się w sobie.

Nic nie nastąpiło...

Otworzyli oczy jedno za drugim i ujrzeni przerażający widok. Dybka wisiała nieruchomo w powietrzu, wszystkie jej

kończyny i włosy wyciągnięte były do granic możliwości, a całe jej ciało rozjarzało olbrzymie wyładowanie elektryczne.

W błyskającej, oślepiającej ulewie iskier Dybka stopniowo rozpadła się na kawałki. Po chwili nic z niej nie zostało prócz dymiącej się kupki jaskrawych kolczyków, cienkich obcasów i kart kredytowych.

— Jakim cudem? — zdumiał się Fernando.

— Spójrzcie! — wychnęła Mortycja.

Uwikłany w płataninie kabli grzebał się Grobert, przywrócony do swej właściwej postaci, blady, powarkujący, z wąsikami.

— On gryzł przewody! — krzyknęła Babunia.

— Widocznie spowodował krótkie spięcie — rzeki Fernando.

— Ocalił nam życie! — wykrzyknęła Zaduszka z nietypową dla niej uciechą.

— Czyżby już ząbkował? — zapytał Czyrak.

Rozdział XXIII

Tej zimy wypadły pierwsze urodziny Groberta. Wielki salon przybrano na tę okazję czarnymi balonikami i wyblakłymi serpentynami. Mopsio trzymał Groberta na kolanach.

— Hej, Grobert. Hej, dzidziusiu — przemawiał do brata, kołyszając go delikatnie. — To twoje urodziny!

Mortycja i Fernando stali we drzwiach i patrzyli na to, nie posiadając się z dumy rodzicielskiej.

— I pomyśleć, że martwiliśmy się, jak ułożą się stosunki pomiędzy dziećmi a Grobertem — zaśmiała się Mortycja.

— Może Dybka nas czegoś nauczyła — rzekł Fernando, otaczając ramieniem jej kibić. — Czegoś o miłości.

— Chodź, kochany — Mortycja pociągnęła go w stronę kuchni. — Musimy zająć się przyjęciem urodzinowym.

Dumni rodzice wyszli. Mopsio natychmiast posadził Groberta na podłodze i skinał na Zaduszkę, która podeszła, ciągnąc samochodzik. — Masz, Grobert — przemówiła słodziutko. — To dla ciebie prezencik. Kochamy cię.

Ruszyła przed siebie, ciągnąc zabawkę po podłodze. Grobert skwapliwie poczołgał się za nią. Wtedy z sufitu posypały się ostre jak brzytwa ostrza. Wszystkie jednak wbijały się w podłogę, omijając go o milimetry. W podłodze zionęła

olbrzymia dziura i Zaduszka przeciągnęła samochód po umieszczonej nad nią wąskiej listwie. Zdumiewające było, jak Grobert też przeczłogał się po niej, nie tracąc równowagi. Dwie ogromne kule kręglowe zderzyły się z lomotem, omijając o włos jego czaszkę, i wreszcie spadająca kasa pancerna grzmotnęła o podłogę w ułamek sekundy po tym, jak on się przeczłogał. I dopadł wreszcie zabawki.

— Proszę bardzo — warknęła Zaduszka, zde gustowana, że wszystko to na nic. — Szczęśliwych urodzin.

Czyrak wszedł do pokoju z całym naręczem prezentów. — Chodźcie, dzieci — zawołał wesoło. — Musimy to zapakować.

Zaduszka i Mopsio zasiedli obok niego przy stole.

— Przyjęcie urodzinowe — powiedział radośnie Czyrak. — Co za uciecha! I pomyśleć, jak niewiele brakowało, żeby wszystko to mnie ominęło. Co ja miałem w tej głupiej łepetynie?

— Seks — odparła Zaduszka.

— Skoro już o tym mowa, wujku — zapytał Mopsio. — Nie brakuje ci czasem panny Dybki?

— No cóż... — Czyrak połączył czubki palców. — Owszem. Zdarza się, że wspominam po nocy, jak odzywała się do mnie: „Jak Boga kocham, Czyrak, zawiąż sobie na supeł i jazda do swojego pokoju.”

— Yp yp gliglu! — Do pokoju wszedł kuzyn To, pchając spacerowy wózek, a za nim szła kochająca Margaret.

— Spóźniliśmy się? — spytała Margaret.

— Bynajmniej — odpowiedział Czyrak. — Dopiero przygotowujemy się do przyjęcia.

— Chyba nie będziecie mieć za złe, że przyprowadziliśmy dodatkowego gościa — rzekła Margaret. Do salonu weszła łysa

jak świecące kolano niewiasta w stroju piastunki.

— To nasza nowa niania, Demencja — przedstawiła ją Margaret.

Demencja uśmiechnęła się do Czyraka, pokazując gołe, różowe dziąsła, w których tkwił jeden krzywy ząb. Czyrakowi opadła szczeka i oczy mu się wybałuszyły. Serce mu się zatłukło i wysypka zaczęła swędzieć. — Dzień dobry — zdołał wyjąkać.

Następnie wszedł Joel. Miał przylizane włosy i aksamitny żakiet od smokingu.

— Jak wyglądam? — spytał Zaduszkę.

— Niepokojąco — odrzekła Zaduszka.

Weszli Mortycja i Fernando. On niósł otwartą butelkę szampana, a ona wysokie, żłobkowane kieliszki.

— Toast! — oznajmił Fernando, gdy Mortycja rozdała kieliszki z szampanem. — Za urzekające tajniki życia! Za wszystko, co wiąże rodzinę w jedność! Za uciechę, za radość, za morderstwo!

— Dobrze powiedziane! — wykrzyknęto.

— Brawo!

— Święte słowa!

— Za drogich przyjaciół — rzekł Fernando, przepijając do kuzyna To, do Margaret i do Co.

— Za nowych przyjaciół! — Fernando przepił do Czyraka i Demencji.

— Za młodość! — przepił do Zaduszki i Joela.

Fernando zwrócił się teraz do Mortycji, podnosząc kieliszek. — Za namiętność.

— Za raj — odrzekła Mortycja, trącając się z nim.

— Za udrekę! — wyszeptał namiętnie Fernando.

— I za dzisiejszą noc! — odszepnęła Mortycja.

— Proszę zrobić miejsce dla solenizanta! — wykrzyknęła Babunia, wnosząc Groberta. Za nimi szedł Mopsio, pchając na taczkach wysoki, brązowawy tort.

— Rączka, zechciej czynić honory domu — rzekł Fernando.

Wydobywszy srebrną zapalniczkę, Rączka zapaliła pojedynczą świeczkę na środku tortu. Siedzący przy organach, w stożkowatym kapeluszu z kartonu, Wyrak zagrał *Sto lat*.

Wszyscy zaśpiewali Grobertowi *Sto lat*. Babunia przysunęła dziecko do tortu, żeby zdmuchnęło świeczkę.

Babach! Z pozoru mroczny i cichy, jeśli spojrzeć na niego z zewnątrz, dom się zatrzęsł. Wszystkie okna rozjarzyły się pożogą, gdy w środku wybuchła olbrzymia kula ognia, omal nie roznosząc domu w kawałki.

Po chwili ogień się wypalił.

Dom pogrążył się w niesamowitej ciszy.

Potem rozległy się wybuchy śmiechu, oklaski... od czasu do czasu jęk lub wycie... dobiegające ze środka.

W rezydencji Addamsów życie wróciło do normy.